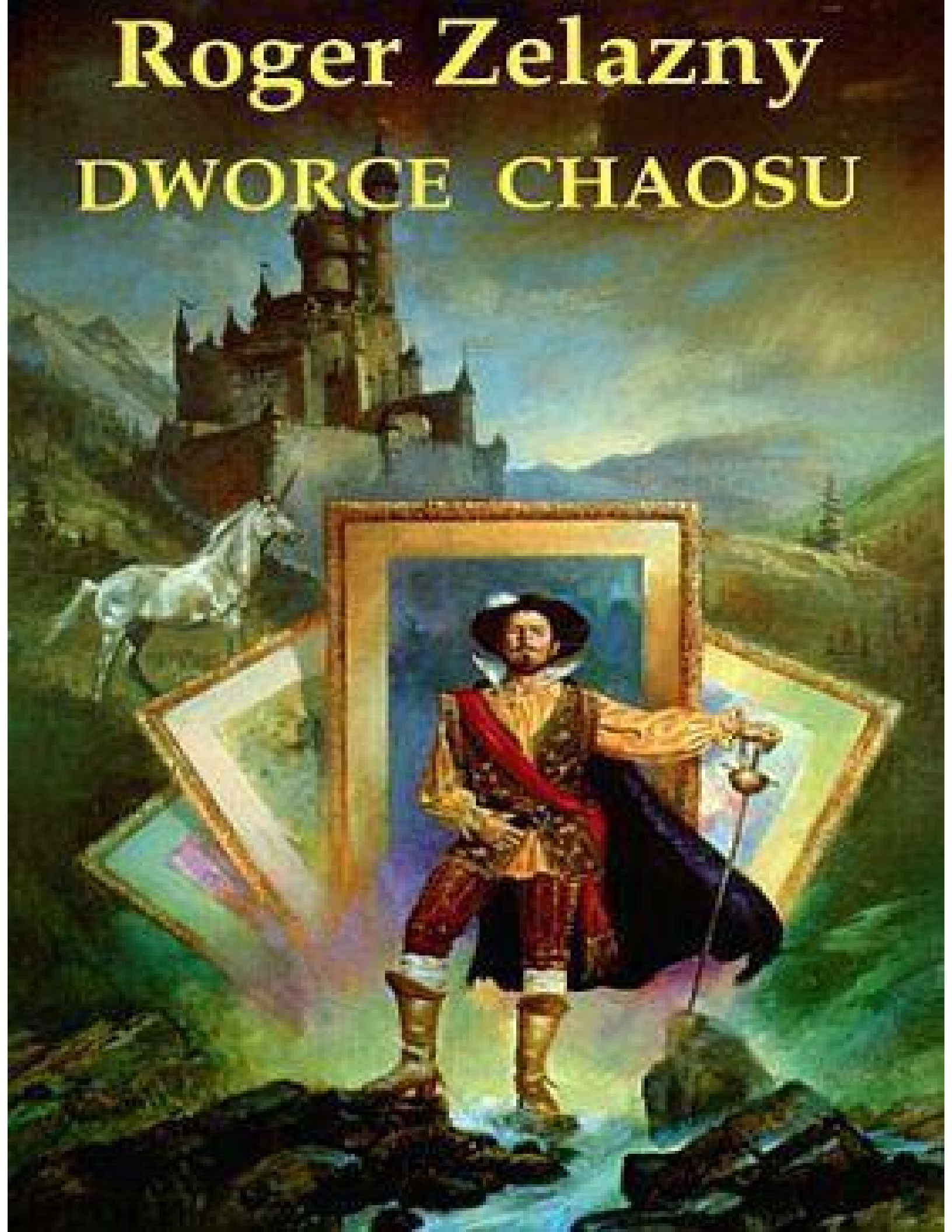


Roger Zelazny

DWORCE CHAOSU



Roger Zelazny

Dworce Chaosu

Rozdział 1

Amber: wysoki i jasny na szczycie Kolviru w samym środku dnia. Czarna droga: w dole, złowieszcza, biegnąca przez Garnath z Chaosu na południe. Ja: miotający się, przeklinający, niekiedy czytający coś w bibliotece pałacu w Amberze. Drzwi do biblioteki: zamknięte i zaryglowane.

Wściekły ksiązę Amberu usiadł przy biurku i spojrzął w otwartą księgę. Ktoś zapukał do drzwi.

– Odejdź! – rzuciłem.

– Corwinie, to ja, Random. Otwórz, co? Przyniosłem ci obiad.

– Chwileczkę.

Wstałem, okrążyłem biurko, przeszedłem przez salę. Random skinął głową, gdy otworzyłem mu drzwi. Wniósł tacę, którą postawił na małym stoliku koło biurka.

– Sporo tego jedzenia – zauważyłem.

– Ja też jestem głodny.

– Więc bież się do roboty.

Wziął się. Ukroił. Podał mi pajdę chleba z mięsem. Nalał wina. Usiedliśmy i zaczęliśmy jeść.

– Widzę, że wciąż jesteś wściekły... – zaczął po chwili.

– A ty nie?

– Może już się przyzwyczailem. Sam nie wiem. Chociaż... Tak. To było trochę... niespodziewane.

– Niespodziewane? – Pociągnąłem wina. – Dokładnie jak za dawnych lat. Nawet gorzej. Zacząłem już go lubić, kiedy udawał Ganelona. Teraz, kiedy znów przejął rządy, jest równie apodyktyczny jak dawniej. Wydał rozkazy, których nie uznał za stosowne wyjaśnić, i zniknął.

– Powiedział, że wkrótce się skontaktuje.

– Przypuszczam, że ostatnim razem też miał ten zamiar.

– Nie byłbym taki pewien.

– I w żaden sposób nie wytłumaczył swojej nieobecności. Właściwie niczego nie wytłumaczył.

– Musiał mieć jakieś powody.

– Zaczynam się zastanawiać. Randomie. Może w końcu zaczął się starzeć?

– Miał dość sprytu, żeby cię oszukać.

– To tylko kombinacja prymitywnej, zwierzęcej chytryści i umiejętności zmiany wyglądu.

– Ale udało mu się, prawda?

– Tak. Udało.

– Corwinie, może ty po prostu nie chcesz, żeby ułożył jakiś skuteczny plan. Nie chcesz, żeby miał rację?

– To śmieszne. Chcę to wszystko jakoś rozwiązać... jak każdy z nas.

– Tak, ale wolałbyś raczej, by rozwiązanie podał ktoś inny.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że nie chcesz mu zaufać.

– Przyznaję, też piekielnie długo nie widziałem go w jego własnej postaci i...

Pokręcił głową.

– Nie o to mi chodzi. Jesteś zły. bo wrócił. Miałeś nadzieję, że więcej go nie ujrzymy.

Spuściłem wzrok.

– To prawda – mruknąłem w końcu. – Ale nie z powodu opuszczonego tronu, w każdym razie nie tylko z tego powodu. Chodzi o niego, Randomie. O niego. Nic więcej.

– Wiem. Ale musisz przyznać, że załatwił Branda, co wcale nie było takie łatwe. Wykręcił numer, którego wciąż nie rozumiem. Zorganizował to tak, że przyniosłeś tę rękę z Tir-na Nog'th. Ja przekazałem ją Benedyktowi, a Benedykt znalazł się w odpowiedniej chwili na właściwym miejscu. Wszystko zadziało i odzyskał Klejnot. Lepiej od nas potrafi sterować Cieniem. Dokonał tego na Kolvirze, kiedy doprowadził nas do pierwotnego Wzorca. Ja tego nie umiem. Ty też nie. I pobił Gerarda. Nie wierzę, że się starzeje. Uważam, iż doskonale wie, co robi, i czy nam się to podoba czy nie, tylko on potrafi sobie poradzić z obecną sytuacją.

– Uważasz więc, że powinienem mu zaufać?

– Uważam, że nie masz wyboru.

– Chyba trafiłeś w sedno – westchnąłem. – Nie warto się obrażać. Chociaż...

– Ten rozkaz ataku tak cię niepokoi?

– Tak, między innymi. Gdybyśmy mieli więcej czasu, Benedykt zgromadziłby większe siły. – Trzy dni to bardzo mało na przygotowania do takiego przedsięwzięcia. Zwłaszcza że o przeciwniku nie wiadomo nic pewnego.

– Może wiadomo. Dość długo rozmawiał z Benedyktem w cztery oczy.

– To też mi się nie podoba. Te osobne instrukcje. Te tajemnice. Ufa nam tylko tyle, ile musi.

Random zaśmiał się. Ja też.

– No dobrze – przyznałem. – Może też bym tak postąpił. Ale trzy dni, aby rozpocząć wojnę... –

Pokręciłem głową. – lepiej, żeby naprawdę wiedział więcej od nas.

– Odniosłem wrażenie, że ma to być raczej uderzenie uprzedzające niż atak.

– Ale nie przyszło mu do głowy, żeby wytłumaczyć, co właściwie mamy uprzedzić.

Random wzruszył ramionami i dolał wina.

– Może powie wszystko, kiedy wróci. Wydał ci jakieś szczególne polecenia?

– Tylko żeby siedzieć i czekać. A tobie?

Pokręcił głową.

– Powiedział, że kiedy nadejdzie czas, będę wiedział. W każdym razie Julianowi kazał przygotować ludzi, by w każdej chwili mogli ruszać.

– Tak? Nie zostają w Ardenie?

Przytaknął.

– Kiedy mu to powiedział?

– Kiedy odszedłeś. Przeatutował tu Juliana, przekazał mu instrukcje i odjechali. Słyszałem, jak tato mówił, że część drogi pojedą razem.

– Ruszyli wschodnim szlakiem? Przez Kolvir?

– Tak. Odprowadzałem ich.

– To ciekawe. Czego jeszcze nie wiedziałem?

Poprawił się na krześle.

– To właśnie mnie niepokoi – stwierdził. – Kiedy tato wsiadł na konia i pomachał na pożegnanie, obejrzał się na mnie i powiedział: "Uważaj na Martina".

– Nic więcej?

– Nic więcej. Ale śmiał się przy tym.

– Przypuszczam, że to naturalna podejrzliwość wobec kogoś nowego.

– Więc skąd ten śmiech?

– Poddaję się.

Ukroiłem sobie sera.

– Chociaż, może to i dobra rada. Niekoniecznie podejrzliwość. Mógł uznać, że należy Martina

przed czymś chronić. Albo jedno i drugie. Albo nic. Wiesz, jaki on czasem bywa.

Random wstał.

– Nie myślałem o tej drugiej możliwości – przyznał. – Chodź ze mną, dobrze? Siedzisz tu od rana.

– Dobrze. – Wstałem, przypasałem Grayswandira. – A przy okazji, gdzie jest Martin?

– Zostawiłem go na dole. Rozmawiał z Gerardem.

– Czyli jest w dobrych rękach. Gerard zostaje tutaj, czy wraca do swojej floty?

– Nie wiem. Nie chciał rozmawiać o swoich rozkazach.

Wyszliśmy na korytarz i skręciliśmy na schody. Po drodze usłyszałem z dołu odgłosy jakiegoś zamieszania. Przyspieszyłem kroku.

Wychyliłem się przez poręcz. Grupa straży tłoczyła się przy wejściu do sali tronowej. Wszyscy stali odwróceny do nas plecami, ale dostrzegłem wśród nich potężną postać Gerarda. Skokami pokonałem ostatnie stopnie, Random pędził tuż za mną.

Przecisnąłem się do przodu.

– Co się dzieje, Gerardzie?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Sam popatrz. Ale nie można tam wejść.

Odsunął się, a ja zrobiłem krok do przodu. Potem następny. I koniec. Miałem wrażenie, że napieram na elastyczny, całkowicie niewidzialny mur. A za nim zobaczyłem coś, od czego moje wspomnienia i uczucia stworzyły splątany węzeł. Zesztywniałem; lęk chwycił mnie za kark, unieruchomił ręce. To nie była byle jaka sztuczka. Uśmiechnięty Martin wciąż trzymał w lewej dłoni Atut, a Benedykt – najwyraźniej właśnie przywołany – stał obok. Koło tronu, na podwyższeniu, dostrzegłem też dziewczynę. Mężczyźni chyba rozmawiali, ale nie słyszałem słów.

Wreszcie Benedykt odwrócił się i przemówił do dziewczyny. Odpowiedziała mu. Martin stanął po jej lewej stronie. Benedykt wszedł na podwyższenie. Wtedy mogłem zobaczyć jej twarz. Rozmowa trwała.

– Ta kobieta wydaje mi się znajoma – zauważył Gerard, stając obok mnie.

– Widziałeś ją przez chwilę, kiedy przejeżdżała obok nas – odparłem. – Tego dnia, gdy zginął Eryk. To Dara.

Słyszałem, jak głośno wciąga powietrze.

– Dara! – mruknął. – A więc...

Umilkł.

– Nie kłamałem – zapewniłem go. – Ona istnieje naprawdę.

– Martinie! – krzyknął Random, który stanął z prawej strony. – Martinie! Co się dzieje?

Nie było odpowiedzi.

– On cię chyba nie słyszy – zauważył Gerard. – Ta bariera odcięła nas zupełnie.

Random pochylił się, napierając na coś niewidzialnego.

– Spróbujmy pchnąć razem – zaproponowałem.

Naparłem znowu. Gerard także całym ciałem zaatakował niewidoczny mur.

Pół minuty wysiłku nie przyniosło żadnych rezultatów. Cofnąłem się.

– To na nic – oświadczyłem. – Nie ruszymy tego.

– Co to za draństwo? – zapytał Random. – Co trzyma...

Poprzednio miałem pewne przeczucia – tylko przeczucia, nic więcej – co do tego, co się tam dzieje.

I wyłącznie dlatego, że cała scena miała charakter déjà vu. Teraz jednak... Teraz sięgnąłem do pasa, by się upewnić, czy wciąż jeszcze tkwi tam Grayswandir.

Tkwiał.

Jak więc mogłem wyjaśnić obecność mojej charakterystycznej klingi, ukazującej wszystkim lśniący, złożony rysunek? Pojawiła się nagle przed tronem i zawisała w powietrzu bez żadnego podparcia. Ostrze dotykało szyi Dary.

Nie mogłem.

Ale wszystko za bardzo przypominało wydarzenia tamtej nocy w mieście snów na niebie, w Tir-na Nog'th, by było tylko przypadkiem. Zmieniły się okoliczności – ciemność, zmieszanie, mroczne cienie, wir przeżywanych emocji – a jednak scena została ustawiona prawie tak jak wtedy. Bardzo podobnie. Ale niedokładnie. Benedykt stał trochę dalej, bardziej z tyłu, w nieco innej pozie. Nie umiałem czytać z ruchu warg Dary, więc nie byłem pewien, czy zadaje te same dziwne pytania. Raczej nie.

Układ, który pamiętałem – podobny, a jednak niepodobny do tego – wtedy był pewnie trochę zabarwiony wpływem Tir-na Nog'th na mój umysł. To znaczy, jeśli w ogóle istniał między nimi jakiś związek.

– Corwinie – odezwał się Random. – Wygląda, jakby wisiał przed nią Grayswandir.

– Rzeczywiście – przyznałem. – Ale, jak widzisz, mój miecz jest tutaj.

– Nie ma drugiego takiego... prawda? Wiesz, co się tam dzieje?

– Zaczynam się chyba domyślać. W każdym razie nie jestem w stanie tego przerwać.

Nagle Benedykt wydobył miecz i skrzyżował go z tamtym, tak podobnym do mojego. Zaczął pojedynek z niewidzialnym przeciwnikiem.

– Daj mu szkołę, Benedyckie! – krzyknął Random.

– Nic z tego – stwierdziłem. – Zaraz zostanie rozbrojony.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zdziwił się Gerard.

– W pewnym sensie to ja z nim walczę. To przeciwna strona mojego snu z Tir-na Nog'th. Nie wiem, jak tato to zrobił, ale taka jest cena za odzyskanie Klejnotu.

– Nie rozumiem.

Pokręciłem głową.

– Nie będę udawał, że wiem, jak to się dzieje – odparłem. – Ale nie zdołamy tam wejść, póki z pokoju nie znikną dwa przedmioty.

– Jakie przedmioty?

– Patrz.

Benedykt przerzucił miecz, a jego lśniąca proteza wystrzeliła w przód i pochwyciła jakiś niewidoczny cel.

Klingi skrzyżowały się, związały, znieruchomiały mierząc ostrzami w sufit. Prawa ręka Benedykta zaciskała się coraz bardziej.

Nagle klinga Grayswandira uwolniła się i minęła miecz Benedykta. Zadała straszliwy cios w prawe ramię, w miejsce połączenia z metalową częścią. Benedykt odwrócił się i na kilka chwil straciliśmy z oczu całą akcję.

Po chwili znów było coś widać, gdyż Benedykt przyklęknął i odwrócił się bokiem. Podtrzymywał kikut prawej ręki. Mechaniczna dłoń wisiała w powietrzu przy Grayswandirze. Odsuwała się od Benedykta i opadała, tak samo jak klinga. Kiedy sięgnęły podłogi, nie uderzyły o nią, ale przeniknęły, znikając z pola widzenia.

Pochyliłem się, odzyskałem równowagę, pobiegłem. Bariery nie było.

Martin i Dara dotarli do Benedykta przede mną. Gdy stanęliśmy przy nich: Random, Gerard i ja, Dara zdążyła oderwać od płaszcza pas materiału i bandażowała ranę.

Random chwycił Martina za ramię.

– Co się stało? – zapytał.

– Dara... Dara powiedziała, że chciałyby zobaczyć Amber. Ponieważ teraz tu mieszkam, zgodziłem się ją przenieść i oprowadzić. Potem...

– Przenieść? Masz na myśli Atut?

– No... tak.

– Twój czy jej?

Martin przygryzł dolną wargę.

– Widzisz...

– Daj te karty – rzucił Random i wyrwał mu zza pasa futerał. Otworzył i zaczął po kolei przeglądać Atuty.

– Pomyślałem, że zawiadomię Benedykta, bo się nią interesował – mówił dalej Martin. – Benedykt chciał ją zobaczyć i...

– Co u licha? – przerwał mu Random. – Tu jest twoja karta, jej karta i jeszcze jedna jakiegoś faceta, którego w życiu nie widziałem! Skąd je masz?

– Pokaż – poprosiłem.

Podał mi wszystkie trzy.

– No więc? – zapytał. – Czy to był Brand? O ile wiem, tylko on potrafi jeszcze tworzyć Atuty.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z Brandem – zaprotestował Martin. – Chyba żeby go zabić.

Ale ja już wiedziałem, że te Atuty nie są dziełem Branda. To nie był jego styl. Ani jego, ani kogokolwiek, kogo prace bym znał. Chociaż, w owej chwili nie myślałem o stylu. Raczej o wyglądzie trzeciej osoby, tego mężczyzny, którego Random nigdy jeszcze nie widział. Ja widziałem. Patrzyłem na twarz młodzika, który z kuszą w ręku wyjechał mi na spotkanie przed Dworcami Chaosu, a potem rozpoznał mnie i nie strzelił.

Wyciągnąłem kartę przed siebie.

– Martinie, kto to jest? – zapytałem.

– To on narysował te dodatkowe Atuty. Przy okazji zrobił też swój. Nie wiem, jak się nazywa. Jest przyjacielem Dary.

– Kłamiesz – stwierdził Random.

– Może więc Dara nam wytłumaczy. – Spojrzałem na nią badawczo.

Kłęczała, choć skończyła już opatrywać ramię Benedykta. Benedykt wyprostował się.

– Co o tym powiesz? – Machnąłem Atutem. – Kim jest ten człowiek?

Spojrzała na kartę, potem na mnie. Uśmiechnęła się.

– Naprawdę nie wiesz? – zapytała.

– Nie pytałbym, gdybym wiedział.

– Więc przyjrzyj mu się uważnie, a potem popatrz w lustro. Jest twoim synem, tak samo jak moim. Ma na imię Merlin.

Niełatwo mnie zaszokować, ale tym razem udało jej się to znakomicie. W głowie mi się kręciło, ale umysł pracował szybko. Przy odpowiedniej różnicy czasu rzecz była możliwa.

– Daro – spytałem. – Czego ty właściwie chcesz?

– Powiedziała ci, kiedy przeszłam Wzorzec – odparła. – Amber musi zostać zniszczony. Chcę mieć w tym swój udział.

– Dostaniesz moją dawną celę – zdecydowałem. – Nie, raczej tę obok. Straż!

– Corwinie, wszystko w porządku – wtrącił Benedykt, wstając. – Nie jest tak źle, jak można by sądzić z jej słów. Ona może wszystko wytłumaczyć.

– Więc niech zacnie od razu.

– Nie. Na osobności. Tylko rodzina.

Skinieniem ręki odesłałem strażników.

– Doskonale. Przejdźmy do którejś z komnat w głębi korytarza.

Kiwnął głową. Dara chwyciła go za lewą rękę. Random, Gerard, Martin i ja wyszliśmy za nimi.

Obejrzałem się jeszcze na puste miejsce, gdzie sen stał się prawdą.

Tak to z nimi bywa.

Rozdział 2

Przejechałem przez szczyt Kolviru i zsiadłem z konia przy swoim grobowcu. Wszedłem do środka i otworzyłem urnę. Była pusta. Dobrze. Zaczynałem już wątpić. Oczekiwałem niemal, że znajdę tam swoje prochy – dowód, że mimo wszelkich oznak i przeczuć zawędrowałem jakoś do niewłaściwego cienia.

Wszedłem i poklepałem Gwiazdę po pysku. Świeciło słońce i wiał chłodny wiatr. Nagle zapragnąłem wypłynąć na morze. Zamiast tego usiadłem na ławeczce i zacząłem nabijać fajkę.

Rozmawialiśmy. Siedząc z podwiniętymi nogami na brązowej sofie, Dara z uśmiechem powtórzyła opowieść o swoim pochodzeniu od Benedykta i diablicy Lintry, o dorastaniu w okolicy i w samych Dworcach Chaosu – tej nieeuklidesowej na ogół krainie, gdzie sam czas prezentuje niezwykle problemy rozkładu.

– Wszystko, co mi powiedziałaś, kiedy się spotkaliśmy, było kłamstwem – stwierdziłem. – Czemu teraz miałbym ci wierzyć? Uśmiechnęła się, wpatrzona w swoje paznokcie.

– Musiałam cię wtedy okłamać – wyjaśniła. – By uzyskać to, na czym mi zależało.

– To znaczy?

– Wiedzę o rodzinie, Wzorcu, Atutach i Amberze. Chciałam zdobyć twoje zaufanie. Chciałam urodzić twoje dziecko.

– Prawda nie byłaby równie dobra?

– Raczej nie. Przybywałam od nieprzyjaciół. Nie zaaprobowałbyś powodów, dla których chciałam to wszystko osiągnąć.

– A umiejętność szermierki...? Mówiłaś, że to Benedykt cię uczył.

Uśmiechnęła się znowu, a w jej oczach zabłyśły ciemne ognie.

– Uczyłam się u samego wielkiego księcia Borela, Lorda Chaosu.

– ... i twój wygląd – dokończyłem. – Zmieniał się kilkakrotnie, kiedy przechodziłaś Wzorzec. Jak? I dlaczego?

– Wszyscy, którzy pochodzą z Chaosu, są zmiennokształtni – wyjaśniła.

Wspomniałem wyczyny Dworkina owej nocy, kiedy wcielił się we mnie.

Benedykt kiwnął głową.

– Tato oszukał nas, udając Ganelona.

– Oberon jest dzieckiem Chaosu. Zbuntowanym synem zbuntowanego ojca. Ale zachował moc.

– Więc czemu my tego nie potrafimy? – chciał wiedzieć Random.

Wzruszyła ramionami.

– A próbowaliście? Może potraficie. Z drugiej strony, w waszym pokoleniu zdolność mogła zaniknąć. Nie wiem. Co do mnie jednak, to mam kilka ulubionych form, do których powracam w chwilach napięcia. Dorastałam w miejscu, gdzie było to regułą, gdzie ta druga postać często dominowała. Wciąż zachowałam ten odruch. To właśnie oglądaliście... wtedy.

– Daro – przerwałem. – Po co było ci to wszystko, o czym mówiłaś: wiedza o rodzinie, Wzorcu, Atutach, Amberze? I syn?

– No, dobrze – westchnęła. – Dobrze. Poznaliście już pewnie plany Branda zniszczenia i odbudowy Amberu...?

– Tak.

– Wymagały naszej zgody i współpracy.

– W tym zamordowania Martina? – spytał Random.

– Nie. Nie wiedzieliśmy, kogo zamierza użyć jako... czynnika.

– A gdybyście wiedzieli, czy to by was powstrzymało?

– To akademicki problem – odparła. – Sam sobie odpowiedz. Cieszę się, że Martin przeżył. To wszystko, co mam do powiedzenia.

– Niech będzie – mruknął Random. – Co z Brandem?

– Wykorzystując sposoby poznane u Dworkina, zdołał się porozumieć z naszymi przywódcami. Miał własne ambicje. Szukał wiedzy i siły. Zaproponował układ.

– Jakiej wiedzy?

– Na przykład nie miał pojęcia, jak zniszczyć Wzorzec...

– Zatem jesteście odpowiedzialni za to, co zrobił – stwierdził Random.

– Jeśli wolisz tak o tym myśleć.

– Wolę.

Wzruszyła ramionami i spojrzała na mnie.

– Chcecie wysłuchać całej historii?

– Mów. – Obejrzałem się na Randoma.

Skinął głową.

– Brand otrzymał to, czego pragnął – powiedziała. – Ale nie cieszył się zaufaniem. Obawiano się, że kiedy zyska moc kształtowania świata według swej woli, nie wystarczy mu władza nad przebudowanym Amberem. Że spróbuje rozszerzyć panowanie na Chaos. Potrzebny nam był słaby Amber, by Chaos stał się silniejszy niż teraz. Chcieliśmy nowego stanu równowagi i więcej krain cienia w naszych granicach. Już dawno rozumiano, że dwa królestwa nie mogą się połączyć, ani że żadne z nich nie może zostać zniszczone bez naruszenia wszystkich procesów, jakie przebiegają między nimi. I rezultatem byłby absolutny zastój albo zupełny chaos. Mimo to, choć wiedziano, co planuje Brand, nasi przywódcy zawarli z nim umowę. Lepsza okazja mogła się nie zdarzyć przez całe wieki. Musieliśmy ją wykorzystać. Uznano, że z Brandem poradzimy sobie jakoś, a kiedy nadejdzie odpowiedni moment, zastąpimy go kimś innym.

– Więc planowaliście też zdradę – wtrącił Random.

– Nie, gdyby dotrzymał słowa. Ale wiedzieliśmy, że nie ma tego zamiaru. Dlatego przygotowaliśmy się do działania.

– Jak?

– Pozwolilibyśmy mu osiągnąć cel i potem byśmy go zniszczyli. Zastąpiłby go przedstawiciel królewskiego rodu Amberu, należący też do najwyższego rodu Dworców. Ktoś wychowany wśród nas i przygotowany do tej misji. Merlin jest spokrewniony z Amberem z obu stron, przez mojego przodka, Benedykta, i bezpośrednio przez ciebie – dwóch najpopularniejszych pretendentów do tronu.

– Więc pochodzisz z królewskiego rodu Chaosu?

Uśmiechnęła się.

Wstałem. Odszedłem. Spojrzałem na popiół w palenisku.

– Nie jestem zachwycony wykorzystaniem mnie w tak wykalkulowanym eksperymencie hodowlanym – oświadczyłem po chwili. – Ale to już się stało. Przyjmując na moment, że wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą, to dlaczego teraz nam o tym mówisz?

– Ponieważ – odparła – obawiam się, że władcy mojej krainy równie mocno pragną realizacji swej wizji, jak Brand swojej. Może nawet mocniej. Chodzi o równowagę, o której wspomniałam. Niewielu pojmuje, jak jest delikatna. Podróżowałam po krajach Cienia w pobliżu Amberu i byłam w

samym Amberze. Poznałam też cienie leżące po stronie Chaosu. Spotkałam wielu ludzi i wiele zobaczyłam. Potem, gdy poznałam Martina i rozmawiałam z nim długo, zaczęłam przeczuwać, że te zmiany, które powinny być zmianami na lepsze, nie zakończą się tylko przekształceniem Amberu wedle gustu moich władców. Raczej przemienią Amber w przybudówkę Dworców, a większość cieni zniknie lub połączy się z Chaosem. Niektórzy z nas, wciąż mając pretensje do Dworkina o stworzenie Amberu, pragną powrotu do czasów, zanim to nastąpiło. Całkowitego Chaosu, z którego powstało wszystko. Uznałam, że lepszy jest stan aktualny, i staram się go zachować. Mym pragnieniem jest, by żadna ze stron nie wyszła z tego konfliktu zwycięsko.

Obejrzawszy się, dostrzegłem, jak Benedykt kręci głową.

– Więc nie stoisz po niczyjej stronie – stwierdził.

– Wolę wierzyć, że stoję po obu.

– Martinie – spytałem. – Czy też jesteś w to zamieszany?

Przytaknął.

Random wybuchnął śmiechem.

– Was dwoje? Przeciwko Amberowi i Dworcom Chaosu? Co chcecie osiągnąć? Jak zamierzacie podtrzymać tę równowagę?

– Nie jesteśmy sami – oświadczyła Dara. – I nie my wymyśliliśmy ten plan.

Sięgnęła do kieszeni, a kiedy wysunęła rękę, coś zamigotało na jej dłoni. Obróciła to w blasku światła: sygnet naszego ojca.

– Skąd to masz? – zapytał Random.

– A jak myślisz?

Benedykt stanął przy niej i wyciągnął rękę. Podała mu pierścień. Przyjrzał się uważnie.

– To naprawdę taty – oznajmił. – Ma z tyłu takie drobne znaki, które kiedyś zauważyłem. Po co go przyniosłaś?

– Przede wszystkim, żeby was przekonać, że naprawdę przekazuję jego rozkazy.

– A skąd wogóle go znasz? – wtrąciłem.

– Spotkaliśmy się jakiś czas temu, kiedy... miał kłopoty – wyjaśniła. – Można właściwie powiedzieć, że pomogłam mu się uwolnić. Znałam już wtedy Martina i byłam skłonna do bardziej przyjaznych uczuć wobec Amberu. Poza tym, wasz ojciec jest czarującym człowiekiem i potrafi przekonywać. Uznałam, że nie mogę patrzeć beczynn timer, jak pozostaje więźniem moich krewniaków.

– A czy wiesz, jak został schwytany?

Pokręciła głową.

– Wiem tylko, że Brand skłonił go do przybycia w cień tak daleki od Amberu, by można go było tam uwięzić. Sądzę, że pretekstem było poszukiwanie nie istniejącego magicznego przyrządu, który mógłby naprawić Wzorzec, teraz już wie, że tylko Klejnot może tego dokonać.

– Pomogłaś mu uciec... Jak wpłynęło to na twoją pozycję w Dworcach?

– Nie najlepiej. Chwilowo jestem bezdomna.

– I chcesz zamieszkać tutaj?

Uśmiechnęła się krzywo.

– To zależy, jak to wszystko się zakończy. Jeśli moi rodacy osiągną swoje cele, wolę raczej wrócić... albo zamieszkać wśród tych cieni, które pozostaną.

Wyjąłem Atut.

– A co z Merlinem? Gdzie teraz jest?

– Z nimi. Obawiam się, że należy już do nich. Zna swoje pochodzenie, ale to oni kierowali jego wychowaniem. Nie wiem, czy można go jakoś wyrwać.

Podniosłem Atut i wpatrzyłem się w niego.

– To na nic – stwierdziła. – Nie będzie działał między tam a tutaj.

Przypomniałem sobie, jak trudny był kontakt gdy znalazłem się na skraju owego miejsca. Mimo to spróbowałem. Karta stała się zimna. Sięgnąłem w głąb. Odczułem delikatne mrowienie czyjejs obecności. Naparłem mocniej.

– Merlinie, to ja, Corwin – powiedziałem. – Słyszysz mnie?

Wydało mi się, że usłyszałem odpowiedź. Jakby "Nie mogę..." A potem nic. Karta straciła swój chłód.

– Dotarłeś do niego? – zapytała.

– Nie jestem pewien. Ale chyba tak, tylko na chwilę.

– Lepiej, niż sądziłam. Albo warunki były wyjątkowo korzystne, albo macie bardzo podobne umysły.

– Kiedy zaczęłaś wymachiwać taty sygnetem – przypomniał Random – wspomniałaś o rozkazach. Jakie to rozkazy? I dlaczego przekazuje je przez ciebie?

– To kwestia zgrania w czasie.

– Zgrania w czasie? Do diabła! Przecież wyjechał dopiero dzisiaj rano!

– Musiał załatwić jedną sprawę, zanim zabierze się za następną. Nie wiedział jak długo to potrwa. Ale kontaktowałam się z nim tuż przed przybyciem tutaj... chociaż nie miałam pojęcia, co mnie tu czeka. Jest gotów, by rozpocząć kolejny etap.

– Kiedy z nim rozmawiałaś? – spytałem. – Gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia, gdzie jest. Połączył się ze mną.

– I...?

– Chce, żeby Benedykt zaatakował natychmiast.

Gerard poruszył się wreszcie. Wstał z wielkiego fotela, gdzie siedział i przysłuchiwał się rozmowie. Wsunął kciuki za pas i spojrzał na Darę z góry.

– Taki rozkaz musi pochodzić bezpośrednio od taty.

– Pochodzi.

Pokręcił głową.

– To nie ma sensu. Dlaczego miałby kontaktować się z osobą, której ufać nie mamy raczej powodu, zamiast połączyć się z kimś z nas?

– Nie sądzę, by w tej chwili potrafił was dosięgnąć. Mnie potrafił.

– Dlaczego?

– Nie używał Atutu. Nie ma mojej karty. Wykorzystał efekt rezonansu czarnej drogi. W podobny sposób Brand uciekł kiedyś przed Corwinem.

– Sporo wiesz o tym, co się dzieje.

– Wiem. Wciąż mam kontakty w Dworcach Chaosu, a po waszym starciu Brand tam właśnie się przeniósł. Sporo słyszałam.

– Wiesz, gdzie jest w tej chwili ojciec? – zapytał Random.

– Nie, nie wiem. Ale sądzę, że wyruszył do prawdziwego Amberu, by naradzić się z Dworkinem i ponownie zbadać uszkodzenia pierwotnego Wzorca.

– W jakim celu?

– Trudno powiedzieć. Zapewne po to, by zdecydować, jakie podejmie działania. Fakt, że dotarł do mnie i nakazał atak, oznacza najprawdopodobniej, że decyzja już zapadła.

– Jak dawno się z tobą kontaktował?

– Kilka godzin temu... mojego czasu. Ale byłam daleko stąd, w Cieniu. Nie wiem, jaka jest różnica

upływu czasu. Nie mam doświadczenia.

– Czyli mogło to nastąpić zupełnie niedawno. Nawet przed chwilą – zastanowił się Gerard. – Dlaczego rozmawiał z tobą, a nie z którymś z nas? Gdyby naprawdę chciał, nie uwierzę, by nie mógł nas dosięgnąć.

– Może chciał pokazać, że traktuje mnie przychylnie.

– Wszystko to może być prawdą – oświadczył Benedykt. – Ale nie wyruszę bez potwierdzenia rozkazu.

– Czy Fiona wciąż przebywa przy pierwotnym Wzorcu? – zapytał Random.

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałem, założyła tam obóz – odparłem. – Rozumiem, o co ci chodzi...

Wyszukałem kartę Fi.

– Jeden nie wystarczy, żeby sięgnąć aż tam – zauważył.

– Fakt. Pomóż więc.

Wstał, stanął przy moim boku. Benedykt i Gerard także się zbliżyli.

– To wcale nie jest konieczne – zaprotestowała Dara.

Nie zwracając na nią uwagi, skoncentrowałem się na delikatnych rysach swej rudowłosej siostry. Po chwili nastąpił kontakt.

– Fiono – zacząłem. Widok za jej plecami świadczył, że nie zmieniła miejsca pobytu w samym sercu rzeczy. – Czy jest tam tato?

– Tak. – Uśmiechnęła się lekko. – U Dworkina.

– Słuchaj, sprawa jest pilna. Nie wiem, czy znasz Darę, ale ona jest tutaj i...

– Wiem, kim jest, chociaż nigdy jej nie spotkałam.

– W każdym razie ona twierdzi, że tato polecił przekazać Benedyktowi rozkaz ataku. Jako dowód ma jego sygnet, ale tato nic o tym wcześniej nie wspominał. Wiesz coś na ten temat?

– Nie. Przywitaliśmy się tylko, kiedy jakiś czas temu wyszli razem z Dworkinem, żeby popatrzeć na Worzec. Miałam jednak wtedy pewne podejrzenia i to, o czym mówisz, chyba je potwierdza.

– Podejrzenia? Co masz na myśli?

– Sądzę, że tato chce naprawić Worzec. Ma Klejnot. Słyszałam część jego rozmowy z Dworkinem. Jeśli podejmie próbę, w Dworcach Chaosu dowiedzą się o tym natychmiast. Zechcą go powstrzymać. Zamierza pewnie uderzyć jako pierwszy, by odwrócić ich uwagę. Tylko...

– Co?

– To go zabije, Corwinie. Tyle zdążyłam się nauczyć. Czy mu się uda czy nie, zostanie zniszczony.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Że król oddaje życie za swoją krainę?

– Że tato byłby do tego zdolny.

– Więc albo się zmienił, albo nigdy go naprawdę nie znałeś. Ale ja uważam, że on naprawdę spróbuje.

– To czemu przekazał swój ostatni rozkaz przez osobę, o której wie, że jej nie ufamy?

– Żeby pokazać, że macie jej zaufać, jak przypuszczam. Kiedy tylko potwierdzi ten rozkaz.

– To raczej okrzęna droga załatwiania pewnych spraw. Ale zgadzam się z tobą, że nie należy działać bez potwierdzenia. Możesz je dla nas uzyskać?

– Spróbuję. Połączę się z wami, kiedy tylko z nim porozmawiam.

Przerwała kontakt.

Spojrzałem na Darę, która słyszała konwersację tylko z naszej strony.

– Czy wiesz, co tato w tej chwili planuje? – zapytałem.

– Coś związanego z czarną drogą – odparła. – To sugerował. Nie wspomniał jednak co ani jak.

Złożyłem karty i schowałem je do futerału. Nie podobał mi się taki obrót spraw. Cały ten dzień zaczął się marnie, a potem wszystko szło coraz gorzej. A było dopiero wczesne popołudnie. Potrząsnąłem głową. Kiedy rozmawiałem z Dworkinem, opisał mi rezultaty każdej próby naprawy Wzorca. Wydały mi się wtedy niezwykle groźne. Przypuśćmy, że tato spróbuje, przegra i zginie przy tej próbie. Gdzie się wtedy znajdziemy? W tym samym miejscu, tyle że bez przywódcy i w przededniu bitwy – i z aktualnym na nowo problemem sukcesji. Wyruszymy na wojnę, a ta paskudna sprawa znowu będzie nas nękać. Zaczniemy się szykować do bratobójczych walk, które rozgorzeją, gdy tylko poradzimy sobie z nieprzyjacielem. Musi być jakieś inne rozwiązanie. Lepiej już żywy tato na tronie, niż odrodzenie intryg i spisków.

– Na co czekamy? – spytała Dara. – Na potwierdzenie?

– Tak – odpowiedziałem.

Random krążył po pokoju. Benedykt usiadł i oglądał opatrunek na rękę. Gerard oparł się o kominek. A ja stałem i zastanawiałem się. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Odpędziłem ją natychmiast, ale wróciła. Nie podobała mi się, ale nie miało to żadnego związku z celowością jej realizacji. Musiałem działać szybko, zanim przekonam siebie, by spojrzeć z innego punktu widzenia. Nie. Będę się trzymał poprzedniego. Niech to diabli!

Poczułem mrowienie kontaktu. Czekałem. Po chwili znów zobaczyłem Fionę. Stała w znajomym pomieszczeniu, choć straciłem kilka sekund, by je rozpoznać: salon Dworkina, za ciężkimi drzwiami w głębi jaskini.

Tato i Dworkin też tam byli. Tato zrzucił swoją maskę Ganelona i znowu stał się sobą, jak dawniej. Spostrzegłem, że nosi Klejnot.

– Corwinie – odezwała się Fiona. – To prawda. Tato przekazał przez Darę rozkaz ataku i oczekiwał tej prośby o potwierdzenie. Ja...

– Fiono, przenieś mnie.

– Co?

– Słyszałaś. Przenieś mnie!

Wyciągnąłem prawą rękę. Fi sięgnęła po mnie. Dotknęliśmy się.

– Corwinie! – krzyknął Random. – Co się dzieje?

Benedykt zerwał się, a Gerard szedł już w moją stronę.

– Dowiedcie się wkrótce – oświadczyłem i zrobiłem krok do przodu.

Uścisnąłem jej dłoń, wypuściłem i uśmiechnąłem się.

– Dzięki, Fi. Cześć, tato. Witaj, Dworkinie. Co słychać?

Rzuciłem okiem na ciężkie drzwi i przekonałem się, że stoją otworem. Wyminąłem Fionę i podszedłem do nich. Tato spuścił głowę i zmrużył oczy. Znałem to spojrzenie.

– O co chodzi, Corwinie? Znalazłeś się tutaj bez pozwolenia – burknął. – Potwierdziłem ten cholerny rozkaz. Spodziewam się, że zostanie wykonany.

– Zostanie – przytaknąłem. – Nie przyszedłem, by o tym dyskutować.

– Więc po co?

Podszedłem bliżej, kalkulując w myślach słowa i odległość. Dobrze, że tato nie wstawał.

– Przez pewien czas jechaliśmy razem jak towarzysze – powiedziałem. – I niech mnie diabli porwą, jeśli nie zacząłem cię wtedy lubić. Sam wiesz, że przedtem nie czułem specjalnej sympatii. Dotąd nie miałem jakoś odwagi, żeby ci o tym powiedzieć. Chciałbym wierzyć, że tak mogłyby się ułożyć nasze stosunki, gdybyśmy nie byli dla siebie tym, kim jesteśmy. – Na mgnienie oka jego spojrzenie złagodniało. Zająłem pozycję. – W każdym razie – ciągnąłem – wolę uważać cię raczej za tego niż tamtego człowieka. Jest bowiem coś, czego w przeciwnym wypadku nigdy bym dla ciebie

nie zrobił.

– Co takiego? – zapytał.

– To.

Chwyciłem Klejnot od dołu i jednym ruchem ściągnąłem tacie łańcuch. Zrobiłem zwrot na pięcie i pognałem przez grotę do drzwi. Zamknąłem je za sobą, aż trzasnęły. Nie wiedziałem, jak je zaryglować od zewnątrz, więc biegłem dalej skalnym korytarzem, którym tamtej nocy podążałem za Dworkinem. Za plecami usłyszałem oczekiwany krzyk.

Pokonywałem zakręty. Tylko raz się potknąłem. W powietrzu wisiał wciąż ciężki zapach Wixera. Pędziłem przed siebie, aż końcowy łuk odsłonił mi światło dnia. Pognałem ku niemu, w biegu zakładając na szyję Klejnot. Czuję, jak opada na pierś. Sięgnąłem ku niemu myślą. Za mną, w jaskini, rozlegały się jakieś echa.

Na zewnątrz!

Pomknąłem do Wzorca, wczuwając się w Klejnot i zmieniając go w dodatkowy zmysł. Oprócz taty i Dworkina byłem jedynym w pełni dostrojonym człowiekiem.

Dworkin mówił, że naprawy może dokonać ktoś, kto przejdzie Wielki Worzec w stanie zestrojenia, za każdym okrażeniem wypalając płamę i zastępując ją fragmentem niesionego w umyśle obrazu Wzorca, a równocześnie wymazując czarną drogę. Lepiej więc ja niż tato. Wciąż miałem wrażenie, że czarna droga zawdzięcza część swej ostatecznej formy mocy, jaką dała jej moja klątwa rzucona na Amber. To także chciałem wymazać. Gdy skończy się wojna, tato i tak lepiej ode mnie poradzi sobie z porządkowaniem spraw. Zrozumiałem właśnie, że nie pragnę już tronu. Nawet gdyby był wolny, przytłaczał perspektywą nieskończonych szarych stuleci kierowania krajem, jakie mogły mnie jeszcze czekać.

Może najprostszym wyjściem byłoby zginąć przy naprawie Wzorca. Eryk już nie żył, a ja przestałem go nienawidzić. Drugi powód, który zmuszał mnie do działania – tron – wydawał się godny pożądania, ponieważ sądziłem, że on go pragnął. Zrezygnowałem z obu. Co pozostało? Wyśmiałem Vialle, potem zacząłem się zastanawiać. Miała rację. Cechy starego żołnierza wciąż pozostały we mnie dominujące. Wszystko jest kwestią obowiązku. Ale nie tylko. Istniało jeszcze coś...

Dotarłem do brzegu Wzorca i szybko ruszyłem na początek drogi. Obejrzałem się. Tato, Dworkin, Fiona... żadne z nich nie wynurzyło się jeszcze z jaskini. To dobrze. Nie zdążą mnie powstrzymać. Kiedy już postawię stopę na Wzorcu, będą mogli tylko czekać i patrzeć. Przez moment wyobraziłem sobie ginącego Iago, stłumiłem tę myśl, próbowałem odzyskać niezbędny dla podjęcia próby poziom spokoju. Wspomniałem pojedynkę z Brandem i jego niezwykle zniknięcie. Odepchnąłem także tę myśl, zwolniłem rytm oddechu, przygotowałem się.

Ogarnęła mnie jakaś apatia. Nadszedł czas, by zacząć, ale zatrzymałem się jeszcze na chwilę. Starałem się skoncentrować na czekającym mnie zadaniu. Worzec zafalował lekko. Teraz, do diabła! Teraz! Dość tych przygotowań! Ruszaj, powiedziałem sobie. Idź! A jednak wciąż stałem jak we śnie, zapatrzony w rysunek Wzorca. Zapomniałem o sobie. Był tylko Worzec, z podłużną, czarną plamą, którą należy usunąć...

Nie uważałem już za istotne, że może mnie zabić. Umysł dryfował, zachwycony pięknem rysunku...

Usłyszałem jakiś dźwięk; pewnie nadchodzą. Muszę coś zrobić, zanim tu dotrą. Muszę zacząć przejście, już, w tej chwili...

Oderwałem wzrok od Wzorca i spojrzałem w stronę wyjścia z jaskini. Wynurzyli się, zeszli do połowy zbocza i stanęli. Dlaczego? Czemu się zatrzymali?

Czy to ważne? Miałem dość czasu, by zacząć. Podniosłem nogę, by zrobić pierwszy krok. Ledwie

mogłem się ruszyć. Z najwyższym wysiłkiem przesuwałem stopę. Ten krok był trudniejszy niż końcowy fragment Wzorca. Miałem jednak wrażenie, że nie walczę z zewnętrznym oporem, a raczej z bezwładnością własnego ciała. Niemal jak...

W umyśle pojawił się obraz Benedykta obok Wzorca w Tir-na Nog'th. Brand zbliżał się, drwił, a Klejnot płonął mu na piersi...

Zanim jeszcze spojrzałem w dół, wiedziałem, co zobaczę.

Czerwony kamień pulsował w rytmie mojego tętna.

Niech ich szlag!

Tato albo Dworkin – a może obaj – sięgał poprzez Klejnot i paraliżował mnie. Nie miałem wątpliwości, że każdy z nich potrafiłby tego dokonać. Mimo to, z tej odległości, nie warto było poddawać się bez walki.

Wciąż przesuwałem stopę, zbliżając ją do krawędzi Wzorca. Jeśli mi się uda, to nie będą już mogli...

Senność... Czułem, że zaczynam się przewracać. Zasnąłem na moment, potem znowu.

Kiedy otworzyłem oczy, widziałem przy twarzy fragment rysunku. Odwróciłem głowę i dostrzegłem nogi.

A kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem tatę, trzymającego w ręku Klejnot.

– Odejdźcie – polecił Dworkinowi i Fionie. Nawet nie popatrzył w ich stronę.

Oddalili się, a tato zawiesił Klejnot na szyi. Potem pochylił się i podał mi rękę. Chwyciłem ją i wstałem.

– To był wariacki pomysł – stwierdził.

– Prawie mi się udało.

Przytaknął.

– Oczywiście, zginąłbyś tylko i niczego nie osiągnął – zauważył. – Ale i tak to dobra robota.

Chodź, przejdziemy się.

Wziął mnie pod rękę i ruszyliśmy wzdłuż obwodu Wzorca.

Patrzyłem na dziwne, pozbawione horyzontu niebo-morze wokół nas. Myślałem, co by się stało, gdybym zdążył rozpocząć przejście. Co działałoby się teraz?

– Zmieniłeś się – stwierdził w końcu. – Albo też nigdy cię naprawdę nie znałem.

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie jedno i drugie, po trochu. Właśnie chciałem powiedzieć to samo o tobie. Mogę o coś zapytać?

– O co?

– Czy trudno ci było udawać Ganelona?

Parsknął cicho.

– Wcale nietrudno. Może mogłeś wtedy zobaczyć prawdziwego mnie.

– Lubiłem go. Czy raczej ciebie w jego roli. Chciałbym wiedzieć, co się stało z prawdziwym Ganelonem.

– Dawno nie żyje, Corwinie. Spotkaliśmy się, kiedy wypędziłeś go z Avalonu. Nie był złym facetem. Nie zaufałem mu w niczym, ale w końcu, jeśli nie muszę, nie ufam nikomu.

– To cecha rodzinna.

– Przykro mi, że musiałem go zabić. Co prawda, nie pozostawił mi wielkiego wyboru. Wszystko to zdarzyło się wiele lat temu, ale pamiętam go dokładnie. Czyli, musiał zrobić na mnie wrażenie.

– A Lorraine?

– Kraina? Dobra robota; tak myślałem. Zająłem się odpowiednim cieniem. Nabrał mocy dzięki

mej obecności, jak zresztą każdy, w którym ktoś z nas pozostanie dostatecznie długo. Tak było z tobą w Avalonie i później, w tym innym miejscu. Zadbałem, by mieć tam dość czasu. Oddziaływałem swoją wolą na strumień czasowy.

– Nie wiedziałem, że to możliwe.

– Nabieracie mocy powoli, poczynając od dnia inicjacji we Wzorcu. Wielu jeszcze rzeczy musicie się nauczyć. Tak, wzmocniłem Lorraine i uczyniłem ją szczególnie podatną na rosnącą potęgę czarnej drogi. Dopilnowałem, by znalazła się na twojej ścieżce, nieważne dokąd byś poszedł. Po ucieczce, wszystkie twoje drogi prowadziły do Lorraine.

– Dlaczego?

– Była pułapką, jaką na ciebie zastawiłem... A może próbą. Chciałem być przy tobie, gdy spotkasz się z siłami Chaosu. Chciałem też przez pewien czas wędrować razem z tobą.

– Próba? Dlaczego chciałeś mnie wypróbować? I po co miałbyś wędrować razem ze mną?

– Nie domyślasz się? Obserwowałem was wszystkich przez długie lata. Nigdy nie wskazałem następcy. Świadomie nie wyjaśniałem tej kwestii. Zbyt jesteście do mnie podobni. Wiedziałem, że kiedy ogłoszę, kto jest spadkobiercą, to jakbym podpisał na niego czy na nią wyrok śmierci. Nie. Specjalnie pozostawiłem tę sprawę bez rozwiązania. Aż do końca. Teraz jednak zdecydowałem. To będziesz ty.

– Jeszcze w Lorraine nawiązałeś ze mną krótki kontakt. We własnej postaci. Powiedziałaś, że bym zasiadł na tronie. Jeśli już wtedy postanowiłeś, to po co ciągnąłeś całą tę maskaradę?

– Wcale wtedy nie postanowiłem. Musiałem tylko skłonić cię do dalszych starań. Bałem się, że za bardzo polubisz tę dziewczynę i kraj. Kiedy jako bohater wyszedłeś z Czarnej Kręgu, mogłeś osiedlić się tam i zostać już na stałe. Chciałem nakłonić cię jakoś do dalszej wędrówki.

Milczałem przez chwilę. Okrążyliśmy już sporą część Wzorca.

Wreszcie...

– Jest coś, o co chciałbym zapytać – oświadczyłem. – Zanim przybyłem tutaj, rozmawiałem z Darą, która właśnie próbuje oczyścić się w naszych oczach...

– Jest czysta – przerwał. – Ja ją oczyściłem.

Pokręciłem głową.

– Powstrzymałem się przed oskarżeniem jej o coś, o czym myślałem już od pewnego czasu. Mam ważny powód, by jej nie ufać, mimo jej protestów i twoich zapewnień. Nawet dwa powody.

– Wiem, Corwinie. Ale to nie ona zabiła sługi Benedykta, by zapewnić sobie pozycję w jego domu. Sam to zrobiłem, by traciła do ciebie, jak trafiła, dokładnie we właściwej chwili.

– Ty? Brałeś udział w tym spisku? Dlaczego?

– Będzie dla ciebie dobrą królową, synu. Wierzę w siłę krwi Chaosu. Nadeszła pora na kolejny zastrzyk. Wstąpisz na tron mając już dziedzica. Zanim Merlin dojrzeje do objęcia władzy, wykorzenimy z niego wpływy wczesnego wychowania.

Dotarliśmy do czarnej plamy. Zatrzymałem się, przykucnąłem i zacząłem się przyglądać.

– Sądzisz, że to cię zabije? – zapytałem.

– Wiem, że tak.

– By mną pokierować, potrafiłeś mordować niewinnych ludzi. A jednak chcesz poświęcić życie dla dobra królestwa.

Spojrzałem mu w oczy.

– Sam nie mam czystych rąk – wyznałem. – I nie próbuję cię osądzać. Jednak niedawno, kiedy szykowałem się do przejścia Wzorca, pojąłem, jak zmieniły się moje uczucia. Dla Eryka, dla tronu... Wierzę, że robisz to, co robisz, kierowany poczuciem obowiązku. Ja także mam obowiązki: wobec

Amberu i tronu. Nawet więcej. O wiele więcej. Wtedy to zrozumiałem. Lecz pojąłem coś jeszcze, coś, czego nie wymaga ode mnie obowiązek. Nie wiem, kiedy i jak się to skończyło ani kiedy sam się zmieniłem, ale nie pragnę już tronu, tato. Przykro mi, że niweczę twoje plany, ale nie chcę być królem Amberu. Przepraszam.

Odwrociłem wzrok, powracając do studiowania plamy.

Usłyszałem jego westchnienie.

– Odeślę cię teraz do domu – rzekł. – Osiodłaj konia i przygotuj prowiant. Udaj się w jakieś miejsce poza Amberem. Całkiem dowolne, byle na osobności.

– Mój grobowiec!

Parsknął i zachichotał.

– Może być. Jedź tam i czekaj na mnie. Muszę trochę pomyśleć.

Wstałem i położył mi dłoń na ramieniu. Klejnot pulsował blaskiem. Tato spojrział mi w oczy.

– Żaden z ludzi nie może mieć wszystkiego, czego pragnie, w taki sposób, w jaki tego zapragnął – oświadczył.

Nastąpił efekt oddalania, jak przy działaniu Atutu, tylko w przeciwną stronę. Usłyszałem głosy, potem dostrzegłem wokół siebie pokój, który niedawno opuściłem. Benedykt, Gerard, Random i Dara wciąż na mnie czekali. Poczułem, że tato puszcza moje ramię. Potem zniknął, a ja znów znalazłem się między nimi.

– Co to za historia? – odezwał się Random. – Widzieliśmy, jak tato cię odsyła. Przy okazji, jak on to zrobił?

– Nie wiem – przyznałem. – Ale potwierdził to, co mówiła Dara. To on dał jej sygnet i polecił przekazać wiadomość.

– Dlaczego? – zdziwił się Gerard.

– Chciał, żebyśmy się nauczyli jej ufać.

Benedykt wstał.

– Pójdę więc i zrobię to, co mi polecono.

– On chce, żebyś uderzył i zaraz się cofnął – oznajmiła Dara. – Potem wystarczy ich tylko powstrzymywać.

– Jak długo?

– Powiedział tylko, że to będzie oczywiste.

Benedykt skrzywił usta w jednym ze swych nieczęstych uśmiechów i skinął głową. Jedną ręką otworzył jakoś futerał z kartami, wyjął talię, odszukał specjalny Atut Dworców, który mu dałem.

– Powodzenia – rzucił Random.

– Tak – zgodził się z nim Gerard.

Dodałem też twoje życzenia i patrzyłem, jak się rozwiewa. Kiedy zniknął tęczy powidok, odwróciłem się i zauważyłem, że Dara płacze cicho. Powstrzymałem się od uwag.

– Ja także dostałem rozkazy... czy coś w tym rodzaju – oznajmiłem. – Lepiej wezmę się do pracy.

– A ja ruszę z powrotem na morze – dodał Gerard.

– Nie – usłyszałem głos Dary, gdy szedłem już do drzwi. Zatrzymałem się.

– Masz zostać tutaj, Gerardzie, i pilnować samego Amberu. Od strony morza nie nastąpi żaden atak.

– Przecież to Random miał dowodzić obroną miasta.

Pokręciła głową.

– Random ma dołączyć do Juliana w Ardenie.

– Jesteś pewna? – nie dowierzał Random.

– Absolutnie.

– Dobrze. Miło się przekonać, że chociaż raz o mnie pomyślał. Przepraszam, Gerardzie.

Zaskoczyło mnie to.

Gerard wyglądał na zwyczajnie zdziwionego.

– Mam nadzieję, że wie, co robi – mruknął.

– Mówiliśmy już o tym – przypomniałem. – Na razie.

Wychodząc z pokoju, usłyszałem za sobą kroki. Dara szła obok mnie.

– Co teraz? – spytałem.

– Pomyślałam, że przejdę się z tobą, dokądkolwiek zmierzasz.

– Idę tylko na górę, żeby zabrać parę rzeczy. Potem do stajni.

– Pójdę z tobą.

– Muszę jechać sam.

– I tak nie mogłabym ci towarzyszyć. Mam jeszcze porozmawiać z twoimi siostrami.

– One też są w to włączone?

– Tak.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. W końcu odezwała się.

– Cała ta sprawa nie była rozegrana tak na zimno, jak mogłoby się wydawać, Corwinie.

Weszliśmy do magazynu.

– Jaka sprawa?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Aha. Ta. To dobrze.

– Lubię cię. Pewnego dnia może to być coś więcej, o ile ty też coś czujesz.

Duma podsunęła mi złośliwą odpowiedź, ale ugryzłem się w język. W ciągu wieków można się nauczyć paru rzeczy.

Wykorzystała mnie, to prawda, ale okazało się teraz, że sama nie była wtedy panią siebie. Najgorsze, co mogłem powiedzieć, jak przypuszczam, było to, że tato pragnął, żebym jej pragnął. Nie pozwoliłem jednak, by oburzenie wpłynęło na moje uczucia czy też na to, jakie mogłyby się one stać. Więc...

– Ja też cię lubię – odparłem patrząc na nią.

Wyglądała, jakby potrzebowała pocałunku. Załatwiłem to. – Teraz lepiej zacznę się pakować.

Uśmiechnęła się i ścisnęła mnie za ramię. I odeszła.

W tej chwili wolałem nie badać zbyt dokładnie własnych uczuć. Spakowałem sprzęt. Osiodłałem Gwiazdę i ruszyłem przez szczyt Kolviru. Zatrzymałem się przy moim grobowcu. Siedząc na zewnątrz, paliłem fajkę i obserwowałem chmury. Miałem wrażenie, że przeżyłem ciężki dzień, a przecież wciąż było jeszcze wczesne popołudnie. Przeczucia grały w berka w grotach mojego umysłu, a żadnego z nich nie zaprosiłbym na obiad.

Rozdział 3

Kontakt nastąpił nagle, w chwili gdy drzemałem na siedząco. Natychmiast zerwałem się na nogi. To był tato.

– Corwinie, podjąłem niezbędne decyzje. Czas nadszedł – powiedział. – Odstoń lewe ramię.

Uczyliłem to, a jego postać materializowała się z wolna. Wyglądał coraz bardziej władczo, na twarzy zaś miał dziwny wyraz smutku, jakiego jeszcze u niego nie widziałem.

Lewą ręką chwycił mnie za przedramię, a prawą wy dobył sztylet.

Przyglądałem się, jak nacina mi skórę i chowa broń.

Popłynęła krew. Pochwycił ją w lewą, złożoną dłoń. Puścił moją rękę i odstąpił, potem uniósł dłonie do twarzy, dmuchnął w nie i rozsunął szybko.

Czubaty czerwony ptak rozmiaru kruka, z piórami barwy mojej krwi, siedział mu na przedramieniu. Przeszedł na nadgarstek i spojrzał na mnie. Nawet oczy miał czerwone; gdy pochylił głowę i obserwował czujnie, sprawiał wrażenie, że mnie poznaje.

– To jest Corwin. Ten, za którym masz podążać – powiedział tato. – Zapamiętaj go.

Potem posadził sobie ptaka na lewym ramieniu. Ptak przyglądał mi się ciągle, nie próbując odlecieć.

– Musisz jechać, Corwinie – rzekł tato. – Szybko. Dosiądź konia i ruszaj na południe. Przejdź w Cień gdy tylko ci się uda. Piekielny rajd. Odjedź stąd, jak najdalej potrafisz.

– Gdzie mam jechać, ojcze? – zapytałem.

– Do Dworców Chaosu. Znasz drogę?

– W teorii. Nigdy nie dotarłem tak daleko.

Wolno skinął głową.

– Ruszaj więc – ponaglił mnie. – Powinieneś wytworzyć możliwie duży dyferencjał czasowy pomiędzy sobą a Amberem.

– Dobrze. Ale nic nie rozumiem.

– Zrozumiesz, gdy nadejdzie czas.

– Jest przecież łatwiejszy sposób – zaprotestowałem. – Mogę się tam dostać szybciej i bez kłopotów. Wystarczy, że skontaktuję się przez Atut z Benedyktem i on mnie przetrzuci.

– Nic z tego – odparł tato. – Będziesz musiał wybrać dłuższą trasę, ponieważ zanieziesz tam coś, co zostanie ci dostarczone po drodze.

– Dostarczone? Jak?

Pogładził pióra czerwonego ptaka.

– Przez tego oto twojego przyjaciela. Nie zdoła dolecieć aż do Dworców. W każdym razie nie dość szybko.

– I co mi przyniesie?

– Klejnot. Nie sądzę, żebym sam zdołał go przetrzucić, kiedy już zakończę to, co mam do zrobienia.

W tamtym miejscu jego moc może się okazać przydatna.

– Rozumiem. Ale nie muszę pokonywać całej drogi. Mogę się przeatutować, kiedy otrzymam Klejnot.

– Boję się, że nie. Kiedy zrobię już to, co zrobić muszę, Atuty staną się na pewien czas bezużyteczne.

– Dlaczego?

– Ponieważ sama osnowa istnienia będzie ulegać przemianie. Ruszaj już, do diabła! Wsiadaj na konia i jedź!

Stałem nieruchomo i przyglądałem mu się jeszcze przez chwilę.

– Ojciec, czy nie ma innego sposobu?

Pokręcił tylko głową i uniósł rękę. Zaczął się rozplýwać.

– Żegnaj.

Odwróciłem się i wskoczyłem na siodło. Wiele jeszcze zostało do powiedzenia, ale było już za późno. Skierowałem Gwiazdę na szlak, który miał mnie poprowadzić na południe.

Tato umiał manipulować Cieniem nawet na szczycie Kolviru, ale ja tego nie potrafiłem. Żeby dokonać przeskoku, musiałem bardziej oddalić się od Amberu. Jednak wiedząc, że to możliwe, postanowiłem spróbować. Zatem, podążając na południe po nagich kamieniach i skalnymi przełęczami, gdzie wyl wicher, na szlaku wiodącym ku Garnath starałem się wpływać na osnowę rzeczywistości.

Niewielka kępka niebieskich kwiatów za skalnym występem.

Ich widok wzbudził emocje, gdyż kwiaty były skromną częścią moich starań. Nadal kształtowałem swą wolę świat, jaki miał się ukazać za każdym zakrętem drogi.

Cień trójkątnego głazu padający na moją ścieżkę... Zmiana wiatru...

Niektóre drobne przemiany naprawdę zachodziły.

Trakt zataczający krąg... Rozpadlina... Stare ptasie gniazdo na skalnej półce... Więcej niebieskich kwiatów... Dlaczego nie? Drzewo... Jeszcze jedno... Czułem wibrującą we mnie moc. Wprowadzałem następne przemiany.

Zastanowiłem się chwilę nad tą świeżo nabytą potęgą. Całkiem możliwe, że to czysto psychologiczne przyczyny nie pozwalały wcześniej na takie manipulacje. Jeszcze całkiem niedawno uważałem Amber za jedyną, niezmienną rzeczywistość, z której brały swą postać wszystkie cienie. Teraz wiedziałem, że był tylko pierwszym spośród nich, a miejsce, gdzie przebywał teraz mój ojciec, reprezentowało rzeczywistość wyższego rzędu.

Zatem, choć bliskość utrudniała, to przecież nie uniemożliwiała dokonywania przemian. Mimo to w innych okolicznościach oszczędzałbym siły do punktu, w którym byłoby to łatwiejsze.

Teraz... teraz jednakże wiedziałem, że muszę się spieszyć. Muszę się starać, pędzić, wypełnić wolę ojca.

Nim dotarłem do szlaku prowadzącego w dół południowej ściany Kolviru, okolica zmieniła się wyraźnie.

Zamiast na stromy zjazd, jaki zwykle znaczył tę drogę, spoglądałem na ciąg łagodnych zboczy. Wkraczałem już w krainy cieni.

Czarna droga wciąż biegła po lewej stronie niby ciemna blizna, ale Garnath, którą przecinała, była w nieco lepszym stanie niż ta, którą znałem tak dobrze. Surowe liście zostały złagodzone kępami zieleni porastającej trochę bliżej martwego pasa. Miałem wrażenie, że moja rzucona na tę ziemię kłątwa została lekko osłabiona. Iluzoryczne uczucie, naturalnie, gdyż nie był to już dokładnie mój Amber. Mimo to... Przepraszam za rolę, jaką w tym wszystkim odegrałem, zwróciłem się w myślach do wszystkiego, prawie jak w modlitwie. Jadę teraz, by spróbować to odwrócić. Wybacz mi, duchu tego miejsca.

Wzrok przesunął się w stronę Gaju Jednorożca, lecz leżał on zbyt daleko na zachód, ukryty za zbyt wielu drzewami, bym mógł choćby przelotnie ujrzeć święty zagajnik.

Zbocze łagodniało, zamienione w ciąg niewielkich wzniesień. Pozwoliłem Gwieździe przyspieszyć, gdy pokonywaliśmy je, zacierając na południowy zachód, a potem na południe. Niżej,

wciąż niżej. Gdzieś daleko po lewej stronie iskrzyło się i lśniło morze. Wkrótce pojawi się między nami czarna droga, gdyż wjeżdżając do Garnath, zbliżałem się do niej. Cokolwiek uczynię z Cieniem, nie zdołam wymazać jej złowieszczej obecności. Co gorsza, równoległe do niej biegł najkrótszy z możliwych szlaków.

Wreszcie stanęliśmy na dnie doliny. Las Arden wyrastał w dali po prawej stronie i sięgał ku zachodowi, pradawny i niezmierny. Jechałem przed siebie, dokonując zmian, które miały przenieść mnie jeszcze dalej od domu.

Wprawdzie trzymałem się czarnej drogi, ale nie zbliżałem się do niej zanadto. Nie mogłem, gdyż była jedynym elementem, którego nie potrafiłem zmienić.

Staralem się, by rozdzielały nas krzaki, drzewa i niewysokie pagórki.

Sięgnąłem przed siebie i zmieniła się faktura krainy. Żyły agatu... Stosy łupków... Ciemniejsza zieleń... Chmury płynące po niebie... Słońce migocze i tańczy... Przyspieszyliśmy kroku. Grunt opadł jeszcze niżej, cienie wydłużyły się i połączyły, las się odsunął. Skalna ściana wyrosła po prawej stronie, druga po lewej... Chłodny wiatr ścigał mnie wzdłuż kanionu. Migwały pasma skalnych warstw: czerwone, złote, żółte i brązowe. Piasek pokrył dno kanionu. Wokół unosiły się wiry kurzu. Pochyliłem się mocniej, gdyż droga znowu wiodła pod górę. Ściany wygięły się do wnętrza i zbliżyły do siebie.

Szlak zwężał się, zwężał coraz bardziej. Mogłem już niemal dotknąć obu ścian...

Ich szczyty połączyły się. Jechałem cienistym tunelem, zwalniając, gdy stawało się ciemniej... Z niby wystrzeliły fosforyzujące rysunki, a wiatr jęczał głośno.

Na zewnątrz zatem!

Światło ze ścian oślepiało, a wokół nas wyrosły gigantyczne kryształy. Pędziliśmy między nimi, w górę, ścieżką prowadzącą stąd dalej w serię dolinek, gdzie niewielkie, idealnie okrągłe jeziora leżały wśród mchu nieruchomo niby płyty zielonego szkła.

Przed nami wyrosły wysokie paprocie. Wjechaliśmy w ich gąszcz. Usłyszałem daleki głos trąbki.

Zakręty, kroki... Paprocie, czerwone teraz, szersze i niższe... Dalej rozległa równina, różowiejąca ku wieczorowi...

Naprzód, poprzez blade trawy... Aromat świeżej ziemi... Daleko z przodu masyw ciemnych chmur... Po lewej pęd gwiazdnych wirów... Wąskie pasmo wilgotnej mgły... Błękitny księżyc wskakuje na niebo... Migotanie wśród mrocznych kłębow... Wspomnienia i głos gromu... Zapach burzy i pęd powietrza...

Silny wiatr... Chmury przesłaniają gwiazdy... Jasne widły wbijają się w rozszczerzone drzewo po prawej stronie, zmieniając je w płomień... Mrowienie... Zapach ozonu... Strugi wody leją się na mnie... Rząd światła po lewej... Stuk kopyt po bruku ulicy... Zbliża się jakiś dziwny pojazd... Cylindryczny, posapujący... Wymijamy się nawzajem... ściga mnie wołanie... W oświetlonym oknie twarz dziecka...

Stuk... Chłupot... Szyldy sklepów i domy... Deszcz słabnie, rzednie, odchodzi... Przepływa mgła, unosi się, gęstnieje, po lewej stronie lśni perłowym blaskiem...

Grunt staje się miękki, czerwienieje... światło wśród mgły coraz silniejsze... Nowy wiatr, w plecy, cieplejszy... Powietrze rozpada się... Bładocytrynowe niebo... Pomarańczowe słońce pędzące w stronę południa...

Drżenie! To nie moja dzieła, rzecz zupełnie nieprzewidziana... Ziemia porusza się pod nami, ale z pewnością dzieje się coś więcej. Nowe niebo, nowe słońce, rdzawa pustynia, na którą właśnie wjechałem – wszystko to zdaje się rozszerzać i zwężać, zanikać i powracać.

Rozlega się trzask, a po każdym zaniku widzę, że Gwiazda i ja jesteśmy sami wśród białej nicości,

jak postaci bez tła. Kroczymy po pustce. Światło dochodzi ze wszystkich stron i tylko nas oświetla. Uszy atakuje nieustanny trzask, jakby wiosenna odwilż dotarła do rosyjskiej rzeki, której brzegiem kiedyś, jechałem. Gwiazda, który kłusował już w wielu cieniach, rzy przestraszony.

Rozglądam się. Pojawiają się mgliste kontury, wyostrzają się, wyrównują. Otoczenie zostaje odtworzone, chociaż wydaje się lekko wyblakłe. Świat stracił nieco barwnika.

Wykręcamy w lewo, pędzimy w stronę niskiego pagórka, wspinamy się, wreszcie stajemy na szczycie. Czarna droga. Ona też wygląda nienaturalnie – nawet bardziej niż wszystko pozostałe. Marszczy się pod moim spojrzeniem, niemal faluje. Trzaski trwają, są coraz głośniejsze...

Od północy nadlatuje wiatr, z początku łagodny, potem nabierający mocy. Patrząc w tamtą stronę widzę rosnącą masę ciemnych chmur.

Wiem, że muszę pędzić, jak jeszcze nigdy w życiu.

Ekstremalne moce destrukcji i kreacji działają w tamtym miejscu, które odwiedziłem... kiedy? Nieważne. Fale suną od Amberu i on także może zniknąć... a ja razem z nim. Jeśli tato nie zdoła poskładać wszystkiego z powrotem.

Potrząsam uzdą. Galopujemy na południe.

Równina... Drzewa... Jakieś zburzone domy... Szybciej...

Dym płonącego lasu... Ściana ognia... Zniknęła... Żółte niebo, błękitne chmury... Armada sterowców... Szybciej...

Słońce opada jak kawałek rozpalonego żelaza w wiadro wody, gwiazdy rozciągają się w pasma... Blade światło na prostym szlaku... Dopplerowsko ściśnięte dźwięki z ciemnych plam, wycie... Jaśniejszy blask, mniej wyraźna perspektywa... Szarość po lewej stronie, po prawej... Teraz jaśniej... Prócz szlaku nie ma nic, na czym mógłbym oprzeć wzrok... Wycie wznosi się do wrzasku... Kształty pędzą ku nam... Galopujemy przez tunel Cienia... Zaczyna wirować...

Obrót, obrót... Tylko droga jest rzeczywista... Przebiegają światy... Zrezygnowałem z kierowania ruchem i płynę teraz popychany czystą mocą, mającą tylko oddalić mnie od Amberu i cisnąć ku Chaosowi... Wiatr mnie owiewa i krzyk drażni uszy... Nigdy jeszcze nie próbowałem wykorzystać swej władzy nad Cieniem aż do granic jej możliwości... Tunel staje się gładki i śliski jak szkło... Czuję, że mknę w głąb wiru, maelstromu, w oko cyklonu... Pot zalewa Gwiazdę i mnie... Mam wrażenie, że uciekam, że coś mnie ściga... Droga zmienia się w abstrakcję... Oczy mnie szczypią, gdy mrugam, by strząsnąć z powiek krople potu... Nie wytrzymam dłużej tego rajdu... Czuję pulsowanie bólu u podstawy czaszki...

Delikatnie ściągam cugle i Gwiazda zaczyna zwalniać...

Ściany mojego tunelu nabierają barw... Już nie jednostajność cienia, ale plamy szarości, bieli, czerni... Brąz... Przebłysk błękitu... Zieleni... Wycie opada do huku, dudnienia, cichnie... Słabnie wiatr... Kształty nadpływają i znikają...

Wolniej, wolniej...

Nie ma ścieżki. Jadę po porośniętej mchem ziemi. Niebo jest błękitne, chmury białe. Kręci mi się w głowie, ściągam wodze... Ja...

Maleńka.

Kiedy spojrzałem w dół, byłem zdumiony. Stałem na obrzeżach wioski lalek. Domki, które zmieściłbym w dłoni, wąziutkie drogi, przesuwane się po nich maleńkie pojazdy...

Obejrzałem się. Rozgnietliśmy kilka takich miniaturowych rezydencji. Spojrzałem wokół. Po lewej stronie było ich mniej. Ostrożnie skierowałem tam Gwiazdę, jechałem wolno, póki nie opuściliśmy tego miejsca.

Czułem się winny wobec... cokolwiek to było... kogokolwiek, kto tam mieszkał. Ale nic nie

mogłem poradzić.

Jechałem dalej poprzez Ciebie, by wreszcie dotrzeć do czegoś, co uznałem za porzucony kamieniołom pod zielonkawym niebem. Czułem się tu cięższy, zsiadłem, napiłem się wody, trochę pospacerowałem. Głęboko wciągałem w płuca wilgotne powietrze. Byłem daleko od Amberu, tak daleko, że rzadko kiedy trzeba jechać dalej. Pokonałem spory kawałek drogi do Chaosu. Nieczęsto oddalałem się tak bardzo. Wybrałem to miejsce na odpoczynek, gdyż było najbliższe normalności ze wszystkich, jakie mógłbym znaleźć. Wkrótce jednak zmiany staną się bardziej radykalne.

Przeciągnąłem się, by rozprostować obolałe mięśnie. I wtedy, wysoko z góry, z powietrza, doleciał krzyk.

Podniosłem głowę i zobaczyłem opadający ciemny kształt. Grayswandir sam wskoczył mi w dłoń. Lecz światło padło pod odpowiednim kątem i skrzydlaty kształt rozbłysnął nagle płomieniem czerwieni.

Znajomy ptak zatoczył krąg, potem drugi, i wylądował mi na wyciągniętej ręce. W jego przerażających oczach dostrzegłem niezwykłą inteligencję, lecz nie poświęciłem jej uwagi, co pewnie bym uczynił przy innej okazji.

Schowałem tylko Grayswandira i sięgnąłem po przedmiot, który przyniósł ptak.

Klejnot Wszchemocy.

Poznałem więc, że dzieło taty, na czymkolwiek polegało, zostało ukończone. Wzorzec był naprawiony albo uszkodzony. Tato żywy lub martwy. Niepotrzebne skreślić. Efekty jego działań rozszerzą się teraz na Ciebie niby przysłowiowe kręgi na wodzie. Wkrótce poznam je lepiej. Na razie jednak miałem swoje rozkazy.

Założyłem łańcuch na szyję, a Klejnot opadł mi na pierś. Dosiadłem Gwiazdy. Ptak mojej krwi wydał krótki krzyk i uniół się w powietrze.

Ruszyliśmy.

Przez pejzaż, w którym niebo bielało, a ziemia czerniała. Potem grunt rozbłysnął, a pociemniało niebo. A potem na odwrót. I znowu... układ zmieniał się z każdym krokiem, a kiedy pomknęliśmy szybciej, stał się stroboskopowym ciągiem nieruchomych obrazów, stopniowo przechodząc w stadium rwanej animacji, potem w nadruchliwość niemych filmów. W końcu wszystko zlało się razem.

Punkty światła przebiegały obok jak meteory lub komety. Zacząłem wyczuwać głuchy rytm, niby kosmiczne tętno. Wszystko obracało się wokół, jakby pochwycił mnie wir.

Coś tu nie pasowało. Jakbym tracił panowanie. Czyżby efekty działań taty dotarły już do obszaru Cienia, który właśnie mijałem? To raczej mało prawdopodobne. Jednakże...

Gwiazda potknął się. Przyłgnałem do grzywy, gdy padaliśmy; w Cieniu wolałem się z nim nie rozłączać.

Uderzyłem ramieniem o twardą powierzchnię i przez chwilę leżałem oszołomiony.

Kiedy świat wokół znowu złożył się w całość, usiadłem i rozejrzałem się.

Przeważał jednostajny półmrok, ale nie było gwiazd. Zamiast nich unosiły się i płynęły w powietrzu spore gązdy różnych kształtów i rozmiarów. Wstałem i spojrzałem dookoła.

O ile mogłem to ocenić, nierówna, skalista powierzchnia, na której stałem, sama mogła być głazem wielkości góry, dryfującym wraz z innymi. Gwiazda podniósł się i stanął drżący obok mnie. Panowała absolutna cisza. Chłodne powietrze trwało w bezruchu.

Ani żywej duszy w polu widzenia. Nie podobała mi się ta okolica i nie zatrzymałbym się tu z własnej woli. Przyklęknąłem, by zbadać nogi Gwiazdy. Chciałem jak najszybciej stąd odjechać, w miarę możliwości konno.

Gdy się pochyliłem, usłyszałem cichy śmiech, który mogła wydać krtań człowieka.

Znieruchomiałem z dłonią na rękojeści Grayswandira.

Szukałem źródła dźwięku.

Nic. Nigdzie.

A jednak słyszałem go. Odwróciłem się wolno, spoglądając czujnie przed siebie. Nic... Wtedy usłyszałem go znowu. Tylko tym razem zorientowałem się, że jego Źródło znajduje się w górze.

Przeszukałem wzrokiem polatujące skały. Trudno było cokolwiek zauważyć pod osłoną cieni...

Tam!

Dziesięć metrów nad ziemią i jakieś trzydzieści na lewo ode mnie, na niewielkiej wyspie na niebie stało coś podobnego do człowieka i obserwowało mnie. Zastanowiłem się. Cokolwiek to było, znajdowało się chyba zbyt daleko, by mi zagrozić. Byłem pewien, że zdołam stąd zniknąć, zanim to do mnie dotrze. Ruszyłem, by dosiąść Gwiazdy.

– Nic z tego, Corwinie – zawołał głos, którego naprawdę wolałbym w tej chwili nie słyszeć. – Jesteś tu uwięziony. Bez mojej zgody w żaden sposób nie zdołasz odjechać.

Uśmiechnąłem się, wskoczyłem na siodło i chwyciłem Grayswandira.

– Przekonamy się – zawołałem. – Chodź, spróbuj mnie zatrzymać.

– Jak chcesz! – odkrzyknął. Z nagiej skały strzeliły płomienie, wzniosły się, zamknęły krąg wokół mnie.

Falowały i kołysały się bezgłośnie.

Gwiazda oszalał. Wepchnąłem broń do pochwy, zarzuciłem mu na głowę skraj płaszcza, zaszepotałem uspokajająco do ucha. Krąg ognia rozszerzył się, płomienie odstąpiły na brzegi wielkiego głazu, na którym staliśmy.

– Przekonałeś się? – dobiegł głos. – Masz za mało miejsca. Gdziekolwiek pojedziesz, twój wierzchowiec wpadnie w panikę, zanim zdołasz przeskoczyć w Cień.

– Żegnaj, Brandzie – odparłem i ruszyliśmy.

Jechałem po kamiennej powierzchni w lewo, zasłaniając prawe oko Gwiazdy przed ogniem płonącym na granicy ziemi. Znów usłyszałem śmiech Branda. Nie domyślał się, co robię.

Dwa spore głazy... Dobrze. Jechałem, trzymając się kursu. Teraz wyszczerbiona skalna ściana po lewej, podjazd, zagłębienie... Płomienie rzucały na drogę istną plataninę cieni... Jest. W dół... W górę. Kępka zieleni w tej plamie światła... Czułem, że zaczynam przeskok.

To prawda, łatwiej nam wybierać proste trasy. Nie znaczy to jednak, że nie ma innych sposobów. Czasem zapominamy, że krążąc w kółko też można się przemieszczać...

Zbliżając się znowu do dwóch głazów, wyraźniej odczuwałem przejście. Brand także się zorientował.

– Stój, Corwinie!

Pokazałem mu wystawiony w górę palec i skręciłem między głazy, wzdłuż wąskiego kanionu upstrzonego punktami żółtego światła. Według zamówienia.

Zsunąłem płaszcz z oczu Gwiazdy i potrząsałem cugłami. Kanion skręcał ostro w prawo. Podążyliśmy za nim w lepiej oświetloną dolinę, coraz szerszą i jaśniejszą.

...Pod sterczącą przewieszką; za nią niebo barwy mleka z perłowym połyskiem.

Jedziemy szybciej, mocniej, dalej... Zygzak skarpy wieńczy urwisko po lewej stronie, zieleniejąc poskręcanymi krzakami pod niebem barwy różu. Jechałem, aż krzaki zyskały odcień błękitu pod żółtym niebem, aż kanion wznosił się na spotkanie lawendowej równiny, gdzie toczyły się pomarańczowe skały, a grunt drżał w rytmie uderzeń kopyt. Minałem wirujące komety, dotarłem na brzeg krwistoczerwonego morza w powietrzu ciężkim od aromatów. Kłusując plażą, przesunąłem

wielkie, zielone słońca, a potem małe, brązowe. Szkieletowe floty ścierały się ze sobą, a węże z głębin okręwały statki o pomarańczowych i błękitnych żaglach. Klejnot pulsował mi na piersi, a ja czerpałem z niego siłę. Nadleciał dziki wicher i cisnął nas poprzez niebo w miedzianych chmurach, ponad wyjąca otchłanią, która zdawała się trwać całą wieczność: z czarnym dnem, przecinana iskrami, dysząca oszałamiającymi zapachami...

Za plecami nie cichnący głos gromu... Delikatne linie, niby pęknięcia na starym obrazie, przed nami, coraz bliżej, wszędzie... ściga nas lodowaty, zabijający zapachy wiatr...

Linie... Pęknięcia rozszerzają się, wypełnia, je czern...

Ciemne pasma pędzą w górę, w dół, tam i z powrotem... tworzenie sieci, wysiłek gigantycznego, niewidzialnego pająka, który chce pochwycić świat...

W dół, w dół i w dół... Znów ziemia, pomarszczona i szorstka jak szyja mumii... Nasza bezdźwięczna, wibrująca jazda... Cichnie grom, zamiera wiatr... Ostatnie tchnienie taty? Szybciej teraz i jak najdalej stąd...

Coraz węższe linie osiągają delikatność stalorytu i topnieją w żarze trzech słońc... I jeszcze szybciej... Zbliża się jeździec... Sięga do miecza równocześnie ze mną... Ja. Czy to ja sam powracam? Równocześnie salutujemy... Przenikamy się w jakiś niezwykle sposób, powietrze niby płaszczyzna wody w tym jednym krótkim mgnieniu... Co tam lustro Carrolla, co tam Rebma czy efekt Tir-na Nog'th... A jednak daleko, daleko z lewej strony wije się coś czarnego... Pędzimy wzdłuż drogi... To ona mnie prowadzi...

Białe niebo, biała ziemia, brak horyzontu... Perspektywa bez słońca i chmur... Tylko ta nitka czerni w oddali i wszędzie lśniące piramidy, masywne, niepokojące... Jesteśmy zmęczeni. Nie podoba mi się to miejsce... Ale prześcignęliśmy chyba to, co nas goni, czymkolwiek jest. Szarpnąć cugle.

Byłem zmęczony, ale czułem jakąś niezwykłą żywotność. Zdawała się tryskać gdzieś z głębi piersi... Klejnot. Naturalnie. Spróbowałem znów sięgnąć do Źródła jego energii. Poczułem, jak ta energia płynie przez kończyny i prawie nie zatrzymuje się na palcach. Zupełnie jakby...

Tak. Sięgnąłem na zewnątrz i poddałem swej woli to martwe, geometryczne otoczenie. Zaczęło się zmieniać. To był ruch. Piramidy przemieszczały się i mijając mnie wypełniały mrokiem. Coraz mniejsze, stapiały się i rozsypywały w piach. Świat stanął na głowie. Znalazłem się na dolnej powierzchni chmury, a w dole, nad głową, przeskakiwały pejzaże.

Światło płynęło w górę, obok mnie, od strony złocistego słońca pod stopami. To także minęło, a runo ziemi poczerniało i wystrzeliło w górę strugi wody, by erozją zniszczyć przelatujący ład. Przeskakiwały błyskawice, by trafić i rozbić na strzępy ziemię nad głową. Pękała miejscami, a jej odłamki padały wokół mnie.

Zaczęły wirować, a jednocześnie nadpłynęła fala mroku.

Gdy znów pojawiło się światło, tym razem niebieskawe, nie miało punktowego Źródła i nie ukazywało żadnej ziemi.

Złote mosty przecinają pustkę wielkimi wstęgami; jedna z nich błyszczy wprost pod nami. Suniemy jej kursem, stojąc nieruchomo jak posąg... Trwa to może stulecie. Oczy atakuje syndrom spokrewniony z hipnozą autostrady; usypia mnie niebezpiecznie. Robię co mogę, by przyspieszyć ten przejazd. Mija kolejne stulecie.

Wreszcie, bardzo daleko, mroczny, mglisty kleks. To cel, mimo naszej prędkości rosnący bardzo powoli. Kiedy tam docieramy, jest już gigantyczny: wyspa wśród pustki, zalesiona złotymi, metalicznymi drzewami...

Powstrzymuję ruch, który doniósł nas aż tutaj. Dalej podążamy o własnych siłach. Wkraczamy w lasy. Trawa jak folia aluminiowa – szeleści, gdy przechodzimy pod drzewami. Z gałęzi zwisają

dziwne, lśniące i blade owoce. Żadnych głosów zwierzyny, co zauważam natychmiast. Podążamy w głąb, aż stajemy na niewielkiej polanie, przez którą płynie rtęciowy strumień. Tu zsiadam z konia.

– Bracie Corwinie – dobiega znowu ten głos. – Czekałem na ciebie.

Rozdział 4

Zwróciłem się w stronę lasu i patrzyłem, jak wychodzi spomiędzy drzew. Nie chwytałem za miecz, gdyż on również nie wy dobył swojego. Myślą sięgnąłem jednak do Klejnotu. Po niedawnych doświadczeniach wiedziałem, że z jego pomocą mogę nie tylko sterować pogodą.

Nie wiem, jaką mocą dysponował Brand, lecz ja miałem broń, z którą mogłem stawić mu czoło.

Klejnot zaczął pulsować głębszą czerwienią.

– Rozejm – zawołał Brand. – Zgoda? Możemy porozmawiać?

– Nie sądzę, żebyśmy jeszcze mieli sobie coś do powiedzenia – odparłem.

– Jeśli nie dasz mi szansy, nigdy nie będziesz wiedział na pewno.

Zatrzymał się jakieś siedem metrów przede mną i z uśmiechem zarzucił na lewe ramię swój zielony płaszcz.

– W porządku. Mów, co masz mówić – powiedziałem.

– Próbowałem cię tam zatrzymać – rzekł. – Chodziło o Klejnot. To oczywiste, że wiesz już, czym on jest i jak jest ważny.

Milczałem.

– Tato już go użył – mówił dalej. – Z przykrością muszę cię zawiadomić, że poniósł klęskę w tym, co zamierzał.

– Co? Skąd możesz wiedzieć?

– Widzę poprzez Ciebie, Corwinie. Myślałem, że nasza siostra udzieliła ci dokładniejszych informacji o tych sprawach. Przy niewielkim wysiłku psychicznym potrafię zobaczyć, co tylko zechcę. Oczywiście, interesował mnie wynik tej próby. Dlatego patrzyłem. On nie żyje, Corwinie. Wysiłek okazał się zbyt wielki. Stracił panowanie nad mocami, którymi kierował. Został przez nie zniszczony tuż za połową drogi przez Wzorzec.

– Kłamiesz! – Dotknąłem Klejnotu.

Pokręcił głową.

– Przyznaję, że dla osiągnięcia swych celów mógłbym posunąć się do kłamstwa, ale tym razem mówię prawdę. Tato nie żyje. Widziałem, jak pada. Ptak przyniósł ci potem Klejnot, jak tego pragnął. Pozostaliśmy we wszechświecie bez Wzorca.

Nie chciałem mu wierzyć. Ale to możliwe, że tato przegrał. Jedyne ekspert w tej dziedzinie, Dworkin, zapewnił mnie, że zadanie jest wyjątkowo trudne.

– Załóżmy na chwilę, że mówisz prawdę. Co dalej? – zapytałem.

– Wszystko się rozpadnie – wyjaśnił. – Już teraz wzbiera Chaos, by wypełnić pustkę po Amberze. Powstał olbrzymi wir. I wciąż rośnie, rozszerza się, niszcząc światy cieni; nie zniknie, póki nie sięgnie Dworców Chaosu. Całe istnienie zatoczy pełny krąg i Chaos znowu zapanuje nad wszystkim.

Byłem wstrząśnięty. Czy po to wyrwałem się z Greenwood, tyle przeszedłem i dotarłem aż tutaj, żeby skończyć w taki sposób? Czy mam patrzeć, jak wszystko traci znaczenie, kształt, istotę i życie, gdy rzeczy spychane są do czegoś w rodzaju ostatecznego spełnienia?

– Nie! – oświadczyłem. – Tak być nie może.

– Chyba że... – mruknął cicho Brand.

– Chyba że co?

– Chyba że zostanie wykreślony nowy Wzorzec, stworzony nowy porządek, który zachowa kształt świata.

– Chcesz powiedzieć, że trzeba jechać z powrotem i próbować dokończyć, co zaczął tato? Mówiłeś przecież, że tamto miejsce już nie istnieje.

– Nie. Oczywiście, że nie. Położenie nie ma znaczenia. Ośrodek jest tam, gdzie Wzorzec. Mógłbym to zrobić nawet tutaj.

– Myślisz, że uda ci się to, czego tato nie potrafił?

– Muszę spróbować. Jestem jedyny, który ma dostateczną wiedzę i dość czasu, nim nadciągną fale Chaosu. Posłuchaj: przyznaję się do wszystkiego, co bez wątpienia opowiadała o mnie Fiona. Intrygowałem i spiskowałem. Zawarłem układ z wrogami Amberu. Przelałem naszą krew. Chciałem ci zniszczyć pamięć. Ale świat, jaki znamy, właśnie ulega destrukcji, a ja także w nim żyję. Wszystkie moje plany – wszystko! – zawiedzie, jeśli nie utrzymamy choćby śladów porządku. Być może Władcy Chaosu mnie oszukali. Trudno mi to przyznać, ale istnieje taka możliwość. Jeszcze nie jest za późno, by się zemścić. Możemy wznieść nowy bastion porządku.

– Jak?

– Potrzebuję Klejnotu... i twojej pomocy. Tutaj powstanie nowy Amber.

– Powiedzmy, dla podtrzymania dyskusji, że ci pomogę. Czy nowy Wzorzec będzie taki sam jak stary? Pokręcił głową.

– Nie. Nawet Wzorzec, który próbował odtworzyć tato, nie byłby identyczny z Wzorcem Dworkina. Dwóch autorów nie może w taki sam sposób opowiedzieć tej samej historii. Nie da się uniknąć różnic stylu. Choćbym jak najdokładniej starał się go skopiować, moja wersja będzie trochę inna.

– Jak chcesz tego dokonać? – zdziwiłem się. – Nie jesteś przecież w pełni zestrojony z Klejnotem. Dla dokończenia procesu potrzebny byłby Wzorzec, a jak sam powiedziałaś, Wzorzec uległ zniszczeniu. Co pozostaje?

– Mówiłem, że będę potrzebował twojej pomocy – przypomniał. – Jest inny sposób dostrojenia się do Klejnotu. Wymaga współpracy kogoś, kto ma to już za sobą. Będziesz musiał jeszcze raz dokonać projekcji siebie poprzez Klejnot i poprowadzić mnie ze sobą, do wnętrza, i przeprowadzić przez pierwotny Wzorzec, który tam istnieje.

– A potem?

– Kiedy zakończymy tę ciężką próbę i będę dostrojony, ty oddasz mi Klejnot, ja nakreślę nowy Wzorzec i wracamy do zwykłych zajęć. Wszystko trzyma się kupy. Życie płynie dalej.

– Co z Chaosem?

– Nowy Wzorzec nie będzie splamiony. Zabraknie im drogi, dającej dostęp do Amberu.

– Tato nie żyje. Kto będzie rządził nowym Amberem?

Uśmiechnął się chytrze.

– Chyba za moje trudy należy mi się jakaś nagroda, nie sądzisz? Będę przecież ryzykował życie, a szanse wcale nie są takie duże.

Odpowiedziałem uśmiechem.

– Biorąc pod uwagę wysokość nagrody, czemu właściwie nie miałbym podjąć tej próby samodzielnie? – zapytałem.

– Z tej samej przyczyny, która nie pozwoliła tacie zwyciężyć: to wszystkie potęgi Chaosu. Kiedy rozpoczyna się taki akt, zostają przywołane czymś w rodzaju odruchu, tyle że na kosmiczną skalę. Wiem coś o nich. Ty nie masz żadnej szansy. Ja mogę mieć.

– A teraz przypuśćmy, drogi Brandzie, że mnie okłamujesz. Albo bądźmy uprzejmi i przypuśćmy, że w tym zamieszaniu niezbyt dokładnie zrozumiałeś, co się dzieje. A jeśli tacie się udało? Jeśli istnieje w tej chwili nowy Wzorzec? Co się stanie, jeśli tu i teraz stworzysz następnego?

– Ja... Nikt tego nigdy nie robił. Skąd mam wiedzieć?

– Zastanawiam się – mówiłem dalej. – Czy mimo to zechcesz realizować w ten sposób swoją wersję rzeczywistości? Czy będzie to oznaczać rozkład naszego wszechświata, Amberu i Cienia, specjalnie dla ciebie? Czy nowy układ będzie negacją naszego, czy zaistnieje niezależnie? A może będą się nakładać? Co w danej sytuacji przewidujesz?

Wzruszył ramionami.

– Już ci odpowiedziałem. Nikt jeszcze tego nie próbował. Skąd mam wiedzieć?

– A ja myślę, że wiesz, a przynajmniej się domyślasz. Myślę, że to właśnie zaplanowałeś, że tego chcesz spróbować. Ponieważ nic więcej ci nie pozostało. Twoje działanie uważam za wskazówkę, że tacie się powiodło, a ty możesz zagrać już tylko swoją ostatnią kartą. Ale potrzebny jestem ja i potrzebny ci jest Klejnot. Nie dostaniesz jednego ani drugiego.

Westchnął.

– Spodziewałem się po tobie czegoś więcej. Ale niech będzie. Nie masz racji, ale nie chcę się kłócić. Posłuchaj. Zamiast patrzeć, jak wszystko ginie, wolę raczej podzielić się z tobą władzą.

– Brandzie – powiedziałem. – Spływaj stąd. Nie dostaniesz Klejnotu i nie uzyskasz ode mnie pomocy. Wysłuchałem cię i uważam, że kłamiesz.

– Boisz się – stwierdził. – Mnie się boisz. Nie mam do ciebie pretensji o ten brak zaufania. Ale popełniasz błąd. Jestem ci potrzebny.

– Mimo to dokonałem już wyboru.

Zbliżył się o krok. Potem o następny.

– Co tylko zechcesz, Corwinie. Mogę ci dać wszystko, czego zażadasz.

– Byłem z Benedyktem w Tir-na Nog'th – odparłem. – Patrzyłem przez jego oczy i słuchałem jego uszami, kiedy składałaś mu tę samą propozycję. Wypchaj się, Brandzie. Zamierzam wypełnić swą misję. Jeśli sądzisz, że potrafisz mnie powstrzymać, równie dobrze możesz spróbować teraz.

Ruszyłem ku niemu. Wiedziałem, że zabiłbym go, gdybym go dopadł. I wiedziałem, że raczej go nie dopadnę.

Zatrzymał się. Odstąpił o krok.

– Popełniasz wielki błąd – oświadczył.

– Nie sądzę. Myślę, że robię właśnie to, co powinienem.

– Nie będę z tobą walczył – zapewnił pospiesznie. – Nie tutaj, nie nad otchłanią. Miałaś okazję. Kiedy spotkamy się znowu, będę musiał odebrać ci Klejnot siłą.

– Co ci z niego przyjdzie bez dostrojenia?

– Może istnieje jakiś sposób, żeby tego dokonać. Trudniejszy, ale możliwy. Zmarnowałeś swoją szansę. Żegnaj.

Wycofał się między drzewa. Poszedłem za nim, ale zniknął.

Opuściłem to miejsce i jechałem dalej drogą ponad pustką. Wolałem nie myśleć, że Brand mógł choćby częściowo mówić prawdę. Lecz to, co powiedział, nękało mnie bez przerwy. A jeśli tato przegrał? Wtedy moja misja jest daremna. Wszystko skończone. To już tylko kwestia czasu. Wolałem się nie oglądać na wypadek, gdyby coś mnie doganiało. Przeszedłem na średnie tempo piekielnego rajdu. Chciałem odszukać pozostałych, zanim dosięgną ich fale Chaosu; chciałem im udowodnić, że do ostatka zachowałem wiarę; wykazać, że na końcu dałem z siebie wszystko. Zastanawiałem się też, jak toczy się bitwa. A może w tamtej ramie czasowej jeszcze się nie zaczęła?

Jechałem wzdłuż mostu, który rozszerzał się pod coraz jaśniejszym niebem. Kiedy przybrał wygląd złocistej równiny, raz jeszcze przemyślałem groźbę Branda. Czy powiedział to wszystko, by wzbudzić we mnie wątpliwości, wywołać niepokój i zmniejszyć skuteczność działań? Możliwe.

Jednakże, jeśli potrzebuje Klejnotu, będzie musiał zastawić na mnie pułapkę. A czułem szacunek dla niezwyklej mocy, jaką zdobył w Cieniu. To prawie niemożliwe, by ustrzec się przed atakiem kogoś, kto może obserwować każdy mój ruch i przenieść się natychmiast na najbardziej korzystną pozycję. Kiedy zechce zaatakować? Uznałem, że niezbyt prędko. Przede wszystkim spróbuje osłabić mnie psychicznie. Już przecież byłem zmęczony i bardziej niż trochę zdenerwowany.

Prędzej czy później będę musiał odpocząć. Nie zdołałem w jednym etapie pokonać tak wielkiej odległości, choćbym nie wiem jak przyspieszył piekielny rajd.

Obłoki różu, pomarańcza i zieleni przepływały obok, wirowały i wypełniały świat. Grunt dźwięczał pod kopytami jak metal. Od czasu do czasu w górze rozlegały się muzyczne tony, podobne do brzęku kryształu. Myśli tańczyły mi w głowie. Wspomnienia wielu światów zjawiały się i znikały bez żadnego porządku. Ganelon, mój przyjaciel – wróg, i mój ojciec, wróg – przyjaciel, łączyli się i rozdzielali, rozdzielali i łączyli. W pewnej chwili któryś z nich zapytał, kto ma prawo do tronu. Sądziłem wtedy, że to Ganelon chce poznać nasze liczne usprawiedliwienia. Teraz wiem, że to tato chciał zbadać moje odczucia. On już osądził. Zdecydował. A ja się wycofałem. Sam nie wiem, czy uznać to za zahamowanie w rozwoju, chęć uniknięcia ciężaru korony czy raczej nagłe olśnienie, oparte na wszystkim, czego doświadczyłem w ostatnich latach, narastające we mnie z wolna i umożliwiająca bardziej dojrzałe spojrzenie na uciążliwą – poza rzadkimi momentami chwały – rolę monarchy. Wspominałem swoje życie na cieniu-Ziemi, wspominałem wykonywane i wydawane rozkazy. Przed moimi oczami przepływały twarze ludzi, których poznałem w ciągu wieków: przyjaciele, wrogowie, żony, kochanki, krewni. Zdawało mi się, że macha do mnie Lorraine, śmieje się Moire i szłocha Deirdre, znowu walczyłem z Erykiem. Przypominałem sobie moje pierwsze przejście Wzorca – byłem wtedy chłopcem – i to późniejsze, gdy krok po kroku odzyskiwałem pamięć.

Powróciły morderstwa, kradzieże, rozboje, uwiedzenia... ponieważ, jak mawiał Mallory, zawsze tam były. Nie potrafiłem nawet zlokalizować ich dokładnie w czasie.

Nie odczuwałem szczególnego niepokoju, bo nie miałem szczególnych wyrzutów sumienia. Czas, czas i jeszcze raz czas stąpił surowe przeżycia i dokonał we mnie przemian. Patrzyłem na moje wcześniejsze ja jak na innych ludzi, znajomych, których przerosłem. Nie rozumiałem, jak mogłem być niektórymi z nich. Pędziłem przed siebie, a sceny z przeszłości zdawały się materializować wśród mgieł. To nie żadna licentia poetica. Bitwy, w których uczestniczyłem, były rzeczywiste, tyle że absolutnie bezdźwięczne: błyski broni, barwy mundurów, proporców i krwi. I ludzie – w większości od dawna martwi – wynurzali się z moich wspomnień na ten świat niemej animacji. Nie było wśród nich nikogo z rodziny, jednak wszyscy kiedyś wiele dla mnie znaczyli.

Mimo to w ich pojawianiu się nie było śladu uporządkowania. Widziałem czyny szlachetne i godne pogardy; wrogów i przyjaciół... a żadna z osób nie zwracała na mnie uwagi; wszystkie pochłonięte były jakimiś od dawna nieistotnymi działaniami. Zastanawiałem się nad charakterem tej okolicy. Czy była rozcieńczoną wersją Tir-Na Nog'th z niedalekim Źródłem jakiejś myślczącej substancji, sięgającej do moich wspomnień, by wyświetlić panoramę zatytułowaną "Oto twoje życie"? Czy może po prostu zaczynały się halucynacje? Byłem zmęczony, niespokojny, zmartwiony i rozkojarzony, jechałem zaś szlakiem monotonnie i łagodnie stymulującym zmysły w sposób wiodący do rozmarzenia... Zdałem sobie sprawę, że już dość dawno straciłem kontrolę nad Cieniem i teraz zwyczajnie posuwam się liniowo poprzez pejzaż, pochwycony w spektaklu uzewnętrznionego narcyzmu... Zrozumiałem, że muszę się zatrzymać i odpocząć, może nawet trochę się przespać... choć bałem się robić to tutaj. Będę musiał wyrwać się i dotrzeć do spokojniejszego, opuszczonego miejsca...

Szarpnąłem otoczenie. Skręciłem je wokół siebie.

I wyrwałem się z niego. Wkrótce potem jechałem przez surową, górzystą okolicę, a po chwili dotarłem do jaskini, której pragnąłem.

Wjechaliśmy do wnętrza. Zająłem się Gwiazdą, potem zjadłem coś i wypilem, ale tylko tyle, by głód stał się mniej dokuczliwy. Nie rozpalałem ognia. Owiąłem się w płaszcz i wyjęty z juków koc. W prawej dłoni trzymałem Grayswandira. Leżałem zwrócony twarzą w stronę mroku za otworem wyjścia.

Nie czułem się najlepiej. Wiedziałem, że Brand jest kłamcą, ale jego słowa i tak budziły niepokój. Zawsze byłem dobry w zasypianiu. Zamknąłem oczy i odpłynąłem w sen.

Rozdział 5

Obudziło mnie wrażenie czyjejś obecności. A może hałas i wrażenie czyjejś obecności. W każdym razie ocknąłem się pewny, że nie jestem sam. Mocniej chwyciłem Grayswandira i otworzyłem oczy. Poza tym, nie poruszałem się.

Przez otwór jaskini wpadał słaby, jakby księżycowy blask. Stała tam jakaś postać, możliwe, że ludzka. W tym oświetleniu nie mogłem stwierdzić, czy stoi przodem do mnie czy do wyjścia. Ale wtedy zrobiła krok w moją stronę.

Poderwałem się, kierując ostrze w jej pierś. Stanęła.

– Pokój – odezwał się męski głos, mówiący w Thari. – Chciałem tylko skryć się przed burzą. Czy mogę przeczekać w twojej jaskini?

– Jaką burzą? – zdziwiłem się.

Jakby w odpowiedzi zahuczał grom i dmuchnął pachnący deszczem wiatr.

– W porządku; to przynajmniej jest prawdą – mruknąłem. – Rozgość się.

Usiadł dość daleko od wyjścia, oparty o ścianę po prawej stronie. Zwinąłem koc i zająłem miejsce naprzeciwko. Dzielili nas jakieś cztery metry. Znalazłem fajkę, nabiłem, potem wypróbowałem zapalnik, którą miałem jeszcze z cienia-Ziemi. Zapaliła się, oszczędzając mi masy kłopotów. Wdychałem zmieszany z wilgotną bryzą aromat tytoniu, nasłuchiwałem odgłosów deszczu i obserwowałem sylwetkę mojego bezimiennego towarzysza. Myślałem o wszystkich możliwych niebezpieczeństwach; lecz głos, który się do mnie odezwał, nie należał do Branda.

– To nie jest zwyczajna burza – oznajmił przybysz.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Przede wszystkim nadciąga z północy. O tej porze roku nigdy nie przychodzą z północy. Nie tutaj.

– W taki sposób powstają legendy – zauważyłem.

– Po drugie, jeszcze nigdy nie widziałem, by burza tak się zachowywała. Przez cały dzień obserwowałem, jak nadchodzi: sunąca wolno ściana z frontem gładkim jak tafla szkła. A tyle błyskawic, że wyglądała jak gigantyczny owad z setkami błyszczących odnóży. Bardzo dziwne. A za nią wszystko się wykrzywia.

– Tak bywa podczas deszczu.

– Nie w ten sposób. Wszystko jakby traci kształt. Płynie. Jak gdyby ta burza rozpuszczała świat... albo rozgniatała jego formy.

Zadrzałem. Miałem nadzieję, że wyprzedziłem mroczne fale dostatecznie, by chwilę odpocząć. Z drugiej strony, przybysz mógł się mylić, a zjawisko było tylko nietypową burzą. Mimo wszystko, wolałem nie ryzykować. Wstałem i spojrzałem w głąb jaskini. Gwizdnąłem.

Żadnej odpowiedzi. Podeszedłem i zacząłem macać rękami.

– Coś się stało?

– Mój koń zniknął.

– Może gdzieś odbiegł?

– Na pewno. Chociaż myślałem, że Gwiazda ma więcej rozumu.

Podeszedłem do otworu jaskini, ale niczego nie dostrzegłem. Za to w jednej chwili przemokłem do nitki.

Wróciłem na swój posterunek pod lewą ścianą.

– Dla mnie wygląda to jak całkiem zwyczajna burza – oświadczyłem. – W górach często zdarzają się bardzo silne nawałnice.

– Może więc znasz tę okolicę lepiej ode mnie?

– Nie. Przejeżdżałem tylko. Zresztą, wkrótce powinienem ruszać dalej.

Dotknąłem Klejnotu. Sięgnąłem myślą do niego, a potem poprzez niego na zewnątrz i w górę. Wyczułem wokół siebie burzę i nakazałem jej odejść; czerwone pulsowanie energii odpowiadało uderzeniom mojego serca. Potem oparłem się, znalazłem drugą zapalną i zapaliłem wygasłą fajkę. Trzeba było czasu, by siły, jakie przywołałem, wykonały swą pracę na tak potężnym froncie burzowym.

– To już nie potrwa długo – powiedziałem.

– Skąd wiesz?

– Informacja zastrzeżona.

Parsknął.

– Według niektórych wersji, tak właśnie skończy się świat: poczynając od niezwyklej burzy z północy.

– Zgadza się – odparłem. – I to jest właśnie to. Ale nie ma się czym martwić. W ten czy w tamten sposób już niedługo nastąpi koniec.

– Ten kamień, który nosisz... on świeci.

– Tak.

– Ale żartowałeś, że to już koniec, prawda?

– Nie.

– Przywodzisz mi na myśl werset Świętej Księgi... Archanioł Corwin przejdzie przed burzą, niosąc na piersi błyskawicę... Nie masz przypadkiem na imię Corwin?

– Jak to idzie dalej?

– ...Spytany, dokąd zmierza, odpowie "Na krańce Ziemi", gdzie dąży nie wiedząc, który z nieprzyjaciół wspomógł go przeciw innemu ani kogo dotknie Róg.

– To już wszystko?

– Wszystko, co napisano o Archaniele Corwinie.

– Nieraz już natrafiłem na podobne trudności z Pismem. Mówi dość, by człowieka zaciekawić, ale nigdy tyle, żeby to się na coś przydało. Zupełnie jakby autora podniecało takie kuszenie. Jeden nieprzyjaciel przeciw innemu? Róg? Nic z tego nie rozumiem.

– A dokąd ty zmierzasz?

– Niezbyt daleko, o ile nie znajdę swojego konia.

Wróciłem do wyjścia. Deszcz był już słabszy. Widziałem blask jakby księżycy za chmurami na zachodzie, i drugiego na wschodzie. Spojrzałem na szlak, w obie strony, i w dół, w głąb doliny. Żadnych koni w polu widzenia. Jednak kiedy wracałem do jaskini, usłyszałem daleko w dole rzenie Gwiazdy.

– Muszę iść! – krzyknąłem do obcego. – Możesz zatrzymać mój koc.

Nie wiem, czy odpowiedział, gdyż wybiegłem w lekką mżawkę, szukając drogi w dół zbocza. Raz jeszcze wysiliłem się poprzez Klejnot i mżawka ustąpiła miejsca mgle.

Kamienie były śliskie, ale bez potknięcia udało mi się dotrzeć do połowy stoku. Zatrzymałem się wtedy, by chwilę odetchnąć i żeby się rozejrzeć. Z tego miejsca trudno było określić, skąd dobiegło rzenie Gwiazdy. Księżyc świecił odrobinę jaśniej, widziałem trochę lepiej, ale studiując panoramę pod sobą, nie dostrzegłem niczego. Przez kilka minut nasłuchiwałem uważnie.

Wtedy raz jeszcze usłyszałem rzenie – w dole, po lewej, w pobliżu ciemnego głązu, kopca kamieni

czy sterczącej skały. Zdawało mi się, że w cieniu u podstawy trwa jakieś zamieszanie. Ruszyłem tam jak najszybciej. Na płaskim gruncie mijałem poruszone zachodnią bryzą pasma srebrzystej mgły, owijające się wężowo wokół kostek. Usłyszałem skrzypiący, zgrzytliwy dźwięk, jakby po kamienistej powierzchni przetaczano czy popychano coś ciężkiego. Potem zauważyłem błysk światła – nisko na tle ciemnej masy, do której się zbliżałem.

Po chwili rozróżniałem już w prostokącie światła niewielkie człekokształtne sylwetki, z wysiłkiem próbujące poruszyć wielki kamienny blok. Gdzieś stamtąd dobiegały także echa stukotu kopyt i rżenia. Kamień ruszył z miejsca i zamknął się jak wrota, którymi prawdopodobnie był. Prostokąt światła zmalował, zmienił się w szczelinę, wreszcie zniknął z hukiem, gdy wszystkie postacie wbiegły do wnętrza.

Kiedy dotarłem do skalnej masy, wokół znów panowała cisza. Przyłożyłem ucho do kamienia, ale na próżno.

Te stworzenia jednak, kimkolwiek były, zabrały mi konia. Nigdy nie lubiłem koniokradów i w swoim czasie zabiłem ich kilku. A Gwiazda był mi teraz potrzebny jak jeszcze nigdy w życiu. Dlatego przesuwałem dłonie po skale, szukając brzegów kamiennych wrót.

Bez trudu zakreśliłem czubkami palców kontury. Znalazłem je chyba szybciej, niż potrafiłbym w świetle dnia, kiedy wszystko zlałoby się razem i zmieszało, oszukując wzrok. Teraz potrzebowałem jeszcze jakiegoś uchwytu, by otworzyć wrota. Te stworzenia wydały mi się raczej niewielkie, więc szukałem nisko.

Wreszcie odkryłem coś odpowiedniego. Chwyciłem mocno i pociągnąłem, lecz kamień nie ustępował. Albo byli nieproporcjonalnie silni, albo stosowali jakieś sztuczki, o których nie miałem pojęcia.

Nieważne. Są sytuacje wymagające delikatności, i inne, właściwe dla brutalnej siły. Byłem zły i spieszyłem się, więc bez trudu podjąłem decyzję.

Napinając mięśnie ramion, barków i grzbietu, pociągnąłem kamienny blok. Żałowałem, że nie ma przy mnie Gerarda. Wrota skrzypnęły. Ciągnąłem dalej. Poruszyły się lekko, jakieś trzy centymetry. I utknęły. Nie ustępując, szarpnąłem mocniej. Skrzypnęły znowu.

Odsunąłem się, przeniósłem ciężar ciała i oparłem stopę o kamienną framugę tuż obok przejścia. Odpychałem się nogą i ciągnąłem. Znowu usłyszałem skrzypienie, potem zgrzyt i blok poruszył się o kolejne dwa centymetry. Potem stanął i nie zdołałem go już przesunąć.

Zwolniłem uchwyt i rozprostowałem ręce. Potem nacisnąłem ramieniem i zamknąłem wrota. Nabrałem tchu i złapałem znowu.

Oparłem lewą stopę o skałę. Tym razem nie zwiększałem nacisku stopniowo. Z całej siły pchnąłem i szarpnąłem równocześnie.

Wewnątrz, coś trzasnęło i brzęknęło, a wrota ze zgrzytem rozsunęły się na jakieś piętnaście centymetrów. Stawiały chyba mniejszy opór, więc odwróciłem się, zaparłem plecami o ścianę i nacisnąłem mocno.

Poruszały się swobodniej, ale nie mogłem się powstrzymać i gdy tylko odsunęły się dostatecznie, wsparłem o nie stopę i pchnąłem z całej siły. Odkoczyły na pełne sto osiemdziesiąt stopni, głośno huknęły o skałę, pękły w kilku miejscach, zakołysały się i padły na ziemię z trzaskiem, od którego zadrżał grunt. Rozleciały się na kawałki.

Zanim upadły, trzymałem już w dłoni Grayswandira.

Schylłem się i szybko zajrzałem do środka.

Blask... Korytarz był oświetlony... Przez niewielkie lampy zwisające z haków w ścianach... Nad schodami... Prowadzącymi w dół... Do miejsca, gdzie było jaśniej i skąd dobiegały jakieś dźwięki...

Jakby muzyka... Nie dostrzegłem nikogo. Zdawało mi się, że narobiłem strasznego huk, który powinien zwrócić czyjąś uwagę, ale muzyka trwała bez żadnej przerwy. Albo w jakiś sposób hałas tam nie dotarł, albo nic ich nie obchodził.

Wszystko jedno...

Wyprostowałem się i przestępując próg zaczepiłem stopą o jakiś metalowy przedmiot. Podniosłem go i obejrzałem: skrzywiona sztaba. Zaryglowali za sobą drzwi. Cisnąłem ją za siebie i ruszyłem schodami w dół.

Muzyka – skrzypki i piszczałki – rozbrzmiewała coraz głośniejsze. Z tego, jak odbijało się światło, zgadywałem, że po prawej stronie u stóp schodów znajduje się jakaś sala. Stopnie były małe i było ich bardzo dużo. Nie próbowałem się skradać, tylko zbiegłem szybko w dół.

Kiedy spojrzałem w głąb sali, zobaczyłem scenę jak ze snu pijanego Irlandczyka. W zadymionej, oświetlonej pochodniami komnacie cała horda metrowych ludków o czerwonych twarzach i w zielonych kubrakach tańczyła w rytm muzyki i piła z kufli coś, co wyglądało na piwo, równocześnie tupiąc nogami i waląc pięściami w stoły, klepiąc się po ramionach, bawiąc się, śmiejąc i krzycząc.

Wzdłuż ściany stały wielkie beczki, a przed jedną z nich, otwartą, ustawiała się kolejka ucztujących. Na drugim końcu sali płonęło gigantyczne ognisko; dym znikał w szczelinie ponad dwoma otworami prowadzącymi nie wiadomo dokąd. Gwiazda stał uwiązany do żelaznego pierścienia przy palenisku, a krzepki mężczyzna w skórzanym fartuchu szlifował i ostrzył jakieś podejrzane wyglądające narzędzia.

Kilka głów zwróciło się ku mnie, rozległy się krzyki i muzyka umilkła. Zapanowała niemal absolutna cisza. Uniosłem miecz do pozycji en garde i klingą wskazałem Gwiazdę. Wszystkie oczy spoglądały już w moją stronę.

– Przeszedłem po swojego konia – poinformowałem. – Albo mi go przyprowadzicie, albo sam po niego pójde. W tym drugim przypadku krwi będzie o wiele więcej.

Z prawej strony ktoś się odezwał: wyższy i bardziej siwy od pozostałych. Odchrząknął.

– Wybacz, proszę – zaczął. – Ale jak się tutaj dostałeś?

– Będą wam potrzebne nowe drzwi – odparłem. – Idź i sam zobacz, jeśli masz ochotę... i jeśli zrobi to jakąś różnicę, a może zrobić. Zaczekam.

Odstąpiłem na bok i stanąłem plecami do ściany.

Skinął głową.

– Tak uczynię.

Przebiegł obok mnie.

Czułem, jak zrodzona z gniewu siła dopływa do Klejnotu i wypływa z niego. Jakaś cząstka mnie pragnęła wyciąć, wyrąbać i wykluczyć drogę przez salę, inna chciała bardziej pokojowego rozwiązania konfliktu z ludźmi o tyle ode mnie mniejszymi. Trzecia, może najmądrzejsza, podpowiadała, że te maluchy nie mogą nie być zupełnymi ofermami. Czekałem więc, jakie wrażenie wywrze na ich rzeczniku mój wyczyn przy wrotach. Wrócił po chwili, obchodząc mnie z daleka.

– Przyprowadźcie mu konia – polecił.

W sali rozległo się szemranie. Opuściłem klingę.

– Bardzo przepraszam – powiedział ten, który wydał rozkaz. – Nie chcemy kłopotów z ludźmi twojego rodzaju. Będziemy szukać spyży gdzie indziej. Chyba nie masz pretensji?

Człowiek w skórzanym fartuchu odwiązał Gwiazdę i ruszył ku mnie. Ucztujący cofali się, robiąc mu przejście.

Westchnąłem.

– Powiem, że sprawa zakończona, wybaczę i zapomnę – uspokoiłem go.

Mały człowieczek wziął ze stołu i podał mi pełen kufel. Widząc moją minę, napił się pierwszy.

– Może więc wypijesz z nami?

– Czemu nie? – Wychyliłem kufel, a on osuszył drugi.

Czknął cicho i uśmiechnął się.

– Niewielka to porcja dla kogoś twoich rozmiarów – stwierdził. – Pozwól, że przyniosę następny.

Na drogę.

Piwo było nieźle, a ja spragniony po wysiłku.

– Zgoda.

Zawołał o więcej. Tymczasem podano mi cugle Gwiazdy.

– Możesz uwiązać uzdę do tego haka. – Wskazał mi pręt sterczący ze ściany przy wejściu. – Koń będzie tu bezpieczny.

Skinąłem głową i gdy tylko odszedł rzeźnik, usłuchałem rady. Nikt już na mnie nie patrzył. Pojawił się dzban piwa, a mały człowieczek napełnił nasze kufle. Jeden ze skrzypków zagrał nową melodię. Natychmiast przyłączył się drugi.

– Usiądź na chwilę – zaproponował gospodarz, nogą podsuwając mi zydel. – Jeśli wolisz, siadaj plecami do ściany. Nie będzie żadnych sztuczek.

Usiadłem, a on zajął miejsce naprzeciw. Dzban stał między nami. Przyjemnie było odpocząć, na chwilę zapomnieć o podróży, napić się ciemnego ale i posłuchać wesolej melodii.

– Nie będę więcej przeproszał – oznajmił mój towarzysz. – Ani się tłumaczył. Obaj wiemy, że to nie było nieporozumienie. Ale wyraźnie widać, że słuszność jest po twojej stronie. – Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo. – Dlatego też jestem skłonny zakończyć na tym całą sprawę. Nie będziemy głodować. Tyle że nie będzie dziś uczy. Piękny nosisz klejnot. Opowiesz mi o nim?

– Zwykły kamyk – odparłem.

Znowu zaczęły się tańce, a rozmowy były coraz głośniejsze. Dopilem piwo, a on dolał mi z dzbana. Falowały płomienie. Chłód nocy z wolna opuszczał moje kości.

– Macie tu przytulną kryjówkę – zauważyłem.

– Mamy, to prawda. Służy nam od niepamiętnych czasów. Może cię oprowadzić?

– Dziękuję, raczej nie.

– Nie myślałem tego serio, ale jako gospodarz miałem obowiązek to zaproponować. Jeśli masz ochotę, włącz się do tańca.

Ze śmiechem pokręciłem głową. Myśl o podrygach w tym towarzystwie przywodziła na myśl wizje Swifta.

– W każdym razie dziękuję.

Wyjął i nabił glinianą fajkę. Wyczyściłem swoją i nabiłem również. Miałem wrażenie, że niebezpieczeństwo minęło zupełnie. Mój rozmówca okazał się sympatycznym maluchem, a pozostali wydawali się teraz zupełnie niegroźni, roztańczeni i weseli.

A jednak... Znałem podobne historie z innego miejsca, dalekiego, tak bardzo dalekiego stąd... Zbudzić się o świcie na jakimś polu, nago, gdy znikną wszelkie ślady... Wiedziałem, a mimo to...

Parę kufli niczym chyba nie groziło. Rozgrzewały mnie; ostre głosy skrzypek i zawodzenie piszczalek były przyjemną odmianą po otepiałających serpentynach piekielnego rajdu. Oparłem się wygodnie i dmuchnąłem dymem. Obserwowałem tancerzy.

Karzełek mówił i mówił. Pozostali nie zwracali na mnie uwagi. To dobrze. Słuchałem jakiejś fantastycznej przedy opowieści pełnych rycerzy, wojen i skarbów.

Poświęcałem jej tylko niewielką część uwagi, a przecież wciągała mnie, wywołując nawet kilka chichotów. W głębi zaś mniej sympatyczna, mądrzejsza część umysłu ostrzegała: dobrze, Corwinie,

masz już dość; pora się żegnać...

Ale w magiczny sposób mój kufel znowu był pełen, a ja podniosłem go i pociągnąłem. Jeszcze tylko jeden... jeszcze jeden przecież nie zaszkodzi.

Nie, powiedziało moje drugie ja. Przecież on rzuca na ciebie urok. Nie czujesz tego?

Nie wierzyłem, by jakiś karzeł potrafił mnie upić. Byłem jednak zmęczony i niewiele jadłem. Może rozsądniej będzie...

Głowa mi się kiwała. Odłożyłem fajkę na stół. Po każdym mrugnieniu coraz więcej czasu zajmowało ponowne otwarcie oczu. Było mi przyjemnie i ciepło; w rękach i nogach czułem maleńką drobinę cudownego otępienia.

Dwa razy zauważyłem, że zdrzemnąłem się przez moment. Próbowiałem myśleć o misji, o własnym bezpieczeństwie, o Gwieździe... Wymruczałem coś, wciąż zachowując za opuszczonymi powiekami resztkę przytomności. Tak przyjemnie byłoby nie ruszać się jeszcze choć pół minuty...

Melodyjny głos małego człowieka zmienił się w monotonne, jednostajne brzęczenie...

Gwiazda zarżał.

Wyprostowałem się nagle, szeroko otwierając oczy.

Scena, jaką zobaczyłem, przepędziła z umysłu resztki senności.

Muzykanci grali ciągle, ale nikt już nie tańczył. Wszyscy skradali się do mnie, a każdy trzymał coś w ręku: butelkę, pałkę, nóż. Ten w skórzanym fartuchu potrząsał swoim tasakiem. Mój towarzysz pochwycił właśnie tęgi kij, oparty dotąd o ścianę. Niektórzy wznosili jakieś kawałki umeblowania. Nowi wybiegali z korytarzy za paleniskiem, a wszyscy nieśli kamienie i maczugi.

Zniknęły wszelkie ślady wesołości, a drobne twarze były albo całkiem bez wyrazu, albo wykrzywione w nienawistnych grymasach czy wyjątkowo nieprzyjemnych uśmiechach.

Gniew powrócił, ale nie był już tą wściekłą pasją, którą odczuwałem poprzednio. Spoglądając na tę horde, wcale nie miałem ochoty się z nią mierzyć. Ostrożność studziła nastroje. Miałem misję do spełnienia. Nie będę nadstawiał karku, jeśli tylko znajdę inny sposób załatwienia sprawy. Byłem jednak pewien, że nie zdołam się wyłgać z tej sytuacji.

Odetchnąłem głęboko. Widziałem, że szykują się już do ataku i nagle wspomniałem Branda i Benedykta w Tir-na Nog'th; Brand nie był nawet w pełni dostrojony do Klejnotu. Raz jeszcze z ognistego kamienia zaczerpnąłem siłę, gotów się bronić, gdyby zaszła potrzeba. Ale najpierw spróbuję zaatakować ich systemy nerwowe.

Nie byłem pewien, jak Brand tego dokonał, więc po prostu sięgnąłem ku nim poprzez Klejnot – jak wtedy, gdy wpływałem na pogodę. To dziwne, ale wciąż grała muzyka, jak gdyby napad małego ludku był jakąś upiorną kontynuacją tańca.

– Stójcie – nakazałem głośno, podnosząc się zza stołu. – Nie ruszajcie się. Zmieńcie się w posągi. Wszyscy.

Poczułem ciężki puls w piersi i na szyi. Czułem, jak rubinowa moc płynie na zewnątrz – jak zwykle przy użyciu Klejnotu.

Mali napastnicy zatrzymali się. Najbliżsi zamarli zupełnie, choć z tyłu niektórzy jeszcze się poruszali. Piszczalki jęknęły szaleńczo, a skrzypki zamilkły. Wciąż nie byłem pewien, czy ja to osiągnąłem, czy też znieruchomieli sami, widząc, jak wstaję.

Wtedy poczułem potężne fale mocy, płynące ode mnie i obejmujące całe zgromadzenie coraz ciaśniejszą siecią.

Poczułem, że są uwięzieni w tej ekspresji mojej woli.

Sięgnąłem za siebie i odwiązałem Gwiazdę.

Powstrzymując ich koncentracją czystą jak wszystko, z czego korzystałem w wędrówce poprzez

Cień, poprowadziłem Gwiazdę do wyjścia. Obejrzałem się jeszcze, by po raz ostatni spojrzeć na unieruchomioną gromadę, i pchnąłem wierzchowca przodem, schodami w górę.

Idąc nasłuchiwałem, ale z dołu nie dobiegł żaden głos. Na zewnątrz świt rozjaśniał już niebo na wschodzie. Dziwne, ale kiedy wskakiwałem na siodło, usłyszałem dalekie dźwięki skrzypek. Po chwili włączyły się piszczałki. Jak gdyby nie miało znaczenia, czy w swych planach wobec mnie odnieśli sukces czy porażkę; ucza trwała nadal.

Ruszałem już, gdy krzyknęła coś do mnie mała figurka, stojąca na szczycie bramy, przez którą niedawno wyszedłem. Był to ich przywódca, z którym piłem. Ściągnąłem cugle, by lepiej słyszeć jego słowa.

– A dokąd zmierzasz? – zawołał.

Dlaczego nie?

– Na krańce Ziemi! – odkrzyknąłem.

Podskoczył nagle na czubku swych rozbitych wrót.

– Szczęśliwej drogi, Corwinie! – wrzasnął.

Pomachałem mu. Rzeczywiście, dlaczego nie? Czasem cholernie ciężko odróżnić tancerza od tańca.

Rozdział 6

Przejechałem niecałe tysiąc metrów w stronę, która poprzednio była południem, gdy wszystko się nagle skończyło: ziemia, niebo, góry... Stałem przed płaszczyzną białego światła. Wspomniałem wtedy tego przybysza z jaskini i jego słowa. Miał przecucie, że ta burza wymazuje świat, że odpowiada czemuś pochodzącemu z miejscowego mitu apokalipsy. Może miał rację. Może była to fala Chaosu, o której wspominał Brand; może sunęła wtedy, niszcząc i rozrywając. Ale ten koniec doliny pozostał nietknięty. Dlaczego?

Wtedy przypomniałem sobie, jak zaatakowałem tę burzę. Użyłem Klejnotu i mocy zawartego w nim Wzorca. Powstrzymałem nawałnicę nad tym obszarem. A jeśli była czymś więcej niż zwyczajną burzą? Worzec zwyciężał już nad Chaosem. Czy ta dolina, gdzie zahamowałem deszcz, jest tylko wyspą na morzu Chaosu? A jeśli tak, to jak mam jechać dalej?

Na wschodzie jaśniał już dzień, lecz żadne słońce nie wynurzyło się zza horyzontu, by zawisnąć w niebiosach; była tam ogromna, lśniąca oślepiającym blaskiem korona i przesunięty przez nią ogromny miecz. Usłyszałem śpiew ptaka, zupełnie jak śmiech. Schyliłem się i zakryłem twarz rękami. Szaleństwo...

Nie! Bywałem już w takich niesamowitych cieniach. Im dalej, tym dziwniejsze niekiedy się stają. Aż do... O czym to myślałem owej nocy w Tir-na Nog'th?

Przypomniałem sobie dwa zdania z opowiadania Isaka Dinesena. Wywarły na mnie tak silne wrażenie, że nauczyłem się ich na pamięć, mimo że byłem wtedy Carlem Coreym: "...Niewielu ludzi może o sobie powiedzieć, że wolni są od wiary, iż świat, który widzą wokół siebie, jest w istocie tworem ich własnej wyobraźni. Czy jesteśmy więc zadowoleni, czy jesteśmy z niego dumni?"

Podsumowanie ulubionej filozoficznej rozrywki w rodzinie. Czy stwarzamy światy Cienia, czy też trwają one niezależnie, oczekując dotknięcia naszej stopy? A może istnieje lekkomyślnie pomijana trzecia możliwość? Kwestia raczej "mniej lub bardziej" niż "albo-albo"? Zaśmiałem się smętnie, pojmując, że może nigdy nie poznam odpowiedzi.

Jednak, jak myślałem tamtej nocy, jest takie miejsce – miejsce gdzie kończy się Jaźń, gdzie solipsyzm przestaje być wyjaśnieniem dla okolic, jakie odwiedzamy, i rzeczy, które znajdujemy. Istnienie tego miejsca i tych rzeczy dowodzi, że tutaj przynajmniej zachodzi różnica. A jeśli zachodzi tutaj, to może sięga także do naszych cieni, wprowadzając do nich nie-ja, przesuając nasze ego na niższy poziom. Przypuszczałem, że tu właśnie jest takie miejsce; miejsce, gdzie "Czy jesteśmy więc zadowoleni, czy jesteśmy z niego dumni?" nie ma już zastosowania, gdyż rozdarta dolina Garnath i moja klątwa mogą znaleźć inne wytłumaczenie. W cokolwiek naprawdę wierzyłem, czułem, że wkrótce znajdę się w krainie absolutnego nie-ja. Poza tą granicą może zniknąć moja władza nad Cieniem.

Wyprostowałem się i mrużąc oczy spojrzałem pod światło. Rzuciłem Gwieździe słowo i potrząsałem cugłami. Ruszyliśmy.

Przez chwilę miałem wrażenie, że wjeżdżam w mgłę.

Była tylko nieskończenie jaśniejsza. I panowała absolutna cisza. Potem zaczęliśmy spadać. Spadać albo płynąć. Gdy minął pierwszy szok, trudno było to określić. Z początku zdawało mi się, że spadam, tym bardziej że Gwiazdę ogarnęła panika. Ale nie miał w co kopnąć, więc po chwili przestał się poruszać. Drżał tylko i głośno dyszał.

Prawd ręką trzymałem uzdę, a w lewej ścisnąłem Klejnot. Nie wiem, czego żądałem i dokąd

sięgałem poprzez niego; chciałem tylko przejechać przez tę białą nicność, odszukać szlak i ruszyć nim do celu podróży.

Straciłem poczucie czasu. Wrażenie upadku przeminęło. Poruszałem się czy tylko unosiłem? Trudno powiedzieć. Czy jasność wciąż była jasnością? I ta śmiertelna cisza... Zadrzałem. Zostałem pozbawiony bodźców zmysłowych w stopniu o wiele większym, niż za dawnych dni ślepoty w mojej celi. Tutaj nie było niczego – ani drapania przebiegającego szczura, ani zgrzytu łyżeczki o drzwi. Nie było wilgoci ani chłodu, ani dotyku. Sięgałem poprzez Klejnot...

Migotanie...

Coś jakby przełamało na moment pole widzenia po prawej stronie, tak szybkie, że niemal poniżej progu percepcji. Sięgnąłem tam, ale nie poczułem niczego. Rzecz trwała tak krótko, że nie byłem pewien, czy zdarzyła się naprawdę. Równie dobrze mogła być halucynacją.

Ale potem zdarzyła się znowu, tym razem po lewej.

Nie wiem, ile czasu minęło między jedną a drugą.

Później usłyszałem coś podobnego do jęku. Był bezkierunkowy i też bardzo krótki. Następnie – i po raz pierwszy, jestem pewien – pojawił się szaro-biały, księżycowy pejzaż. Wyłynął i zniknął zaraz, może po sekundzie, na niewielkiej powierzchni mojego pola widzenia, po lewej stronie.

Gwiazda prychnął.

Z prawej strony wyrósł las – szary i biały. Przetoczył się, jakbyśmy mijali go pod jakimś niesamowitym kątem.

Małooobrazkowy element, jakieś dwie sekundy.

Później, w dole, kawałki płonącego budynku... Bezbarwne...

Strzęp zawodzenia z góry...

Widmowa góra, procesja z pochodniami wspinająca się krętym szlakiem po jej zboczu...

Kobieta wisząca na gałęzi: napięta lina wokół szyi, przekrzywiona w bok głowa, ręce związane za plecami...

Góry, szczytami w dół, białe; w dole czarne chmury...

Pstryk. Lekka wibracja, jakbyśmy na moment tylko dotknęli czegoś twardego... może kopyto Gwiazdy na kamieniu. Potem ustało...

Błysk.

Głowy. Toczą się, ociekając czarną posoką... Chichot znikąd... Człowiek przybity do muru, głową w dół...

Znów białe światło – toczy się i wzbiera jak fala...

Pstryk. Blask.

Przez jedno uderzenie tętna kroczyliśmy po szlaku pod pasiastym niebem. Gdy zniknął, sięgnąłem ku niemu przez Klejnot.

Pstryk. Błysk. Pstryk. Grzmot.

Skalista droga prowadząca do wysokiej, górskiej przełęczy. Wciąż monochromatyczny świat... Za plecami huk, jakby uderzył grom...

Gdy tylko świat zaczął zanikać, przekręciłem Klejnot jak gałkę strojenia. Powrócił znowu... Dwa, trzy, cztery...

Liczyłem uderzenia kopyt, uderzenia serca na tle warkotu... Siedem, osiem, dziewięć... świat pojaśniał. Odetchnąłem głęboko. Powietrze było chłodne.

Pomiędzy gromem i jego echemi słyszałem szum ulewy. Na mnie jednak nie spadła nawet kropla.

Obejrzałem się.

Szeroka ściana deszczu wyrastała może sto metrów za mną. Za nią widziałem jedynie mgliste

kontury górskich szczytów. Cmoknąłem na Gwiazdę i ruszyliśmy szybciej, wspinając się na niemal poziomy odcinek pomiędzy dwoma wierzchołkami, przypominającymi wieże. Świat przede mną wciąż był studium bieli, czerni i szarości, niebo podzielone na przemian pasami ciemności i światła.

Wjechaliśmy w wąwóz.

Zaczynałem się trząść. Miałem ochotę szarpnąć uzdę, odpocząć, zjeść coś, zapalić, zeskoczyć z siodła i pospacerować. Byłem jednak zbyt blisko ściany burzy, by pozwalać sobie na takie przyjemności.

Kopyta Gwiazdy budziły echa w wąwozie; pod pasiastym niebem z obu stron wznosiły się stromo skalne ściany.

Miałem nadzieję, że górski łańcuch rozłamie burzowy front, choć przeczuwałem, że to jednak niemożliwe. To nie była zwyczajna burza. Dręczyło mnie nieprzyjemne uczucie, że ciągnie się aż do Amberu, i że gdyby nie Klejnot, zostałbym przez nią pochwycony i uwięziony na zawsze.

Przyglądałem się dziwacznemu niebu, gdy rozjaśniając drogę runął na mnie huragan białych kwiatów. W powietrzu rozszedł się miły zapach. Gromy przycichły, w skałach pojawiły się srebrne pasma. Cały świat wypełniło wrażenie zmierzchu, idealnie pasujące do oświetlenia. A kiedy wynurzyłem się z wąwozu, spojrzałem w perspektywę doliny zakrzywioną tak, że nie dało się ocenić odległości. Pełna była jakby naturalnych wieżyc i minaretów odbijających księżycowy blask pasów na niebie, który przywodził na myśl noc spędzoną w Tir-na Nog'th; porośnięta srebrzystymi drzewami, wykładana zwierciadłami sadzawek, przecinana przez dryfujące widma; miejscami niemal zniwelowana w tarasy, gdzie indziej falująca naturalnie; przebita czymś podobnym do przedłużenia szlaku, którym podążałem: wznoszącego się i opadającego w elegijnym krajobrazie; roziskrzona niewytłumaczalnymi punktami migotania i lśnienia; pozbawiona jakichkolwiek śladów zamieszkania.

Nie wahałem się z rozpoczęciem zjazdu. Grunt wokół był kredowoblady jak kość... i czy to nie delikatna linia czarnej drogi biegną daleko po lewej stronie? Ledwo zdołałem ją zauważyć.

Widząc, że Gwiazda jest zmęczony, nie spieszyłem się już. Jeśli burza nie nadciągnie zbyt szybko, to chyba będziemy mogli odpocząć nad którąś z tych sadzawek w dolinie. Sam byłem wyczerpany i głodny.

Jadąc w dół rozglądałem się bacznie, ale nie dostrzegłem ludzi ani zwierząt. Wiatr wzdychał cicho. W niższych regionach białe kwiaty drżały na łodygach powojów: pojawiła się normalna roślinność. Burza nie pokonała jeszcze górskiego pasma, choć za nim wciąż zbierały się chmury.

Dotarłem wreszcie do tej niezwyklej doliny. Deszcz kwiatów ustał już dawno, lecz w powietrzu wciąż unosił się delikatny aromat. Jedynymi dźwiękami były stukot kopyt Gwiazdy i nieustająca, wiejąca z prawej strony lekka bryza. Wokół wyrastały przedziwne formacje skalne o czystych, jakby wyrzeźbionych liniach. Wciąż dryfowały obłoki mgły. Białe trawy skrzyły się wilgocią. Jechałem szlakiem ku porośniętemu lasem centrum doliny, a perspektywy zmieniały się wokół, skręcając odległości i wyginając krajobrazy. Kiedy zjechałem z drogi, by dotrzeć do niedalekiego z pozoru jeziora, ono jakby cofało się przede mną. W końcu jednak stanąłem na brzegu i zeskoczyłem z siodła. Zanurzyłem palec, by pokosztować wody: była lodowata, lecz słodka.

Czułem się zmęczony. Kiedy zaspokoilem pragnienie, ułożyłem się na ziemi i patrzyłem, jak Gwiazda skubie trawę. Wyjąłem z juków prowiant. Burza wciąż walczyła, by przekroczyć góry; przyglądałem się jej i myślałem. Jeśli tato przegrał, to patrzyłem na pierwsze grzmoty Armageddonu, a cała moja podróż straciła sens. Nic z tych myśli nie wynikało, gdyż wiedziałem, że i tak muszę jechać dalej. Ale nie potrafiłem się nie zastanawiać. Mogłem osiągnąć cel, zobaczyć zwycięską bitwę, a potem patrzeć, jak wszystko się rozpada. Bez sensu... Nie. Nie bez sensu. To ważne, że próbowałem, że starałem się aż do końca. To dość, nawet jeśli wszystko inne upadnie.

Niech diabli porwą Branda! Przede wszystkim...

Czyjś krok!

Poderwałem się natychmiast i pochyliłem z dłonią na rękojeści miecza.

Stała przede mną kobieta, niewysoka, cała w bieli. Miała długie ciemne włosy, dzikie, ciemne oczy i uśmiechała się. Przyniosła wiklinowy kosz, który postawiła na ziemi między nami.

– Musisz być głodny, rycerzu – powiedziała, dziwnie akcentując Thari. – Widziałam, jak nadjeżdżasz. Przynoszę ci to.

Uśmiechnąłem się i przyjąłem bardziej normalną postawę.

– Dzięki – odparłem. – Istotnie, jestem głodny. Na imię mi Corwin. A tobie?

– Pani.

Uniosłem brew.

– Dzięki ci... Pani. Czy mieszkasz w tej okolicy?

Przytaknęła i uklękła, by odkryć kosz.

– Tak, mój pawilon stoi trochę dalej, nad jeziorem. – Skinęła głową na wschód. W kierunku czarnej drogi.

– Rozumiem – mruknąłem.

Jedzenie i wino w koszu wyglądały prawdziwie, świeżo, apetycznie, o wiele lepiej niż mój suchy prowiant. Oczywiście, nie pozbyłem się podejrzeń.

– Zjesz ze mną? – spytałem.

– Jeśli chcesz.

– Chcę.

– Dobrze.

Rozłożyła obrus, usiadła naprzeciw mnie, wyjęła z kosza jedzenie i ułożyła je między nami. Potem podawała, szybko kosztując każdego dania. Czuję się przy tym trochę podle, ale tylko trochę. W końcu, to dość niezwykle miejsce na mieszkanie dla kobiety najwyraźniej samotnej, czekającej tylko, by wspomóc pierwszego wędrowca, jaki tu trafi. Dara też mnie nakarmiła przy naszym pierwszym spotkaniu. Zbliżałem się do kresu podróży, a zatem do okolic, gdzie wróg był najpotężniejszy. Czarna droga biegła całkiem blisko; zauważyłem też kilka razy, jak Pani spogląda na Klejnot.

Mimo wszystko mile spędziłem ten czas. Zaprzyjaźniliśmy się przy posiłku. Była idealną słuchaczką: śmiała się z moich żartów i skłaniała, bym opowiadał o sobie. Prawie ciągle patrzyła mi w oczy i w jakiś sposób nasze palce spotykały się za każdym razem, gdy coś podawała.

Jeśli chciała mnie w coś wciągnąć, wybrała bardzo miłą metodę.

Jedliśmy więc i rozmawialiśmy, a ja obserwowałem nieubłagany ruch burzowego frontu. Pokonał w końcu góry i rozpoczął powolne zejście ze szczytów. Pani zbierała naczynia. Dostrzegła kierunek mojego spojrzenia i skinęła głową.

– Tak. Nadciąga – stwierdziła. Ułożyła w koszu utensylia i usiadła przy mnie, z butelką wina i kielichami. – Wypijemy za to?

– Wypiję z tobą, ale nie za to.

Nalała.

– To już nie ma znaczenia – odparła. – Już nie.

Położyła mi dłoń na ramieniu i podała kielich. Wziąłem go i spojrzałem na nią. Uśmiechnęła się. Dotknęła swoim kielichem brzegu mojego. Wypiliśmy.

– Chodźmy teraz do pawilonu – zaproponowała, biorąc mnie za rękę. – Tam przyjemnie spędzimy godziny, które jeszcze pozostały.

– Dzięki – odrzekłem. – Przy innej okazji byłby to wspaniały deser po świetnym posiłku. Niestety,

muszę już ruszać. Obowiązek wzywa, a czas płynie. Mam misję do spełnienia.

– Jak chcesz. To nie aż tak ważne. Wiem wszystko o twojej misji. Ona też nie ma już znaczenia.

– Doprawdy? Muszę wyznać, że oczekiwałem zaproszenia na prywatne przyjęcie. Gdybym je przyjął, po niedługim czasie ocknąłbym się, już sam, na zboczu jakiejś zimnej skały.

Roześmiała się.

– A ja muszę wyznać, Corwinie, że planowałam wykorzystać cię w taki sposób. Ale już nie.

– Dlaczego nie?

Skinęła ku coraz bliższej linii destrukcji.

– Nie ma potrzeby, by cię teraz zatrzymywać. Ten widok dowodzi, że Dworce zwyciężyły. Już nikt nie zdoła powstrzymać marszu Chaosu.

Zadrżałam lekko, a ona ponownie napełniła kielichy.

– Wolałabym jednak, byś nie opuszczał mnie w takiej chwili – mówiła dalej. – Burza dotrze tutaj w ciągu kilku godzin. Czy można spędzić je lepiej, niż dotrzymując sobie nawzajem towarzystwa? Nie musimy nawet chodzić do pawilonu.

Skłoniłam głowę, a ona przytuliła się mocno. Do diabła... Kobieta i wino – tak przecież chciałem zawsze zakończyć moje dni. Napilem się. Zapewne miała rację. A jednak pomyślałem o tej niby-kobiecie, która wciągnęła mnie w pułapkę na czarnej drodze, gdy wyjeżdżałem z Avalonu. Ruszyłem jej na pomoc i szybko uległem niezemskim czarom. Potem, kiedy zdjąłem jej maskę, zobaczyłem, że pod nią nie ma nic. Paskudnie napędziła mi wtedy strachu. Ale, nawet bez plątania się w filozofię, każdy z nas ma przecież całą szafę masek na różne okazje. Przez całe lata słuchałem, jak pomstują przeciw nim domorośli psychologowie. Tymczasem po wielekroć spotykałem ludzi, którzy z początku robili na mnie dobre wrażenie, a których zaczynałem nienawidzić, kiedy się przekonałem, jacy są pod spodem. A czasem byli jak ta niby-kobieta – mieli tam tylko pustkę. Przekonałem się więc, że maska jest często lepsza od własnej twarzy.

Zatem... Dziewczyna, którą tuliłem, może być w rzeczywistości potworem. Pewnie jest. Jak my wszyscy. Gdybym teraz, właśnie postanowił zrezygnować, to mogłem sobie wyobrazić gorsze sposoby odejścia. Polubiłem ją. Dopilem wino. Sięgnęła, by dolać mi jeszcze, ale przytrzymałem jej rękę.

Spojrzała na mnie. I uśmiechnęła się.

– Prawie mnie przekonałaś – wyznałem.

Potem, by nie łamać czaru, zamknąłem jej oczy pocałunkami, odszedłem i wskoczyłem na siodło. Trawy nie żółkły, ale miał rację, że milczą ptaki. Chociaż było za daleko, żeby pociągnąć tory.

– Żegnaj, Pani.

Jechałem na południe, a burza wrzała, zsuwając się w dolinę. Przedemną znów wyrastały góry i ku nim prowadził szlak. Niebo było pasiaste, czarne i białe barwy przesuwały się chyba powoli. Wciąż panował tu zmierzch, choć w czarnych obszarach nie zaświeciła ani jedna gwiazda. Nadal bryza, nadal aromat w powietrzu... i cisza, i poskręcane monolity, i srebrzyste listowie, ciągle wilgotne od rosy i lśniące. Przedemną frunęły strzępy mgły. Próbowaliśmy wpłynąć na osnowę Cienia, ale zadanie było trudne, a ja zmęczony. Nic się nie stało. Czerpałem z Klejnotu siłę, próbując jej część przekazać Gwieździe. Jechaliśmy równym tempem, aż wreszcie grunt przed nami odchylił się w górę i zaczęliśmy wspinaczkę do kolejnego wąwozu, bardziej poszarpanego niż poprzedni. Zatrzymałem się i spojrzałem za siebie: mniej więcej trzecia część doliny leżała już poza migotliwą kotarą niezwyklej burzy. Pomyślałem o Pani i jej jeziorze, o jej pawilonie... Potrząsnąłem głową i ruszyłem dalej.

Musieliśmy zwolnić – droga wznosiła się coraz bardziej stromo. Białe rzeki na niebie nabierały

odcienia coraz głębszej czerwieni. Zanim stanąłem u wejścia do wąwozu, cały świat zdawał się zabarwiony krwią. W szerokiej, skalnej alei uderzył wiatr. Walczyliśmy z nim. Szlak nie był już tak stromy, choć nadal prowadził pod górę i nie widzieliśmy, co nas czeka za grzbietem przełęczy.

Coś zagrzechotało w skałach po lewej stronie. Spojrzałem, ale niczego tam nie dostrzegłem. Pewnie spadł jakiś kamień. Pół minuty później Gwiazda targnął się pode mną, zarżał przeraźliwie i wolno zaczął padać na lewy bok.

Zeskoczyłem, a kiedy obaj runęliśmy na ziemię, zauważyłem strzałę sterczącą za prawą łopatką konia, dość nisko. Przetoczyłem się i spojrzałem w stronę, z której musiała nadlecieć.

Jakiś człowiek z kuszą stał na skalnym urwisku po prawej stronie wąwozu, może z dziesięć metrów nade mną. Naciągał cięciwę, szykując się do następnego strzału. Wiedziałem, że nie zdążę go powstrzymać. Rozejrzałem się więc za odpowiednim kamieniem. Dostrzegłem taki, wielkości piłki tenisowej, u stóp urwiska z tyłu, zważyłem go w rękę i starałem się, by wściekłość nie wpłynęła na celność rzutu. Nie wpłynęła, choć może było to skutkiem działania jakiejś dodatkowej siły.

Kamień trafił w lewe ramię. Napastnik krzyknął i puścił kuszę. Stuknęła o kamień i spadła po przeciwnej stronie szlaku, niemal dokładnie na wprost mnie.

– Ty sukinsynu! – wrzasnąłem. – Zabiłeś mojego konia! Zapłacisz za to głową!

Przebiegłem wąwóz, rozejrzałem się za najlepszym przejściem na szczyt, znalazłem je z lewej strony. Zacząłem wspinaczkę. Po chwili mogłem zobaczyć napastnika pod właściwym kątem i w lepszym świetle: zgięty niemal wpół masował sobie ramię. To był Brand; w tym krwistym blasku włosy miał jeszcze bardziej rude niż zwykle.

– To już koniec, Brand – powiedziałem. – Żałuję tylko, że ktoś nie załatwił tego już wcześniej.

Wyprostował się i przez chwilę obserwował moją wspinaczkę. Nie sięgał do miecza. Kiedy stanąłem na szczycie, jakieś siedem metrów od niego, opuścił głowę i skrzyżował ręce na piersi.

Dobyłem Grayswandira i ruszyłem naprzód. W tej czy w innej pozie miałem zamiar go zabić. Światło było coraz czerwieńsze, aż obaj wyglądaliśmy jak skąpani we krwi. Z doliny dobiegł huk gromu.

Rozpłynął się po prostu. Kontury postaci stały się mniej wyraźne, a zanim dobiegłem na miejsce, zniknął bez śladu. Stałem przez chwilę nieruchomo. Zakląłem; wspomniałem opowieść, że jakoby przekształcił się w rodzaj żywego Atutu i potrafił w jednej chwili przenieść się gdzie tylko zechciał.

Usłyszałem z dołu jakiś hałas...

Podbiegłem do krawędzi i spojrzałem. Gwiazda kopał wciąż i pluł krwią. Ten widok łamał mi serce, lecz nie tylko to mnie zaniepokoiło.

W dole stał Brand. Podniósł kuszę i napinał ją znowu. Rozejrzałem się za kamieniem, ale nie znalazłem żadnego. Potem dostrzegłem jeden – leżał trochę z tyłu, tam skąd przyszedłem. Podbiegłem, wsunąłem Grayswandira do pochwy i podniosłem kawał skały wielkości arbuza. Potem wróciłem na krawędź i poszukałem wzrokiem Branda.

Nigdzie go nie było.

Poczułem nagle, że jestem zupełnie odsłonięty. Mógł przecież przenieść się w jakieś dogodne miejsce i w tej właśnie chwili mierzyć we mnie. Padłem na ziemię, na swój kamień. Sekundę później usłyszałem z prawej strony uderzenie strzały. A potem chichot Branda.

Wstałem wiedząc, że na załadowanie kuszy potrzebuje dłuższej chwili. Spojrzałem w stronę, z której dobiegł śmiech. Dostrzegłem go na półce na przeciwległej ścianie wąwozu, jakieś pięć metrów powyżej i dwadzieścia metrów ode mnie.

– Przepraszam za konia – zawołał. – Celowałem w ciebie, ale te przekłete wiatry...

Zauważyłem skalną wnękę i pobiegłem tam, zabierając kamień, by użyć go jak tarczy. Z klinowatej

szczeliny patrzyłem, jak zakłada belt.

– Trudny strzał! – krzyknął, unosząc kuszę. – Prawdziwe wyzwanie dla mojego kunsztu. Ale z pewnością wart wysiłku. Pocisków mi nie zabraknie.

Zaśmiał się, wymierzył i strzelił.

Pochyliłem się, osłaniając kamieniem brzuch, lecz grot uderzył o jakieś pół metra na prawo.

– Przypuszczałem, że taki będzie wynik – oświadczył. Znowu zaczął szykować broń. – Muszę wziąć poprawkę na wiatr. Szukałem mniejszych kamieni, które mógłbym wykorzystać jako pocisk. Nie było ani jednego. Pomyślałem wtedy o Klejnocie. Powinien ratować mnie przed zagrożeniem życia. Miałem jednak zabawne wrażenie, że dotyczyło to sytuacji, gdy niebezpieczeństwo groziło z bliska. I że Brand wie o tym zjawisku. A może zdołam mu przeszkodzić w inny sposób? Stał chyba za daleko na tę sztuczkę z paraliżem, ale raz już go pokonałem dzięki władzy nad pogodą. Ciekawe, jak daleko stąd była burza. Sięgnąłem ku niej. Przekonałem się, że potrzeba minut na takie określenie warunków, by ściągnąć na niego piorun. Nie miałem czasu. Ale wiatry to całkiem inna sprawa. Ściągnąłem je, wczułem się w nie...

Brand był prawie gotów do następnego strzału. W wąwozie zawył wicher.

Nie wiem, gdzie trafiła jego strzała. W każdym razie nie blisko mnie. Znowu szykował broń, a ja zacząłem wprowadzać czynniki niezbędne do uderzenia błyskawicy...

Kiedy był gotów i podniósł broń, znowu wzmocniłem wicher. Widziałem, jak mierzy, jak wciąga powietrze i wstrzymuje oddech. Potem opuścił kuszę i spojrzał na mnie.

– Przyszło mi właśnie do głowy – zawołał – że ten wiatr siedzi u ciebie w kieszeni. Zgadza się? To nieuczciwe, Corwinie. – Rozejrzał się. – Powinienem znaleźć miejsce, gdzie nie będzie to miało znaczenia. Aha!

Wciąż się wysilałem, by ustawić wszystko do uderzenia pioruna, ale warunki nie były jeszcze odpowiednie.

Spojrzałem na niebo w czerwone i czarne pasy... formowało się tam coś podobnego do chmury. Wkrótce, ale jeszcze nie...

Brand rozpląnął się znowu i zniknął. Szukałem go nerwowo.

I wtedy stanął przede mną. Przeniósł się na moją stronę wąwozu, jakieś dziesięć metrów na południe ode mnie. Wiatr dmuchał mu w plecy i wiedziałem, że nie zdążę zmienić jego kierunku. Pomyślałem, czy nie cisnąć kamieniem. On pewnie się uchyli, a ja stracę tarczę.

Z drugiej strony...

Podniósł kuszę do ramienia. Zatrzymaj go! – krzyknął w myślach mój własny głos.

Nadał manipulowałem niebem.

– Zanim wystrzelisz, Brandzie, odpowiedz mi na jedno pytanie. Dobrze?

Zawahał się, po czym opuścił broń o kilka centymetrów.

– Jakie?

– Czy mówiłeś prawdę o tym, co się zdarzyło... z tatą, Wzorcem, nadejściem Chaosu?

Odchylił głowę i roześmiał się serią krótkich szczęknięć.

– Corwinie – oświadczył. – Widzieć, jak umierasz nie wiedząc tego, co tak wiele dla ciebie znaczy, sprawia mi rozkosz większą, niż potrafię wyrazić.

Zaśmiał się znowu i zaczął unosić kuszę do ramienia. Przygotowałem się, by cisnąć w niego kamieniem i skoczyć do ataku. Żaden z nas nie zdążył wykonać tego, co zamierzał.

Z góry dobiegł przeraźliwy wrzask. Niewielki strzęp oderwał się od nieba i runął Brandowi na głowę. Ten krzyknął i upuścił kuszę. Wzniósł ręce, by pochwycić napastnika. Czerwony ptak, nosiciel Klejnotu, powstały z mojej krwi i zrodzony z dłoni ojca, powrócił, by mnie bronić.

Puściłem kamień i podszedłem, po drodze wyciągając miecz. Brand uderzył ptaka i ten odleciał, nabierając wysokości przed kolejnym nalotem. Brand wznosił ramiona, by zasłonić twarz i głowę. Zdążyłem jednak dostrzec płynącą z lewego oczodołu krew. Zaczął się rozplływać, gdy biegłem w jego stronę. Ptak runął jak pocisk i raz jeszcze uderzył Branda szponami w głowę. A potem także zaczął blednąć. Kiedy znikali obaj, Brand sięgał właśnie do krwistoczerwonego napastnika i odpierał jego ciosy.

Kiedy stanąłem w miejscu akcji, pozostała tam jedynie upuszczona kusza, którą zgmiotłem pod butem. Jeszcze nie, jeszcze nie koniec, niech to licho! Jak – długo będziesz mnie prześladował, bracie? Jak daleko muszę dojść, by zakończyć sprawę między nami?

Zszedłem na szlak. Gwiazda żył jeszcze, więc musiałem dokończyć robotę. Czasem wydaje mi się, że wybrałem sobie niewłaściwy fach.

Rozdział 7

Misa cukrowej waty.

Minąłem wąwóz i teraz spoglądałem na leżącą przede mną dolinę. A przynajmniej założyłem, że jest doliną. Nic nie widziałem pod okryciem chmur/mgły/oparów.

Jeden z czerwonych pasów na niebie nabrał żółtej barwy, inny zielonej. Dodało mi to otuchy, gdyż podobnie zachowywało się niebo na skraju wszystkich rzeczy, naprzeciw Dworców Chaosu.

Podniosłem tobolek i ruszyłem szlakiem w dół. Wiatr cichł z wolna. Z daleka dobiegł huk gromów burzy, przed którą uciekałem. Zastanawiałem się, gdzie odszedł Brand.

Miałem przecucie, że przez pewien czas go nie zobaczę. Po drodze, gdy nadpełzła już mgła i zaczęła kłębić się wokół, zauważyłem prastare drzewo; wyciąłem sobie łaskę. Drzewo zdawało się krzyczeć, gdy odcinałem konar.

– Niech cię diabli! – usłyszałem z jego wnętrza coś jakby głos.

– Jesteś świadome? – spytałem. – Przepraszam.

– Wiele czasu poświęciłem na wyhodowanie tej gałęzi. Przypuszczam, że masz zamiar ją spalić?

– Nie. Potrzebowałem laski. Przede mną daleka droga.

– Przez tę dolinę?

– Tak.

– Podejdź bliżej. Chcę lepiej wyczuć twoją obecność. Jest w tobie coś, co się żarzy.

Zrobiłem krok do przodu.

– Oberon! – zawołało. – Poznaję twój Klejnot.

– Nie Oberon – zaprzeczyłem. – Jestem jego synem. Ale podczas tej misji noszę kamień.

– Weź więc konar, a wraz z nim moje błogosławieństwo. Wiele razy osłaniałem twojego ojca podczas niezwykłych dni. Widzisz, to on mnie zasadził.

– Naprawdę? Sadzenie drzew to jedna z niewielu rzeczy, przy których nigdy taty nie widziałem.

– Nie jestem zwyczajnym drzewem. Umieścił mnie tutaj, by zaznaczyć granicę.

– Jaką granicę?

– Kraniec Chaosu albo Porządku, zależy, z której strony spojrzysz. Zaznaczam podział. Za mną działają inne prawa.

– Jakie prawa?

– Kto wie? Z pewnością nie ja. Ja jestem tylko żywą wieżą świadomego drewna. Ale moja laska może ci przynieść ulgę. Posadzona, może rozkwitnąć w niezwykłych krainach. A może nie... Któż wie? Lecz weź ją ze sobą, synu Oberona, do tego miejsca, gdzie teraz zdążasz. Czuję, że nadchodzi burza. Żegnaj.

– Żegnaj – odparłem. – I dziękuję.

Odwróciłem się i odszedłem w coraz gęściejszą mgłę. Coś wyszło z niej barwę różu. Pokręciłem głową, myśląc o drzewie. Laska bardzo mi się przydała na odcinku następnych kilkuset metrów, gdzie szlak był wyjątkowo nierówny.

Przejaśniło się trochę. Skały, gnijący staw, kilka niewysokich, posępnych drzew obwieszonych girlandami mchu, odór zgnilizny... Przyspieszyłem kroku. Czarny ptak przyglądał mi się z gałęzi.

Wzbił się do lotu, gdy na niego spojrzałem. Leniwie machając skrzydłami, ruszył w moją stronę. Ostatnie przypadki sprawiły, że wolałem uważać na ptaki. Cofnąłem się więc, gdy zatoczył mi krąg nad głową. Potem jednak wylądował przede mną, przekrzywił głowę i mrugnął lewym okiem.

– Tak – oznajmił po chwili. – Jesteś nim.

– Którym nim? – zdziwiłem się.

– Tym, któremu będę towarzyszył. Nie masz chyba nic przeciw temu, by leciał za tobą ptak symbolizujący złą wróżbę. Prawda, Corwinie?

Zaśmiał się i wykonał kilka tanecznych kroków.

– Szczerze mówiąc nie wiem, jak mógłbym ci przeszkodzić. Skąd znasz moje imię?

– Czekałem na ciebie od początku Czasu, Corwinie.

– To musiało być trochę męczące.

– Nie aż tak. Nie tutaj. Czas jest tym, czym go uczynisz.

Ruszyłem przed siebie. Minałem ptaka i szedłem dalej. Po chwili przemknął koło mnie i wylądował na głazie z prawej strony traktu.

– Na imię mi Hugi – oznajmił. – Widzę, że niesiesz kawałek starego Ygga.

– Ygga?

– To nadęte drzewiszcze, które stoi u wejścia do tego miejsca i nikomu nie pozwala siadać na swoich gałęziach. Musiał strasznie wrzeszczeć, kiedy to uciałeś. – Wybuchnął donośnym śmiechem.

– Zachował się bardzo przyzwoicie.

– Pewno. W końcu, kiedy już to zrobiłeś, nie miał wielkiego wyboru. Dużo ci przyjdzie z tego kija.

– Na razie jest bardzo przydatny – stwierdziłem, machając nim lekko w stronę ptaka.

Odfrunął natychmiast.

– Hej! To nie było zabawne!

Roześmiałem się.

– Myślałem, że było.

Szedłem dalej.

Przez długi czas maszerowałem przez bagniste tereny. Od czasu do czasu podmuch wiatru odsłaniał przede mną drogę, potem mijałem widoczny kawałek albo znowu nadpływała mgła. Czasem zdawało mi się, że słyszę strzępy melodii – nie umiałem określić, z której strony – powolnej i jakby uroczystej, granej na jakimś instrumencie o metalowych strunach.

Szedłem wciąż naprzód, gdy nagle gdzieś z lewej rozległo się wołanie:

– Przybyszu! Zatrzymaj się i spójrz na mnie!

Stanąłem i rozejrzałem się czujnie. Nic nie widziałem w tej piekielnej mgle.

– Hej! – krzyknąłem. – Gdzie jesteś?

Wtedy właśnie mgła rozwiała się na chwilę i spojrzałem na ogromną głowę, której oczy znajdowały się na poziomie moich. Należała do czegoś, co wyglądało na gigantyczne ciało, zapadnięte po szyję w bagnie. Głowa była łyśa, pokryta białą jak mleko skórą o fakturze kamienia. Ciemne oczy przez kontrast wydawały się chyba jeszcze ciemniejsze.

– Widzę – powiedziałem. – Narobiłeś sobie trochę kłopotów. Możesz uwolnić ręce?

– Jeśli wyteżę wszystkie siły – padła odpowiedź.

– Czekaj, rozejrzę się za czymś solidnym, czego mógłbyś się złapać. Powinieneś sięgnąć dość daleko.

– Nie. To nie jest konieczne.

– Nie chcesz się wydostać? Myślałem, że właśnie dlatego tak wrzeszczysz.

– Nie. Chciałem tylko, żebyś na mnie popatrzył.

Podszedłem bliżej, gdyż mgła nadpływała znowu.

– No, dobrze – powiedziałem. – Widzę cię.

– Czy wczuwasz się w moją sytuację?

– Nieszczęśliwie, skoro sam sobie nie chcesz pomóc ani nie przyjmujesz pomocy.

– Co mi przyjdzie z tego, że się uwolnię?

– To twój problem i sam go musisz rozwiązać.

Odwróciłem się.

– Czeka! Dokąd zmierzasz?

– Na południe. Mam wystąpić w dramacie moralnym.

Wtedy właśnie Hugi wyfrunął z mgły, wylądował na czubku głowy, dziobnął ją i zachichotał.

– Nie trać czasu, Corwinie. Jest w tym mniej, niż mogłoby się wydawać – oznajmił.

Wargi giganta wyszeptały moje imię.

– Czy to naprawdę on? – zapytał.

– On, z całą pewnością – potwierdził Hugi.

– Posłuchaj mnie, Corwinie – odezwał się zapadnięty po szyję olbrzym. – Ruszyłeś, by powstrzymać Chaos. Prawda?

– Tak.

– Nie rób tego. Nie warto. Chcę, żeby to się skończyło. Pragnę uwolnienia.

– Proponowałem już, że pomogę ci się wydostać. Nie chciałeś.

– Nie takiego uwolnienia. Raczej końca całej zabawy.

– Łatwo to osiągnąć. Zanurz głowę i zrób głęboki wdech.

– Nie pragnę osobistego końca, lecz zakończenia całej tej głupiej gry.

– Wydaje mi się, że oprócz ciebie istnieje jeszcze parę osób. Wolałyby pewnie same decydować w tej kwestii.

– Niech skończy się dla nich także. Nadejdzie czas, gdy znajdą się w mojej sytuacji i będą odczuwać to samo.

– Wtedy pozostanie im to samo wyjście. Do zobaczenia.

Odwróciłem się i ruszyłem w drogę.

– I ty także! – zawołał za mną.

Po chwili dogonił mnie Hugi. Usiadł na czubku łaski.

– Przyjemnie tak siedzieć na gałęzi starego Ygga, kiedy już nie może... Łaa!

Poderwał się i zatoczył krąg.

– Przypalił mi łapę! – wrzasnął. – Jak to zrobił?

Zaśmiałem się.

– Nie mam pojęcia.

Polatywał przez kilka chwil, po czym zawisł nad moim prawym ramieniem.

– Mogę tu usiąść?

– Nie krępuj się.

– Dzięki. – Wylądował. – Wiesz, ta Głowa to przypadek psychiczny.

Wzruszyłem ramionami, a on rozpostarł skrzydła, by utrzymać równowagę.

– Próbuje coś pochwycić – mówił dalej. – Ale postępuje niewłaściwie, obciążając świat odpowiedzialnością za swoje porażki.

– Nie chce nawet chwycić za coś, żeby wygrzebać się z bagna – zauważyłem.

– Mówiłem w sensie filozoficznym.

– Aha, chodzi ci o takie bagno. To fatalnie.

– Cały problem tkwi w jaźni, w ego i jego powiązaniach ze światem z jednej strony i z Absolutem z drugiej.

– Doprawdy?

– Tak. Rozumiesz, wykluwamy się i dryfujemy po powierzchni zdarzeń. Czasami odnosimy wrażenie, że mamy realny wpływ na wypadki, a to powoduje, że zaczynamy się starać. To poważny błąd, gdyż wtedy budzą się pragnienia i kreują fałszywe ego. Tymczasem powinno wystarczyć samo istnienie. Prowadzi to do kolejnych pragnień i starań, i tak wpadasz w pułapkę.

– W bagno?

– Można to tak określić. Należy się skoncentrować wyłącznie na Absolutie. Nauczyć się ignorować miraż, iluzje i fałszywe poczucie tożsamości, które izoluje jednostkę jako pseudowyspę świadomości.

– Kiedyś używałem fałszywej tożsamości. Bardzo mi pomogła w osiągnięciu absolutu, którym jestem teraz: mnie.

– Nie. To też złudzenie.

– Zatem ja, który zaistnieje jutro, podziękuje mi za to, jak ja temu przeszłemu.

– Nic nie rozumiałeś. Ten przyszły ty też będzie fałszywy.

– Dlaczego?

– Ponieważ nadal będzie pełen pragnień i starań, które izolują od Absolutu.

– Co w tym złego?

– Istniejesz samotnie w świecie pełnym obcych, w świecie fenomenów.

– Nie przeszkadza mi samotność. Właściwie, dość siebie lubię. Fenomeny też lubię.

– Ale Absolut zawsze będzie cię wzywał, budził niepokój...

– To dobrze. Nie trzeba się zatem spieszyć. Ale owszem, rozumiem, o czym mówisz. To przyjmuje formę ideałów. Każdy z nas ma ich kilka. Jeśli twierdzisz, że powinienem za nimi podążać, zgadzam się z tobą w pełni.

– Nie. One są tylko deformacjami Absolutu. A to, o czym wspomniałeś, to tylko kolejne starania.

– To prawda.

– Widzę, że masz wiele do oduczenia.

– Jeśli chodzi ci o mój prymitywny instynkt samozachowawczy, to lepiej daj sobie spokój.

Droga wiodła lekko pod górę. Dotarliśmy do płaskiego, zasypanego piaskiem odcinka, który wyglądał jak wybrukowany. Muzyka grała coraz głośniejsze. Potem dostrzegłem we mgle niewyraźne kształty, poruszające się wolno i rytmicznie. Po chwili zrozumiałem, że tańczą do wtóru melodii.

Szedłem dalej i wreszcie mogłem przyjrzeć się dokładniej tym postaciom – ludzkim z wyglądu, przystojnym, odzianym w dworskie szaty – krocącym z godnością w rytm melodii niewidzialnej orkiestry. Wykonywali złożony, piękny taniec. Przystanąłem, by chwilę popatrzeć.

– Z jakiej okazji ten bal? – spytałem Hugiego. – Tutaj, w samym środku pustki?

– Tańczą – wyjaśniał – by uczcić twoje przejście. Nie są śmiertelnikami. To duchy Czasu. Zaczęli to idiotyczne przedstawienie, kiedy tylko wkroczyłeś w dolinę.

– Duchy?

– Tak. Patrz.

Wzniósł się w powietrze, zatoczył krąg i zdefekował. Odchody przebiły kilku tancerzy, jakby byli hologramami, nie plamiąc brokatowych rękawów ani jedwabnych koszul. Żadna z uśmiechniętych postaci nie zmyliła kroku. Hugi zakrakał kilka razy i wrócił do mnie.

– To nie było konieczne – zauważyłem. – Pięknie tańczą.

– Dekadencja – oświadczył. – Zresztą, nie uważaj tego za komplement, gdyż oni przewidują twoją klęskę. Pragną tylko ostatniego balu, nim skończy się przedstawienie.

Mimo to przyglądałem się przez dłuższą chwilę, odpoczywając wsparty na lasce. Figury tańca zmieniały się z wolna, aż jedna z kobiet – kasztanowowłosa piękność – znalazła się tuż obok mnie.

Żaden z tancerzy nie spojrział nawet na mnie, zupełnie jakbym nie istniał.

Lecz ta kobieta, idealnie zgranym z muzyką gestem, prawą ręką rzuciła coś, co wylądowało mi u stóp.

Schylłem się; był to przedmiot materialny. Trzymałem srebrną różę – moje własne godło. Wyprostowałem się i wpiąłem ją w kołnierz płaszcza. Hugi patrzył w inną stronę i milczał. Nie miałem kapelusza, by go zdjąć, pokłoniłem się jednak przed damą. Być może lekko zmrużyła oko, gdy się odwracałem.

Grunt nie był już taki gładki, a po chwili ucichła także muzyka. Szlak był trudny, a kiedy wiatr rozwiewał mgłę, widziałem tylko skały albo nagie równiny. Padłbym już dawno, gdybym nie czerpał energii z Klejnotu.

Zauważyłem, że za każdym razem wystarcza jej na krócej.

Po pewnym czasie zgłodniałem, więc zatrzymałem się, by zjeść resztki prowiantu.

Hugi siedział na ziemi i przyglądał mi się.

– Muszę przyznać, że odczuwam rodzaj podziwu dla twojego uporu – oświadczył. – A nawet dla tego, co sugerowałeś, wspominając o ideałach. Ale nic więcej. Mówiliśmy o daremności pragnień i starań...

– Ty mówiłeś. Dla mnie nie jest to życiowym problemem.

– Powinno być.

– Żyję już bardzo długo, Hugi. Obrażasz mnie zakładając, że nigdy nie myślałem o tych przypisach do podstaw filozofii. Fakt, że twoim zdaniem pojęcie rzeczywistości jest puste, więcej mówi o tobie niż o stanie rzeczy. Mianowicie: jeśli wierzysz w to, co mówisz, żal mi cię. Musisz bowiem mieć jakiś niewytłumaczalny powód, by być tutaj, pragnąć i starać się wpłynąć na moje fałszywe ego, zamiast wolny od takich nonsensów podążać do swego Absolutu. Jeśli zaś nie wierzysz, wnioskuje, że przysłano cię, byś mnie powstrzymywał i zniechęcał, w którym to przypadku marnujesz czas.

Hugi zabalgotał cicho.

– Nie jesteś chyba tak ślepy – odezwał się po chwili – by zaprzeczać istnieniu Absolutu, początku i końca wszechrzeczy?

– Nie jest on niezbędnym elementem liberalnej edukacji.

– Ale uznajesz możliwość?

– Może wiem o nim więcej od ciebie, ptaku. W mojej opinii, ego istnieje jako stan pośredni pomiędzy racjonalizmem i egzystencją odruchów. Ale wymazanie go jest ucieczką. Jeśli przychodzisz z Absolutu, z tego samokasującego się Wszystkiego, to dlaczego chcesz wracać? Czy tak sobą gardzisz, że lękasz się luster? Postaraj się może, by ta wyprawa warta była twego czasu. Rozwijaj się. Ucz. Żyj. Jeśli wysłano cię w podróż, to czemu chcesz ją przerwać i jak najszybciej wrócić do punktu wyjścia? A może ten twój Absolut popełnił błąd, wysyłając kogoś twojego kalibru? Przyznaj, że istnieje taka możliwość i na tym zakończymy.

Hugi spojrział na mnie wrogo, skoczył w powietrze i odleciał. Może chciał zajrzeć do podręcznika.

Zahuczał grom. Wstałem i ruszyłem dalej. Musiałem utrzymywać dystans.

Trakt zwężał się i rozszerzał kilkakrotnie, wreszcie zniknął zupełnie. Wędrując po zwirowej równinie, czułem się coraz bardziej przygnębiony. Wlokłem się, próbując utrzymać na właściwym kursie psychiczny kompas. Niemal z ulgą witałem odgłosy burzy, gdyż pozwalały przynajmniej z grubsza określić, gdzie jest północ. Naturalnie, w tej mgłę trudno było stwierdzić cokolwiek dokładnie, więc nie byłem całkiem pewny. A gromy huczały coraz głośniejsze... Szlag.

... Wciąż rozpaczałem po śmierci Gwiazdy i niepokoiła mnie teoria daremności Hugiego. Stanowczo nie był to dla mnie dobry dzień. Istniała duża szansa, że jeśli wkrótce nie wpadnę w

zasadzkę któregoś z bezimiennych mieszkańców tej mrocznej krainy, będę się tulał, aż stracę resztkę sił albo dogoni mnie burza. Nie wiedziałem, czy uda mi się uciszyć ją po raz drugi. Zaczynałem w to wątpić.

Próbowałem Klejnotem rozproszyć mgłę, lecz jego działanie było chyba osłabione. Może przez moją ospałość. Potrafiłem oczyścić niewielki obszar, ale przy tym tempie podróży mijałem go szybko. Moje wyczucie Cienia stępiło się w tym miejscu, które w jakiś sposób zdawało się samą istotą Cienia.

Smutne. Przyjemnie byłoby odejść jak w operze: w wielkim, wagnerowskim finale pod niezwykłym niebem, w walce z godnymi przeciwnikami, zamiast pętać się tak we mgle po pustkowiu.

Minałem skałę, która wydawała się znajoma. Czy to możliwe, że chodzę w kółko? To często się zdarza ludziom całkowicie zagubionym. Nasłuchiwałem gromu, by zorientować się w kierunkach. Jak na złość panowała cisza. Podeszedłem do skały, usiadłem i oparłem się o nią plecami. Taka wędrówka nie ma sensu. Zaczekam chwilę, aż usłyszę grzmot. Wyjąłem Atuty. Tato uprzedzał, że nie będą tu działać, ale i tak nie miałem nic lepszego do roboty.

Jeden po drugim obejrzałem je wszystkie, próbowałem nawiązać kontakt z każdym prócz Branda i Caine'a. Nic. Tato miał rację: Atuty utraciły znajomy chłód. Przetasowałem całą talię i powrózyłem sobie, wprost na piasku. Otrzymałem jakiś zupełnie niemożliwy odczyt przyszłości i schowałem karty. Oparłem się wygodniej i pomyślałem, że chciałbym mieć trochę wody. Przez długą chwilę nasłuchiwałem odgłosów burzy. Kilka razy zahuczał grom, ale zupełnie bezkierunkowo. Atuty sprawiły, że zacząłem wspominać rodzinę. Byli już na miejscu – gdziekolwiek to miejsce leżało – i czekali na mnie. Po co czekali? Niosłem Klejnot. W jakim celu? Z początku sądziłem, że jego moc będzie wykorzystana podczas starcia. Jeśli tak, i jeśli rzeczywiście byłem jedyną osobą, która mogła jej użyć, to sytuacja nie wyglądała najlepiej. Pomyślałem wtedy o Amberze; wstrząsnęły mną wyrzuty sumienia i pewnego rodzaju trwoga. Amber nie może się skończyć, nigdy. Musi być jakiś sposób, by odepchnąć Chaos...

Odrzuciłem kamyk, którym się bawiłem. Poleciał bardzo powoli.

Klejnot. Znowu to spowolnienie...

Pobrałem więcej energii i kamyk wystrzelił nagle.

Miałem wrażenie, że zaledwie przed chwilą odnawiałem siły za pomocą Klejnotu. Taka kuracja pomagała wprawdzie mięśniom, ale umysł wciąż pozostawał otumaniony. Potrzebowałem snu... z dużą liczbą snów szybkich.

Kiedy odpocznę, okolica może się okazać o wiele mniej niesamowita.

Jak blisko celu się znalazłem? Czy leżał zaraz za następnym górskim łańcuchem, czy nieskończenie dalej?

I jaką miałem szansę wyprzedzenia burzy, niezależnie od odległości? A pozostali? Przypuśćmy, że bitwa już się rozegrała i przegraliśmy. Miałem wizje, jak to przybywam za późno i mogę już tylko kopać groby... Kości i dyskusje z samym sobą, Chaos...

I gdzie się podziała ta cholerna czarna droga akurat teraz, kiedy mogła się na coś przydać? Gdybym ją znalazł, mógłbym podążać wzdłuż niej. Miałem przecucie, że przebiega gdzieś z lewej strony...

Znów sięgnąłem przez Klejnot, rozpędziłem mgłę, odepchnąłem ją... Nic...

Kształt? Coś się poruszyło?

Jakieś zwierzę, może duży pies, przebiegło, by pozostać we mgle. Czyżby mnie tropił?

Klejnot pulsował światłem, gdy odsuwałem mgłę jeszcze dalej. Odsłonięte zwierzę otrząsnęło się jakby, po czym ruszyło wprost ku mnie.

Rozdział 8

Wstałem, kiedy się zbliżył. Teraz. widziałem, że to duży okaz szakala. Patrzył mi w oczy.

– Przyszedłeś trochę za wcześnie – powiedziałem. – Tylko odpoczywam.

Zachichotał.

– Przyszedłem, by spojrzeć na księcia Amberu – oznajmił. – Cokolwiek ponadto byłoby dodatkową premią.

Zachichotał znowu. Ja też.

– Niech zatem twe oczy uczują. Cokolwiek ponadto, a przekonasz się, że wypocząłem w dostatecznym stopniu.

– Nie, nie – zapewnił szakal. – Jestem fanem rodu Amberu. Chaosu także. Pociąga mnie królewska krew, książę Chaosu. I konflikt.

– Nadałeś mi obcy tytuł. Moje powiązania z Dworcami Chaosu są jedynie kwestią genealogii.

– Myślę o obrazach Amberu przenikających cienie Chaosu. Myślę o falach Chaosu zalewających obrazy Amberu. Przecież w samym sercu porządku, jaki reprezentuje Amber, tkwi rodzina niezwykle chaotyczna. Podobnie ród Chaosu jest poważny i spokojny. Istnieją związki między wami, tak jak istnieją konflikty.

– W tej chwili – stwierdziłem – nie interesują mnie wyszukane paradoksy ani zabawy z terminologią. Próbuję dostać się do Dworców Chaosu. Znasz drogę?

– Tak – potwierdził szakal. – To niezbyt daleko stąd, lotem padlinożercy. Chodź, wyprowadzę cię na właściwy kierunek.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Poszedłem za nim.

– Czy nie idę za szybko? Wyglądasz na zmęczonego.

– Nie. Nie zwalniam. To pewnie za tą doliną. Zgadza się?

– Tak. Jest tam tunel.

Szedłem za nim po piachu, żwirze i suchej, twardej ziemi. Nic nie roślo dookoła. Mgła przerzedziła się i przybrała zielony odcień. Uznałem, że to kolejna sztuczka tego pasiastego nieba.

– Daleko jeszcze? – zawołałem po pewnym czasie.

– Już całkiem blisko – odpowiedział. – Zmęczyłeś się? Chcesz odpocząć?

Obejrzał się. W zielonkawym blasku jego brzydki pysk wyglądał jeszcze bardziej upiornie. Potrzebowałem jednak przewodnika. I szliśmy pod górę, a tak chyba być powinno.

– Czy można gdzieś tu w pobliżu znaleźć wodę? – spytałem.

– Nie. Musielibyśmy cofnąć się spory kawałek.

– Rezygnuję. Nie mam czasu.

Wruszył łopatkami, zaśmiał się i poszedł dalej. Mgła zrzędła jeszcze bardziej i spostrzegłem, że wkraczamy w pasmo niewysokich wzgórz. Wspierając się na lasce, dotrzymywałem kroku szakalowi.

Wspinaliśmy się przez mniej więcej pół godziny. Trasa była coraz bardziej kamienista i coraz bardziej stroma. Oddychałem ciężko.

– Zaczekaj! – krzyknąłem. – Muszę odpocząć. Mówiłeś, że to niedaleko.

– Przepraszam. – Zatrzymał się. – Wybacz mi ten szakalocentryzm. Oceniałem dystans miarą mojego normalnego tempa. Popełniłem błąd, ale teraz naprawdę jesteśmy prawie na miejscu. Przejście jest między tymi skałami przed nami. Może tam odpoczniemy?

– Dobrze – zgodziłem się i ruszyłem znowu.

Wkrótce stanęliśmy u skalnej ściany i pojąłem, że to podnóże góry. Wymijając leżące wokół kamienne odłamki, dotarliśmy do otworu, który prowadził z powrotem w ciemność.

– Jesteśmy – oznajmił szakal. – Droga jest prosta, bez żadnych kłopotliwych rozgałęzień. Idź więc. Szybkiego marszu.

– Dziękuję – rzuciłem, chwilowo zapominając o wypoczynku. Stałem w otworze. – Doceniam twoją pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział mi zza pleców.

Postąpiłem o kilka kroków, gdy coś trzasnęło pod stopą, a kopnięte na bok zagrzechotało. Trudno zapomnieć taki odgłos.

Tunel zasłany był kośćmi.

Z tyłu dobiegł jakiś cichy głos i wiedziałem, że nie mam już czasu, by wydobyć Grayswandira. Odwróciłem się błyskawicznie i pchnąłem mocno laską. Trafiłem bestię w bark, co zablokowało atak. Lecz ja również przewróciłem się na plecy i potoczyłem między kości. Uderzenie wyrwało mi laskę. W ciągu ułamka sekundy, jaki dał mi upadek przeciwnika, zdecydowałem raczej sięgnąć po Grayswandira, niż jej szukać.

Udało mi się wyrwać go z pochwy. Nic więcej. Wciąż leżałem na plecach, z ostrzem broni skierowanym w lewo, gdy szakal podniósł się i skoczył znowu. Z całej siły walnąłem go głownią w pysk.

Od wstrząsu zdrętwiała mi ręka i ramię. Głowa szakala odskoczyła, a ciało skręciło się i upadło po mojej lewej stronie. Natychmiast skierowałem ku niemu klingę, oburącz ściskając rękojeść. Zanim warknął i zaatakował znowu, zdążyłem przykłęknąć na prawym kolanie. Kiedy tylko wymierzyłem, całym ciężarem naparłem na rękojeść, głęboko wbijając ostrze. Natychmiast puściłem miecz i odtoczyłem się – byle dalej od tych groźnych szczęk.

Szakal wrzasnął, spróbował wstać, przewrócił się.

Leżałem dysząc tam, gdzie upadłem. Wyczułem pod sobą laskę, więc chwyciłem ją, wysunąłem przed siebie dla obrony i przeczołgałem się pod ścianę. Szakal już się nie podniósł. Leżał tylko w drgawkach i widziałem, jak wymiotuje. Odór był potworny. Potem zwrócił wzrok w naszą stronę i znieruchomiał.

– Cudownie byłoby pożreć księcia Amberu – powiedział cicho. – Zawsze chciałem poznać... królewską krew.

Zamknął oczy i przestał oddychać, a ja zostałem sam w tym smrodzie.

Wstałem, wciąż oparty plecami o ścianę, wciąż trzymając przed sobą laskę. Przyglądałem mu się. Minęło wiele czasu, zanim zmusiłem się, by wyrwać z niego miecz.

Szybkie badanie wykazało, że nie był to tunel, ale zwykła jaskinia. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, mgła stała się żółta, poruszana podmuchami wiatru z niższych regionów doliny.

Oparty o skałę myślałem, w którą stronę wyruszyć. Nie było tu żadnego szlaku.

W końcu skierowałem się w lewo. Było tam trochę bardziej stromo i miałem nadzieję szybciej wyjść ponad poziom mgły. Laska służyła mi dobrze. Na próżno wyteżałem uwagę, czy nie usłyszę gdzieś szumu płynącej wody.

Drapałem się coraz wyżej, a mgła rzedła i zmieniała kolor. Wreszcie spostrzegłem, że wspinam się na rozległy płaskowyż. Ponad nim dostrzegałem już skrawki wielobarwnego, wirującego nieba.

Wiele razy słyszałem za sobą ostre trzaski piorunów, lecz nadal nie wiedziałem, jak daleko jest burza. Przyspieszyłem kroku, ale po kilku minutach zakręciło mi się w głowie. Zatrzymałem się, dysząc ciężko, i usiadłem na ziemi. Przytłaczało mnie przecucie kłęski. Nawet jeśli zdołam osiągnąć płaskowyż, to miałem wrażenie, że burza przetoczy się przez niego nie zwalniając nawet.

Grzbietem dłoni przetarłem oczy. Po co iść dalej, jeśli w żaden sposób nie zdołam dotrzeć do celu?

Jakiś cień spłynął z pistacjowej mgły i runął w moją stronę. Uniosłem łaskę, ale zobaczyłem, że to tylko Hugi. Wyhamował i wylądował u moich stóp.

– Corwinie – powiedział. – Daleko zaszedłeś.

– Może nie dość daleko – odparłem. – Burza jest chyba coraz bliżej.

– Tak sędzę. Medytowałem i chciałbym teraz podzielić się z tobą dobrodziejstwem swoich...

– Jeśli koniecznie chcesz mi wyświadczyć przysługę, to powiem ci, co mógłbyś zrobić.

– Co takiego?

– Polec i sprawdź, jak daleko naprawdę jest ta burza i jak szybko się przesuwa. Potem wróc i powiedz mi.

Hugi przestąpił z nogi na nogę.

– Dobrze – zgodził się po chwili namysłu. Wystartował i machając skrzydłami ruszył w stronę, o której sądziłem, że jest północnym zachodem.

Podparłem się łaską i wstałem. Równie dobrze mogłem wspinać się dalej najszybciej, jak potrafię. Znow sięgnąłem do Klejnotu i energia wypełniła mnie jak uderzenie czerwonej błyskawicy.

Wilgotna bryza dmuchnęła od strony, gdzie odleciał Hugi. Znow ostro trzasnął piorun. Skończyły się głuche grzmoty i dudnienia.

Wykorzystując przyływ energii, przez kilkaset metrów wspinałem się szybko i skutecznie. Jeśli muszę przegrać, to mogę najpierw dotrzeć na szczyt. Mogę najpierw sprawdzić, gdzie jestem, i przekonać się, czy pozostało jeszcze coś, czego mógłbym spróbować.

Im wyżej wchodziłem, tym lepiej widziałem niebo. Zmieniło się od ostatniego razu, kiedy mogłem na nie popatrzeć. Połowę kryła nieprzenikniona czerń, drugą połowę mieszanina płynnych kolorów. I cała niebieska czasza zdawała się wirować wokół punktu wprost nad moją głową. Ogarnęły mnie emocje. Takiego nieba szukałem – nieba, które miałem nad sobą, gdy wyprawilem się do Chaosu. Ruszyłem wyżej. Chciałem wznieść jakiś okrzyk, który dodałby sił, ale krtań wyschła mi na wiór.

Zbliżałem się już do granicy płaskowyżu, gdy usłyszałem łopotanie skrzydeł i nagle na moim ramieniu usiadł Hugi.

– Burza szykuje się, żeby wleźć ci na tyłek – oznajmił. – Będzie tu lada minuta.

Wspinałem się dalej. Dotarłem do krawędzi płaskiego terenu, podciągnąłem się i stanąłem, dysząc ciężko. Znalazłem się wysoko i wiatr musiał przepędzić mgłę; wyraźnie widziałem niebo. Ruszyłem szukać punktu, z którego mógłbym spojrzeć poza przeciwną krawędź.

Odgłosy burzy stały się wyraźniejsze.

– Nie wierzę, żeby udało ci się przejść – oświadczył Hugi. – Na pewno zmokniesz.

– Wiesz, że to nie jest zwyczajna burza – wychrypiałem. – Gdyby nie, byłbym szczęśliwy, że mogę się napić.

– Wiem. To była taka przerośnia.

Burknąłem coś nieprzyzwoitego i szedłem dalej. Perspektywa poszerzała się stopniowo. Niebo wciąż wykonywało ten swój obłąkany taniec z welonami, ale nie brakowało światła. Wreszcie dotarłem do miejsca, gdzie bez żadnych wątpliwości mogłem stwierdzić, co leży przede mną. Wtedy stanąłem i ciężko wsparłem się na lasce.

– Co się stało? – chciał wiedzieć Hugi.

Nie mogłem mówić. Wskazałem tylko ręką rozległe pustkowie, które zaczynało się gdzieś poniżej krawędzi płaskowyżu i ciągnęło przynajmniej sześćdziesiąt kilometrów, sięgając kolejnego łańcucha gór. A daleko po lewej biegła wciąż bardzo wyraźna czarna droga.

– Ta pustynia? – zdziwił się. – Mogłem ci o niej powiedzieć. Dlaczego nie spytałeś?

Wydałem dźwięk pomiędzy jękiem i szlochem. Wolno osunąłem się na ziemię.

Nie wiem, jak długo tak leżałem. Majaczyłem chyba. Gdzieś wśród majaków dostrzegłem możliwe rozwiązanie, choć coś we mnie buntowało się przeciw niemu.

Ocknąłem się, słysząc odgłosy nawałnicy i paplanie Hugiego.

– Nie wyprzedzę burzy na tej pustyni – szepnąłem. – Nie dam rady.

– Twierdzisz, że przegrałeś – rzekł Hugi. – Ale to nieprawda. W staraniach nie ma zwycięstwa ani klęski. Wszystko jest jedynie iluzją ego.

Z wolna uniosłem się na kolana.

– Nie mówiłem, że przegrałem.

– Powiedziałeś, że nie możesz osiągnąć celu swej wyprawy.

Obejrzałem się tam, gdzie płonęły błyskawice. Burza wspinała się ku mnie.

– To prawda. Nic zdołałem osiągnąć celu w taki sposób. Ale jeśli tacie się nie udało, to ja muszę spróbować tego, o czym Brand chciał mnie przekonać, że tylko on to potrafi. Muszę wykreślić nowy Wzorzec i muszę tego dokonać tutaj.

– Ty? Wykreślić nowy Wzorzec? Jeśli zawiódł Oberon, to jak może liczyć na sukces ktoś, kto ledwo stoi na nogach? Nie, Corwinie. Największą cnotą, jaką mógłbyś w sobie rozwijać, jest rezygnacja.

Podniosłem głowę i położyłem laskę na ziemi. Hugi sfrunął i stanął przy niej. Przyglądałem mu się.

– Nie chcesz uwierzyć w nic z tego, o czym mówiłem. Prawda? – zwróciłem się do niego. – Ale to nie ma znaczenia. Konflikt naszych poglądów jest nieredukowalny. Ja uznaję pragnienie za ukrytą tożsamość, a staranie to jej rozwój. Ty nie. – Przesunąłem dłonie do przodu i oparłem je na kolanach. – Jeśli największym dobrem jest dla ciebie połączenie z Absolutem, to czemu nie polecisz połączyć się z nim teraz? Z Absolutem w postaci wszechogarniającego Chaosu? Jeśli poniosę klęskę, Chaos stanie się Absolutem. Co do mnie, to póki oddycham, będę próbował wznieść przeciw niemu zapórę Wzorca. Robię to, ponieważ jestem tym, kim jestem. A jestem człowiekiem, który mógł zasiąść na tronie Amberu.

Hugi spuścił głowę.

– Prędzej zobaczę, jak wrona skona – oświadczył i zachichotał.

Szybko wyciągnąłem rękę i ukreśliłem mu głowę.

Żałowałem, że nie mam czasu na rozpalenie ogniska. Wprawdzie sprawił, że wyglądało to na ofiarę, ale trudno powiedzieć, kto tu odniósł moralne zwycięstwo, skoro i tak planowałem to zrobić.

Rozdział 9

Cassis i zapach kwitnących kasztanów. Wzdłuż całych Pól Elizejskich kasztany spływały bielą...

Pamiętałem melodię fontann na placu Zgody... A wzdłuż bulwarów nad Sekwaną, wzdłuż quais, zapach starych ksiąg, zapach rzeki... Aromat kwitnących kasztanów...

Czemu nagle przypomniałem sobie rok 1905 i Paryż na cieniu-Ziemi? Byłem wtedy bardzo szczęśliwy i może odruchowo szukałem antidotum na chwilę obecną? Tak... Biały absynt, Amer Picon, sok z granatu... Poziomki z Creme d'Isigny... Szachy w Cafe de la Regence z aktorami Komedii Francuskiej, zaraz naprzeciwko... Wyścigi w Chantilly... Wieczory w Boîte á Fursy przy Rue Pigalle...

Pewnie ustawiłem lewą stopę przed prawą, prawą przed lewą. W lewej dłoni ścisnąłem łańcuch, z którego zwisał Klejnot – i trzymałem go wysoko, by spoglądać w głębię kryształu, widząc tam i czując powstawanie nowego Wzorca, wykreślanego z każdym moim krokiem.

Wbiłem laskę w ziemię i pozostawiłem ją tam, niedaleko początku Wzorca. W lewo...

Wiatr śpiewał wokół mnie, a w pobliżu huczał grom. Nie czułem fizycznego oporu, jak przy starym Wzorcu. Nie było w ogóle żadnego oporu. Zamiast niego – co z wielu względów okazało się jeszcze gorsze – jakaś niezwykła rozważność zaczęła kierować moimi ruchami, spowalniać je i rytualizować. Miałem wrażenie, że więcej energii zużywam na przygotowanie do każdego kroku, zaplanowanie go, uświadomienie i nakazanie umysłowi jego wykonania niż na sam akt fizycznego działania. Jednak ta powolność wydawała się konieczna, narzucona przez jakiś nieznaną czynnik, który określał dokładność i rytm adaggio wszelkich ruchów. W prawo...

...I, podobnie jak Wzorzec w Rebmie pomógł mi odzyskać wyblakłe wspomnienia, tak i ten, który próbowałem teraz stworzyć, poruszał i wydobywał z pamięci zapachy kasztanów, wozów z jarzynami ciągnących o świcie w stronę Hal... Nie kochałem się wtedy w nikim konkretnym, choć było wiele dziewcząt, wszystkie te Yvety, Mimi, Simony, których twarze stapiały się teraz w jedno. W Paryżu trwała wiosna z cygańskimi orkiestrami, koktajlami u Ludwika... Wspominałem; serce biło mi mocno z jakąś proustowską radością, gdy Czas dudnił jak dzwon... I to może było powodem wspomnień, gdyż radość przenosiła się w moje ruchy, wpływała na percepcję, wzmacniała wolę...

Dostrzegłem kolejny krok i wykonałem go... Zatoczyłem już pełny krąg, tworząc obwód Wzorca. Za plecami wyczuwałem burzę – musiała już osiągnąć krawędź płaskowyżu. Niebo ciemniało; burza przesłaniała rozkołysane, płynne, kolorowe światło. Wokół rozkwitały błyski piorunów, a ja nie mogłem marnować sił ani uwagi, by nad nimi zapanować.

Widziałem, że fragment Wzorca, który już przeszedłem zataczając krąg, był wryty w skale i jarzył się bladym błękitem. Mimo to nie było żadnych iskier, mrowienia w stopach, prądów jeżących włosy... tylko nienaruszalne prawo rozwagi, przytłaczające niby jakiś wielki ciężar...

W lewo...

Maki, maki i bławatki, i strzeliste topole wzdłuż polnych dróg, i smak jabłeczniaka z Normandii... i znowu miasto, aromat kwitnących kasztanów... Sekwana pełna gwiazd... Zapach starych ceglanych domków po porannym deszczu na Place des Vosges... Bar pod Olympią... Jakaś bójka... Zakrwawione kostki, bandażowane przez dziewczynę, która potem zabrała mnie do domu... Jak miała na imię?

Kwitnące kasztany... Biała róża...

Pociągnąłem nosem. Po aromacie róży wpiętej w kołnierz nie pozostało prawie śladu. Dziwne, że

w ogóle przetrwał tak długo. To dodało mi otuchy. Ruszyłem szybciej, skręcając łagodnie w lewo. Kątem oka widziałem coraz bliższą ścianę burzy, gładką jak szkło, wymazującą wszystko, co mijają. Ryk gromów ogłuszał. W prawo, potem w lewo...

Nacierają armie ciemności... Czy zatrzyma je mój Wzorzec? Chciałbym iść szybciej, ale poruszałem się chyba coraz wolniej. Odbierałem niezwykle wrażenie obecności w dwóch miejscach naraz. Zupełnie jakbym był we wnętrzu Klejnotu i tam wykreślał Wzorzec, tutaj zaś tylko naśladował tamte poruszenia. W lewo... Zakręt... W prawo... Burza naprawdę się zbliżała. Wkrótce dotrze do kości starego Hugiego. Powietrze pachniało wilgocią i ozonem. Myślałem o tym niezwykle, czarnym ptaku, który powiedział, że czeka na mnie od samych początków Czasu. Czekał, aby ze mną dyskutować, czy aby zostać zjedzonym w tym miejscu bez żadnej historii? Wszystko jedno. Ze zwykłą u moralistów przesadą można stwierdzić, że skoro nie zdołał obciążyć mi serca rozpaczą z powodu mojego stanu ducha, jest rzeczą właściwą, by został skonsumowany przy wtórze scenicznych piorunów... Zagrzmiał daleki grom, bliski grom, a potem jeszcze więcej gromów. Błyskawice oślepiały niemal, kiedy znowu skręciłem w tamtą stronę.

Mocniej chwyciłem łańcuch i zrobiłem kolejny krok...

Ściana burzy dotarła na sam brzeg mojego Wzorca i rozdzieliła się. Zaczęła przesuwać się bokami. Ani jedna kropla nie upadła na mnie ani na Wzorzec, jednak burza powoli, stopniowo okrążyła nas całkowicie.

Wrażenie było takie, jakbym stał w bąblu powietrza na dnie rozszalałego morza. Otaczały mnie ściany wody, w których przemykały jakieś mroczne kształty. Zdawało się, że cały wszechświat napiera, by mnie zmiążdżyć.

Skoncentrowałem się na czerwonym świetle wewnątrz Klejnotu. W lewo...

Kwitnące kasztany... Filizanka gorącej czekolady w przydrożnej kafejce... Koncert orkiestrowy w ogrodach Tuileries, dźwięki wznoszące się w jasnym od słońca powietrzu... Berlin w latach dwudziestych, Pacyfik w trzydziestych – też miały swoje zalety, ale zupełnie innego rodzaju. Może to nie prawdziwa przeszłość, ale obrazy przeszłości, jakie nadbiegają później, by pocieszać albo dręczyć ludzi albo narody. Nieważne. Przez Pont Neuf, potem Rue Rivoli, omnibusy i dorożki... Malarze przy sztalugach w Ogrodzie Luksemburskim... Gdyby wszystko dobrze wypadło, może poszukałbym kiedyś podobnego cienia... Dorównywał mojemu Avalonowi.

Zapomniałem... Szczegóły... Muśnięcia, które dają życie... Zapach kasztanów...

Dalej... Zakończyłem kolejne okrążenie. Wył wiatr i ryczała nawałnica, lecz ja pozostałem nietknięty. Dopóki nie pozwolę się rozproszyć, dopóki będę szedł naprzód i koncentrował uwagę na Klejnocie... Musiałem wytrzymać, musiałem kroczyć wolno i ostrożnie, nie zatrzymywać się, zwalniać ciągle, ale wciąż iść... Twarze... Jakby cały rząd twarzy obserwował mnie spoza brzegu Wzorca... Wielkie jak Głowa, lecz wykrzywione: drwiąco, szyderczo, pogardliwie... Czekają, bym przystanął lub zrobił błędny krok... Czekają, aż wszystko wokół mnie runie w gruzy... Błyskawice lśniły w ich oczach i ustach, ich śmiech był hukem piorunów... Między nimi pełzały cienie... Teraz mówiły głosami jak ryk sztormu znad dalekiego oceanu... Przegrasz, mówiły, przegrasz i runiesz w pustkę, a ta część Wzorca rozpadnie się za tobą i zostanie pochłonięta... Przeklinały mnie, pluły na mnie i wymiotowały, choć nic tu nie docierało... Może wcale ich tam nie było... Może mój umysł załamał się w tym napięciu... Na cóż wtedy moje wysiłki? Nowy Wzorzec wykreślony przez szaleńca? Zachwiałem się, a one głosami żywiołów podjęły chórem: "Szaleniec! Szaleniec! Szaleniec!"

Odetchnąłem głęboko, wciągając w nozdrza to, co pozostało z zapachu róży... znów pomyślałem o kasztanach, o dniach wypełnionych radością życia i porządku przyrody. Głosy przycichły nieco, gdy

umysł wracał do wydarzeń tamtego szczęśliwego roku... Postąpiłem o krok... I jeszcze jeden... Wygrywały moje słabości, wyczuwały zwątpienie, lęk, zmęczenie... Czymkolwiek były, chwytają się wszystkiego, co mogły wykorzystać przeciw mnie... Teraz w lewo... I w prawo... Niech widzą moją pewność, powiedziałem sobie, i niech wiedną.

Dotarłem aż tutaj. Nie ustąpię. W lewo... Zawirowały i rozrosły się. Wciąż bełkotały coś, by mnie zniechęcić, lecz wyraźnie straciły część zapału. Przebyłem kolejną część łuku; widziałem, jak rośnie przed czerwonym okiem mojego umysłu.

Wspomniałem swoją ucieczkę z Greenwood i jak wyłudziłem od Flory informacje; spotkanie z Randomem i walkę z jego prześladowcami, podróż do Amberu...

Wspomniałem, jak trafiliśmy do Rebmy i jak przeszedłem odwrócony Wzorzec, który w znacznej części przywrócił mi pamięć... Przymusowy ślub Randoma i mój krótkotrwały powrót do Amberu, gdzie walczyłem z Erykiem i uciekłem do Bleysa... Bitwy, które stoczyłem później, moje oślepienie, powrót do zdrowia, ucieczkę, wyprawę do Lorraine i potem do Avalonu...

Umysł włączył wyższy bieg i myśli przemknęły po dalszych wydarzeniach... Ganelon i Lorraine... Stwory Czarne Kręgu... Ręka Benedykta... Dara... Powrót Branda i zamach na niego... Zamach na mnie... Bill Roth... Dane ze szpitala... Mój wypadek... Od samego początku w Greenwood, przez tamte wydarzenia, aż do bieżącej chwili walki o perfekcyjne wykonanie każdego ukazanego mi manewru, zawsze czegoś oczekiwałem. Znałem to wrażenie – czy moimi działaniami kierowało pragnienie tronu, zemsta czy poczucie obowiązku – wyczuwałem je, byłem świadom jego obecności aż do teraz, gdy w końcu towarzyszyło mu coś jeszcze... Czułem, że czekanie dobiegło końca, że czegokolwiek się spodziewałem i próbowałem osiągnąć, wkrótce się wydarzy.

W lewo... Wolno, bardzo wolno... Nic więcej się nie liczyło. Całą siłę woli skupiłem na ruchu. Koncentracja była absolutna. Nie zważałem na nic, co leżało poza granicami Wzorca. Błyskawice, twarze, wiatry... nie miały znaczenia. Był tylko Klejnot, rosnący Wzorzec i ja... który ledwie sobie uświadamiałem własne istnienie.

Może już nigdy więcej nie zbliżę się bardziej do ideału Hugiego jedności z Absolutem. Zwrot... Prawa stopa... Znowu zwrot...

Czas stracił sens. Przestrzeń ograniczyła się do rysunku, który stwarzałem. Czerpałem siły z Klejnotu, nie przyzywając go nawet; był to element procesu, w którym uczestniczyłem. Zostałem chyba w pewnym sensie unicestwiony. Zmieniłem się w ruchomy punkt programowany przez Klejnot, wykonujący działanie pochłaniające mnie tak całkowicie, że nie było już miejsca na świadomość.

Mimo to, na innym poziomie, pojmowałem, że jestem również częścią procesu. Skądś bowiem wiedziałem, że gdyby robił to ktoś inny, powstawałby zupełnie inny Wzorzec.

Niejasno zdałem sobie sprawę, że minąłem już połowę drogi. Było mi trudniej, poruszałem się jeszcze wolniej. Gdyby nie szybkość, wszystko to przypominałoby mi pierwsze dostrojenie do Klejnotu, przeżycia z tej dziwnej, wielowymiarowej matrycy, która, zdawało się była Źródłem samego Wzorca.

W prawo... W lewo...

Nic mi nie ciążyło. Mimo tej rozwagi czułem się lekko. Przepływał przeze mnie strumień nieograniczonej energii. Wszystkie odgłosy wokół zlały się w biały szum i ucichły. Nagle wydało mi się, że nie poruszam się już tak wolno. Wrażenie nie było takie, jak przy mijaniu Zasłony czy bariery, a raczej jakbym doznał jakiejś wewnętrznej regulacji.

Miałem wrażenie, że w normalniejszym tempie stawiam kroki na ścieżce wijącej się w coraz ciaśniejszych zwojach, wciąż bliżej tego, co wkrótce stanie się zakończeniem rysunku. W zasadzie nie odczuwałem żadnych emocji, choć intelektualnie zdawałem sobie sprawę, że na pewnym

poziomie świadomości narasta we mnie euforia, która niedługo wybuchnie. Następny krok...

I następny... Jeszcze pięć, mole sześć... Nagle świat pograżył się w ciemności. Wydało mi się, że stoję wśród niezmierzonej próżni, ze słabym tylko światełkiem Klejnotu przed sobą i lśnieniem Wzorca niby mgławicy spiralnej, przez którą podążam. Zawahałem się, lecz tylko na mgnienie oka. To musi być ostatnia próba, ostatni atak. Muszę go przetrzymać. Klejnot pokazał mi, co robić, a Worzec pokazał, gdzie to robić. Brakowało tylko widoku mnie samego.

W lewo...

Szedłem dalej, z maksymalnym skupieniem wykonując każdy ruch. W końcu zaczął narastać opór, jak na starym Wzorcu. Na to jednak przygotowały mnie lata doświadczeń. Pokonując przeciwną siłę, zrobiłem jeszcze dwa kroki.

I wtedy zobaczyłem w Klejnocie zakończeniu Wzorca.

Wstrzymałbym oddech, uświadamiając sobie nagle jego piękno, lecz w tej chwili nawet oddech podporządkowany był moim wysiłkom. Całą energię pochłonął następny krok i pustka wokół mnie zadygotała. Dokończyłem go, a następny był jeszcze trudniejszy. Zdawało mi się, że staję w centrum wszechświata, stąпам po gwiazdach, że usiłuję zmusić je do jakiegoś kluczowego poruszenia, posługując się czymś, co zasadniczo jest tylko akcentem woli.

Nie widziałem stopy, ale przesunąłem ją wolno.

Worzec pojaśniał. Po chwili jego blask niemal oślepił.

Jeszcze kawałek... Naparłem mocniej niż kiedykolwiek na starym Wzorcu, gdyż opór wydawał się nie do pokonania. Musiałem przeciwstawić mu stanowczość i nieugiętą wolę, która wykluczała wszelkie inne emocje.

Miałem wrażenie, że nie poruszam się nawet o milimetr, że cała energia kamienia zostaje zużyta na rozjaśnienie rysunku. Przynajmniej odejdę we wspaniałej dekoracji...

Minuty, dni. lata... Nie wiem, jak długo to trwało.

Zdawało mi się, że przez całą wieczność wykonuję to jedno działanie...

I wtedy się poruszyłem, choć nie wiem, ile czasu to zajęło. Ale wykonałem jeden krok i zacząłem następny.

I następny...

Wszechświat zawirował wokół. Skończyłem.

Opór zniknął. Ciemność odeszła.

Przez jedną chwilę stałem nieruchomo w samym środku mojego Wzorca. Nie patrząc nawet, opadłem na kolana i zgiąłem się w pół. Krew dudniła mi w uszach, miałem zawroty głowy, dyszałem ciężko. Zacząłem dygotać. Dokoła tego, pomyślałem niezbyt przytomnie. Cokolwiek nastąpi, istnieje już Worzec. I przetrwa...

Usłyszałem jakiś dźwięk, którego być nie powinno.

Zmęczone mięśnie nie zareagowały jednak, nawet odruchowo. Dopiero kiedy ktoś wyrwał mi Klejnot z odrętwiałych palców, podniosłem głowę, przekręciłem się i usiadłem. Nikt nie szedł za mną przez Worzec – byłem pewien, że wyczułbym to. Zatem...

Oświetlenie było prawie normalne. Mrużąc oczy, spojrzałem w uśmiechniętą twarz Branda. Nosił teraz na oku czarną opaskę i trzymał w ręku Klejnot. Musiał się tu teleportować.

Uderzył, kiedy tylko podniosłem głowę. Upadłem na lewy bok. Wtedy mnie kopnął. Mocno.

– No cóż, dokonałeś tego – stwierdził. – Nie sądziłem, że potrafisz. Mam teraz drogi Worzec, który muszę zniszczyć, zanim poustawiam wszystko jak należy. Ale najpierw potrzebuję tego. – Pomachał Klejnotem. – Żeby rozstrzygnąć bitwę u Dworców. Do zobaczenia. Na razie.

I zniknął.

Leżałem i oddychałem z trudem, przyciskając ręce do brzucha. Fale czerni wznosiły się i opadały we mnie jak przybój, choć nie poddałem się nieświadomości. Ogarnęła mnie rozpacz; zamknąłem oczy i jęknąłem. Nie miałem już Klejnotu, z którego mógłbym zaczerpnąć sił.

Kasztany...

Rozdział 10

Leżałem tam i cierpiałem; miałem wizję Branda, który z pulsującym Klejnotem na szyi zjawia się na polu bitwy pośród walczących sił Amberu i Chaosu. Najwyraźniej uznał, że opanował go w dostatecznym stopniu, by skierować jego moce przeciwko nam. Widziałem, jak błyskawicami uderza w naszych żołnierzy, jak przywołuje przeciw nam huragany i burze gradowe. Niemal się rozplakałem. Przecież stając po naszej stronie wciąż jeszcze mógł odkupić swe winy... Ale zwycięstwo już mu nie wystarczało. Musiał wygrać dla siebie, na własnych warunkach. A ja? Ja zawiodłem. Wystawiłem przeciwko Chaosowi Wzorzec, choć nie sądziłem, że będę do tego zdolny. Lecz to na nic, jeśli przegramy bitwę, a Brand powróci, by wymazać moje dzieło. Dojść tak blisko, przeszedłszy przez wszystko, przez co przeszedłem, i tutaj ponieść klęskę... Miałem ochotę krzyknąć "Niesprawiedliwość!", choć wiedziałem, że wszechświat nie kieruje się moim pojęciem bezstronności. Zgrzytnąłem zębami i wyplułem z ust trochę ziemi. Nasz ojciec powierzył mi zadanie, by dostarczyć Klejnot na pole bitwy. Prawie mi się udało...

Ogarnęło mnie niezwykle uczucie. Coś wymagało mojej uwagi. Co?

Cisza.

Ucichł ryk wichrów i huk gromów. Powietrze trwało nieruchomo. Wydawało się nawet chłodne i świeże.

A po zewnętrznej stronie powiek pojawiło się światło.

Otworzyłem oczy. Zobaczyłem jasne, jednostajnie białe niebo. Zamrugalem. Odwróciłem głowę. Coś pojawiło się po mojej prawej stronie...

Drzewo. Drzewo rosło w miejscu, gdzie wbiłem laskę odciętą ze starego Ygga. I było już o wiele wyższe niż laska. Rosło niemal w oczach. Było zielone liśćmi, skropione bielą pączków. Zakwitły już pierwsze kwiaty. Wiejąca z tamtej strony bryza niosła subtelny, delikatny zapach, który dawał ukojenie.

Obmacałem sobie kości. Nie złamał mi chyba żadnego żebra, choć miałem wrażenie, że to kopnięcie zawiązało mi wnętrzności na supeł. Grzbietem dłoni przetarłem oczy i przejechałem palcami po włosach. Potem westchnąłem ciężko i podniosłem się na jedno kolano.

Rozejrzałem się uważnie. Płaskowyż wyglądał tak samo, a jednak był jakoś odmieniony. Wciąż nagi, nie był jednak surowy. Pewnie to wynik innego oświetlenia. Nie, było w tym coś jeszcze...

Odwracałem się dalej, zataczając wzrokiem pełny krąg. Znalazłem się w innym miejscu niż to, w którym rozpocząłem wykreślanie Wzorca. Różnice były subtelne, lecz były też i wyraźne. Inna formacja skalna; zagłębienie tam, gdzie dawniej było wzniesienie, zmieniona faktura kamienia pod mną i blisko mnie; w dali coś, co wyglądało na glebę. Skądś doleciał zapach morza. To miejsce wywierało całkiem inne wrażenie niż tamto, na które się wspiałem.. zdawało mi się, że już bardzo dawno temu. Zmiany były zbyt poważne, by spowodowała je burza. Przypominały coś znajomego.

Stojąc pośrodku Wzorca, westchnąłem raz jeszcze i nadal badałem otoczenie. W jakiś sposób, jakby mimo mej woli, odpływała rozpacz, ustępując uczuciu.. "świeżości", to chyba najlepsze określenie. Powietrze było słodkie i czyste, a okolica wydawała się nowa, jakby jeszcze nie używana. A ja...

Naturalnie. To było jak otoczenie pierwotnego Wzorca. Odwróciłem się i spojrzałem na wyższe już drzewo. Podobne, a jednak niepodobne... W powietrzu, na ziemi i niebie pojawiło się coś nowego. To nowe miejsce. Nowy pierwotny Wzorzec. Zatem, wszystko wokół wynikało z obecności

Wzorca, na którym stałem.

Nagle zdałem sobie sprawę, że odczuwam nie tylko świeżość. Opanowało mnie dziwne uniesienie, jakby radość. Oto czyste, nowe miejsce, a ja w pewien sposób byłem za nie odpowiedzialny.

Czas płynął. Stałem tylko, przyglądałem się drzewom, rozglądałem i cieszyłem euforią, jaka na mnie spłynęła. Mimo wszystko odniosłem pewnego rodzaju zwycięstwo – dopóki nie wróci Brand i go nie unicestwi.

Otrzeźwiałem nagle. Muszę powstrzymać Branda, muszę bronić tego miejsca. Stałem w samym środku Wzorca. Jeśli funkcjonował jak tamte, mogłem wykorzystać jego moc i przenieść się, gdziekolwiek zechcę. Mogę go użyć, by dołączyć do pozostałych.

Otrzeptałem ubranie. Sprawdziłem, czy miecz lekko wychodzi z pochwy. Może nie wszystko jest tak beznadziejne, jak się wydawało. Polecono mi dostarczyć Klejnot na pole bitwy. Brand robi to za mnie. Muszę tylko tam dotrzeć i jakoś odebrać mu kamień, a wszystko ułoży się znowu tak, jak powinno.

Rozejrzałem się. Będę musiał tu wrócić. Będę musiał kiedy indziej rozważyć tę nową sytuację – o ile przeżyję to, co ma nadejść. Była w tym jakaś tajemnica, wypełniała powietrze i unosiła się z wiatrem. Całe wieki może zająć zrozumienie, co nastąpiło, gdy wykreśliłem nowy Worzec.

Zasalutowałem drzewu. Zdawało mi się, że zadrżało.

Poprawiłem różę, nastroszyłem lekko jej płatki. Nadszedł czas, by wyruszyć znowu. Jeszcze nie wszystko stracone. Spuściłem głowę i zamknąłem oczy. Próbowałem sobie przypomnieć wygląd okolicy przed ostatnią otchłanią u Dworców Chaosu. Zobaczyłem ją taką jak wtedy, pod tym oszalałym niebem, i zaludniłem moimi krewnymi i żołnierzami. Gdy to czyniłem, wydało mi się, że słyszę odgłosy dalekiej bitwy. Scena wyostrzyła się, nabrała wyrazistości. Utrzymałem wizję jeszcze przez chwilę, po czym nakazałem Wzorcowi, by mnie tam przeniósł.

Po chwili, jak się zdawało, stałem na szczycie wzgórza nad równiną, a zimny wiatr szarpał mój płaszcz. Niebo było tą zwariowaną, wirującą, pasiastą czaszą, jaką zapamiętałem z ostatniej wizyty: w połowie czarną, w połowie lśniącą psychodelicznymi tęczami. W powietrzu unosiły się jakieś nieprzyjemne opary. Czarna droga przebiegała teraz z prawej strony, przecinała równinę i biegła poza nią, ponad otchłanią, ku tej cytadeli nocy. Wokół niej migotały światełka, niby ogniki świetlików. Muślinowe pomosty dryfowały w powietrzu i sięgały daleko w mrok. Niezwykłe postacie przejeżdżały po nich i po czarnej drodze. W dole widziałem coś, co uznałem za główny obóz wojsk. Zza pleców dobiegł odgłos ruchu czegoś innego niż skrzydlaty rydwan Czasu.

Odwróciłem się w stronę, która zgodnie z serią poprzednich namiarów kursu musiała być północą, i spojrzałem na zbliżającą się piekielną burzę. Rycząc i błyskając, nadchodziła z dalekich gór niby sięgający nieba lodowiec.

A więc nie zatrzymało jej stworzenie nowego Wzorca. Zdawało się, że wymięła mają chronioną okolicę i będzie podążać dalej, dopóki nie dotrze tam, gdzie zmierza. Miejmy zatem nadzieję, że po niej nadpłyną wszelkie konstruktywne impulsy, promieniujące z nowego Wzorca, a wraz z nimi sięgający poprzez Ciebie porządek. Nie wiedziałem, ile czasu trzeba, by burza dotarła aż tutaj.

Usłyszałem stuk kopyt i odwróciłem się, wyciągając miecz...

Rogaty jeździec na wielkim, czarnym koniu kierował się prosto na mnie, a w jego oczach jaśniało coś na podobieństwo blasku płomienia.

Zająłem pozycję i czekałem. Tamten zjechał chyba z jednej z tych muślinowych ścieżek, która przepłynęła w tę stronę. Obaj znajdowaliśmy się dość daleko od głównego miejsca akcji. Obserwowałem, jak wspina się na szczyt. Miał niezłego konia. Piękna pierś. Gdzie do diabła podziewa się Brand? Nie po to przybyłem, żeby się bić z byle kim.

Patrzyłem na zbliżającego się jeźdźca i zakrzywione ostrze w jego dłoni. Zmieniłem pozycję, gdy zaatakował. Ciął, wykonałem zasłonę i jego ręka znalazła się w moim zasięgu. Chwyciłem ją i ściągnąłem go z siodła.

– Ta róża... – zaczął, padając na ziemię. Nie wiem, co jeszcze chciał powiedzieć, gdyż poderżnąłem mu gardło i słowa, razem z całą resztą, zniknęły w wybuchu płomienia.

Odwróciłem się błyskawicznie, wyrwałem Grayswandira, przebiegłem kilka kroków i chwyciłem czarnego rumaka za uzdę. Przemówiłem, by go uspokoić, i odprowadziłem dalej od ognia. Po kilku minutach nawiązaliśmy bardziej przyjazne stosunki i wskoczyłem na siodło.

Z początku był trochę płochliwy, ale kazałem mu tylko kroczyć stępą wokół wzgórza, gdy ja studiowałem okolicę. Wojska Amberu były chyba w natarciu. Płonące ciała zalegały pole bitwy, a główne siły przeciwnika zostały zepchnięte na wzniesienie w pobliżu krawędzi przepaści. Ich szeregi, nie złamane jeszcze, ale z trudem utrzymujące porządek, cofały się wolno. Z drugiej strony jednak coraz nowi żołnierze przedostawali się nad otchłanią i dołączali do tych, którzy bronili wzniesienia.

Szybko oceniwszy ich pozycję i rosnącą liczbę uznałem, że mogą szykować kontratak. Nigdzie nie dostrzegłem Branda.

Gdybym nawet był wypoczęty i w zbroi, też bym się wahał, czy zjechać tam i włączyć się do bójki. Moim zadaniem było teraz odnalezienie Branda. Nie przypuszczałem, by brał bezpośredni udział w walce. Rozglądałem się uważnie, szukając samotnej postaci. Nic... Może po drugiej stronie. Będę musiał okrążyć ich od północy.

Zbyt wiele przesłaniało mi widok na zachodzie.

Zawróciłem wierzchowca i ruszyłem w dół. Przyjemnie byłoby teraz sobie poleżeć, pomyślałem. Spaść bezwładnie jak toból i zasnąć. Westchnąłem. Do diabła, gdzie się podział Brand?

Dotarłem do stóp wzgórza i skręciłem, by skrócić sobie drogę przez jakiś parów. Potrzebowałem lepszego widoku...

– Lordzie Corwinie z Amberu!

Czekał za łukiem zagłębienia: wielki, siny jak trup facet z rudymi włosami i na koniu takiej samej barwy. Nosił miedzianą, zielono inkrustowaną zbroję i spoglądał na mnie, nieruchomy jak posąg.

– Dostrzegłem cię na szczycie – poinformował mnie. – Nie nosisz pancerza, prawda?

Klepnąłem się w pierś.

Sztywno skinął głową. Sięgnął do prawego ramienia, do lewego, potem pod pachy, rozwiązując rzemienie zbroi. Zdjął napierśnik, opuścił go z lewej strony i rzucił na ziemię. W ten sam sposób pozbył się nagolenników.

– Długo czekałem na spotkanie z tobą – oświadczył. – Jestem Borel. Kiedy cię zabiję, nie chcę, by mówiono, że miałem nad tobą przewagę.

Borel... To imię brzmiało znajomo. Przypomniałem sobie: cieszył się podziwem i miłością Dary. Był jej nauczycielem szermierki, mistrzem miecza. Ale głupim. Zdejmując pancerz, stracił mój szacunek. Bitwa to nie zabawa. Nic miałem ochoty stawać naprzeciw każdego zarozumiałego durnia, który miał na ten temat inne zdanie. Zwłaszcza sprawnego durnia, gdy ja sam byłem wykończony. Jeśli nawet nie techniką, to w końcu pokonałby mnie kondycją.

– Teraz rozwiążemy problem, który dręczył mnie już od dawna – powiedział.

Odpowiedziałem ekscentrycznym wulgaryzmem, zawróciłem i ruszyłem galopem drogą, którą tu przybyłem.

Natychmiast rzucił się w pogoń.

Pędząc wzdłuż parowu, zdałem sobie sprawę, że nie mam dostatecznej przewagi. Dopadnie mnie

za parę chwil; wobec moich odsłoniętych pleców albo mnie powali, albo zmusi do walki. Ja miałem jednak inne, choć ograniczone, możliwości.

– Tchórz! – krzyczał. – Uciekasz przed walką! To ma być ten wielki wojownik, o którym tyle słyszałem?

Rozpiąłem pod szyją płaszcz. Z obu stron krawędź parowu sięgała mi do ramion, potem do pasa.

Zeskoczyłem z siodła na lewo, potknąłem się i odzyskałem równowagę. Kary pognął dalej. Stałem nad parowem. Oburącz chwyciłem płaszcz i przesunąłem w odwrotnej pozycji Weroniki ledwie na sekundę czy dwie, nim wynurzyły się przede mną ramiona i głowa Borela. Płaszcz oplątał go razem z nagim mieczem i całą resztą, i skrępował ruchy ramion.

Wtedy kopnąłem. Mocno. Mierzyłem w głowę, ale trafiłem w lewe ramię. Runął z siodła i jego koń także pomknął dalej.

Wyrwałem z pochwy Grayswandira i skoczyłem w dół. Dopadłem go, gdy właśnie próbował wstać, odrzuciwszy na bok mój płaszcz. Ciąłem, kiedy usiadł; dostrzegłem jego zdumiony wzrok, gdy z rany strzeliły płomienie.

– Jakże nikczemny podstęp! – zawołał. – Czegoś lepszego się po tobie spodziewałem.

– Nie jesteśmy na olimpiadzie – odparłem, strzepując iskry z płaszcza.

Dogoniłem konia i dosiadłem go. Zajęło mi to kilka minut. Ruszyłem na północ i wkrótce stanąłem na wyżej położonym gruncie. Spostrzegłem Benedykta dowodzącego bitwą, a w jarze na tyłach zauważyłem Juliana na czele jego ludzi z Ardeny. Najwyraźniej Benedykt trzymał ich w rezerwie.

Jechałem dalej, w stronę nadciągającej burzy, pod na pół czarnym, na pół kolorowym obrotowym niebem. Po chwili osiągnąłem cel: najwyższe wzgórze w polu widzenia. Zacząłem wspinać się na szczyt. Po drodze zatrzymywałem się kilka razy i oglądałem za siebie.

Widziałem Deirdre w czarnej zbroi, z toporem w rękę; Llewella i Flora stały między łucznikami. Fiony nie zauważyłem, Gerarda także nie. Potem dostrzegłem Randoma na koniu. Wymachując ciężkim mieczem, prowadził atak na szeregi nieprzyjaciela. Obok niego walczył rycerz w zielonym stroju, którego nie rozpoznałem. Ze śmiertelnością celnością zadawał ciosy maczugą. Na plecach miał łuk, a u boku kołczan pełen lśniących strzał.

Gdy stanąłem na szczycie, głośniejsz zahuczały pioruny. Błyskawice migotały jak włączona właśnie świetlówka, a deszcz szumiał jednostajnie, podobny do sunącej nad górami zasłony z włókna szklanego.

Pode mną zwierzęta i ludzie – i spora liczba mieszaińców – walczyli posplatani w pasma i węzły. Nad polem bitwy unosiła się chmura kurzu. Oceniając jednak rozkład sił, nie sądziłem, by można było zepchnąć coraz liczniejszego wroga o wiele dalej. Wydało mi się nawet, że pora już na kontratak. Byli gotowi w tych swoich skałach i czekali tylko na rozkaz.

Spuściłem ich z oczu na mniej więcej półtorej minuty. Przeszli do przodu, w dół zbocza, wzmacniając swoje szeregi i spychając naszych żołnierzy. Atakowali. A zza czarnej otchłani zjawiali się wciąż nowi. Nasze wojska rozpoczęły w miarę uporządkowany odwrót. Nieprzyjaciel natarł mocniej, i kiedy odwrót miał się już zmienić w ucieczkę, musiał paść rozkaz.

Usłyszałem róg Juliana, a zaraz potem zobaczyłem, jak na grzbiecie Morgensterna prowadzi do boju ludzi z Ardeny. To niemal dokładnie zrównało siły, a hałas ciągle narastał. Niebo odwróciło się nad nami.

Przyglądałem się bitwie przez kwadrans. Nasze wojska cofały się wolno na całym polu. Potem na dalekim wzgórzu pojawił się nagle jednoręki jeździec na wierzchowcu w ogniste pasy. Trzymał w dłoni wzniesiony miecz i stał tyłem do mnie, twarzą ku zachodowi. Przez chwilę trwał nieruchomo. A potem opuścił klingę.

Od zachodu zagrały trąbki. Z początku niczego nie widziałem. Potem pojawił się szereg konnych. Drgnąłem. Zdawało mi się, że jest między nimi Brand. Ale natychmiast spostrzegłem, że to Bleys prowadzi swoich ludzi do szturm na odsłonięte skrzydło przeciwnika.

I nagle nasi żołnierze przestali się cofać. Dotrzymywali pola. A później ruszyli do przodu. Nadjechał Bleys i jego kawaleria, a ja pojąłem, że Benedykt znowu zwyciężył. Nieprzyjaciel miał wkrótce zostać starty na proch.

Od północy dmuchnął lodowaty wiatr i znowu spojrzałem w tamtą stronę.

Burza zbliżyła się wyraźnie. Widocznie przyspieszyła. I stała się bardziej mroczna, z jaskrawszymi błyskawicami i głośniejszym grzmotem. A ten zimny, wilgotny wiatr wznosił się coraz bardziej.

Zastanowiłem się... czy burza przetoczy się przez pole bitwy jak fala destrukcji, po czym nastąpi koniec? Co z oddziaływaniem nowego Wzorca? Czy sięgnie tu i odtworzy wszystko? Mocno w to wątpiłem. Miałem przeczucie, że jeśli burza nas zmiążdży, to już zostaniemy zmiążdżeni. Niezbędna była moc Klejnotu, by przetrwać nawałnicę, póki na nowo nie zapanuje porządek. A co pozostanie, jeśli przeżyjemy? Nie próbowałem nawet zgadywać.

Co więc planował Brand? Na co czekał? Co zamierzał zrobić?

Raz jeszcze spojrzałem na pole bitwy...

Jest.

W zacienionym miejscu na wzniesieniu, gdzie nieprzyjaciel przegrupował się, otrzymał posiłki, skąd ruszał do ataku... coś tam było.

Małe błyski czerwieni... byłem pewien, że go widziałem.

Obserwowałem uważnie i czekałem. Musiałem zobaczyć go znowu, dokładnie określić miejsce...

Minęła minuta. Może dwie...

Tam! I jeszcze raz!

Spiąłem czarnego rumaka. Zdołałem chyba ominąć flankę wrogiej formacji i wjechać na to pozornie opuszczone wzniesienie. Galopem zjechałem ze wzgórza i pomknąłem do celu.

To musiał być Brand z Klejnotem. Wybrał dobre, bezpieczne miejsce, skąd mógł obserwować całe pole bitwy i nadciągającą burzę. Stamtąd, gdy tylko nawałnica znajdzie się dostatecznie blisko, mógł kierować błyskawice na naszych żołnierzy. We właściwej chwili da znak do odwrotu, uderzy w nas niesamowitą furją żywiołów, potem skieruje ją w bok, by ominęła siły, które wspiera. W tych okolicznościach było to najprostsze i najbardziej skuteczne rozwiązanie.

Muszę dotrzeć do niego jak najbliżej. Miałem większą władzę nad kamieniem, ale ta malała wraz z odległością, a on miał go przy sobie. Najlepszym manewrem będzie zaatakować na wprost i za wszelką cenę znaleźć się w zasięgu kierowania Klejnotem, by użyć go przeciw niemu. Brand może jednak mieć jakąś ochronę. To mnie niepokoiło, ponieważ starcie z kimś takim potwornie spowolni mój atak. A jeśli nawet jest sam, lecz sprawy pójdą nie po jego myśli, co go powstrzyma przed teleportacją gdzieś dalej? I co wtedy zrobię? Będę musiał szukać go jeszcze raz, zacząć od początku. Pomyślałem, że zdołał może wykorzystać Klejnot, by uniemożliwić Brandowi przeskok. Nie wiedziałem, czy to możliwe, ale postanowiłem spróbować.

Nie był to może najlepszy plan, ale jedyny, jaki miałem. Nie było już czasu na strategię.

Zauważyłem, że nie tylko ja zmierzam na to wzniesienie. Random, Deirdre i Fiona, konno, w towarzystwie ośmiu jeźdźców, przebili się przez linie przeciwnika. Za nimi pędziło kilku żołnierzy, nie wiem: przyjaciół czy wrogów. Może jednych i drugich. Rycerz w zielonym stroju był chyba najszybszy; doganiał ich. Wciąż nie mogłem go rozpoznać... albo jej, co było całkiem możliwe. Nie miałem jednak wątpliwości co do celu pierwszej grupy. Była tam Fiona; musiała wykryć obecność Branda i teraz prowadziła do niego pozostałych.

W serce kapnęło mi kilka kropel nadziei. Może Fiona potrafi przynajmniej częściowo zneutralizować moc Branda. Pochyliłem się w siodle i popędziłem konia. Nadal skręcałem łukiem w lewo. Niebo obracało się, wiatr świszczął mi w uszach... Przerażliwie zahuczał grom.

Nie oglądałem się.

Ścigałem ich. Nie chciałem, by dotarli na miejsce przede mną, ale obawiałem się, że nie zdążę. Byłem za daleko.

Gdyby tylko spojrzeli za siebie, gdyby zobaczyli, że nadjeżdżam.. Na pewno by poczekał. Żałowałem, że nie ma sposobu, by wcześniej zasygnalizować im swoją obecność. Przeklinałem bezużyteczność Atutów.

Zacząłem krzyczeć. Wrzeszczałem co sił w płucach, ale wiatr porywał moje słowa i przetaczał się po nich grzmot.

– Zaczekajcie! Do diabła! To ja, Corwin!

Nawet jednego spojrzenia.

Minąłem najbliższych walczących i ruszyłem wzdłuż nieprzyjacielskiej flanki, poza zasięgiem pocisków i strzał. Cofali się teraz szybciej, a nasi żołnierze zajmowali coraz więcej terenu. Brand musi się już szykować do uderzenia. Część obrotowego nieba zniknęła pod ciemną chmurą, której nie było tu jeszcze kilka minut temu.

Skręciłem w prawo, za cofające się szeregi, i pogałem ku wzgórzom, na które tamci już się wspinali. Mrok zakrywał niebo, gdy dotarłem do stóp wzniesienia. Bałem się o swoje rodzeństwo. Byli za blisko. Brand będzie musiał coś zrobić. Chyba że Fiona ma dość sił, by go powstrzymać...

Przedemną coś błysnęło oślepiająco. Koń stanął dęba, a ja wyleciałem z siodła. Nim spadłem na ziemię, huknął grom.

Oszołomiony, leżałem przez chwilę nieruchomo. Koń odbiegł na jakieś pięćdziesiąt metrów, zanim się zatrzymał i teraz spacerował niepewnie dookoła. Przetoczyłem się na brzuch i spojrzałem na zbocze. Tamci jeźdźcy także byli na ziemi. To chyba w nich trafił piorun. Kilku się ruszało, ale większa część nie. Nikt jeszcze się nie podniósł. Powyżej dostrzegłem pod przewieszką czerwony blask Klejnotu, mocniejszy teraz i jasny, a także mglisty zarys postaci, która go nosiła.

Poczołgałem się w górę i w lewo. Zanim zaryzykuję i wstanę, wołałem zejść z pola widzenia tego człowieka.

Zbyt wiele czasu zajęłoby czołganie się aż na górę. Musiałem też ominąć pozostałych, ponieważ na nich skupia się pewnie jego uwaga.

Poruszałem się wolno, ostrożnie, wykorzystując każdą możliwą osłonę. Nie wiedziałem, czy za chwilę piorun nie uderzy w to samo miejsce. A jeśli nie, to kiedy Brand zaatakuje naszych żołnierzy. Lada chwila, uznałem.

Rzut oka przez ramię ukazał mi nasze wojska rozciągnięte na przeciwległym krańcu pola bitwy, i nieprzyjaciela w odwrocie, cofającego się ku nam. Już niedługo będę się musiał martwić także o armię.

Trafiłem na wąski rów i przeczolgałem się nim jakieś dziesięć metrów na południe. Wysunąłem się po drugiej stronie, by wykorzystać dla osłony pochyłość, a dalej jakieś skały.

Kiedy podniosłem głowę, nie dostrzegłem już blasku Klejnotu. Skalny występ zakrywał od wschodu szczelinę, gdzie chował się Brand.

Mimo to pełzłem dalej, aż dotarłem na samą krawędź wielkiej otchłani. Dopiero wtedy znowu skręciłem w prawo. Dotarłem do punktu, gdzie mogłem chyba bezpiecznie się podnieść. Zrobiłem to. Oczekiwałem następnego trzasku gromu, w pobliżu albo dalej, na polu bitwy; nic jednak nie słyszałem. Zacząłem się zastanawiać... Dlaczego nie? Sięgnąłem myślą, próbując wyczuć obecność

Klejnotu; bez efektu. Pospiesznie ruszyłem w stronę, gdzie ostatnio widziałem jego blask.

Spojrzałem jeszcze w otchłań, by się upewnić, że nic mi stamtąd nie zagraża. Dobyłem miecza. Szedłem tuż przy ścianie urwiska. Przy krawędzi pochyliłem się nisko i wyjrzałem.

Nie było żadnego czerwonego lśnienia. Ani mglistej postaci. Kamienna nisza wydawała się całkiem pusta, a w pobliżu nie zauważyłem niczego podejrzanego. Czy mógł się znowu teleportować? A jeśli tak, to dlaczego?

Wyprostowałem się i minąłem skalną pochyłość. Nadal szedłem w stronę północy. Znowu spróbowałem wyczuć Klejnot i tym razem nastąpił słaby kontakt – miałem wrażenie, że gdzieś na prawo i wyżej. Ruszyłem tam, cichy i czujny. Dlaczego opuścił kryjówkę? Miał przecież znakomitą pozycję dla tego, co planował. Chyba że...

Usłyszałem krzyk i przekleństwo. Dwa różne głosy.

Puściłem się biegiem.

Rozdział 11

Minąłem niszę i szedłem dalej. Napotkałem wijący się w górę naturalny zleb. Zacząłem się wspinać.

Nikogo na razie nie zauważyłem, ale poczucie obecności Klejnotu narastało z każdym krokiem. Zdawało mi się, że z prawej strony usłyszałem kroki, więc błyskawicznie odwróciłem się w tamtym kierunku. Nikogo nie było. Klejnot też nie wydawał się bliski, więc ruszyłem dalej.

Zbliżałem się do szczytu, a za plecami miałem czarną przepaść Chaosu. Usłyszałem głosy. Nie rozumiałem słów, lecz ton świadczyło podnieceniu.

Zwolniłem tuż przed szczytem, opadłem na kolana i wysunąłem głowę zza skały.

Niedaleko przede mną stał Random, a z nim Fiona i lordowie Chantris i Feldane. Wszyscy prócz Fiony trzymali broń gotową do użycia, ale stali absolutnie nieruchomo. Spoglądali w stronę krawędzi wszystkich rzeczy: na skalną półkę oddaloną może o piętnaście metrów – miejsce, gdzie rozpoczynała się otchłań. Stał tam Brand i trzymał przed sobą Deirdre. Była bez hełmu, z włosami powiewającymi beładnie, a on przyciskał jej sztylet do krtani. Chyba już ją lekko skaleczył. Cofnąłem się.

Usłyszałem cichy głos Randoma:

– Czy nic więcej nie możesz zrobić, Fi?

– Mogę go tam przytrzymać – odpowiedziała. – I na tę odległość mogę trochę spowolnić jego próby sterowania pogodą. Ale to wszystko. On uzyskał częściowe dostrojenie, ja nie. Pomaga mu także bliski dystans. Czegokolwiek spróbuję, on to potrafi skontrolować.

Random przygryzł dolną wargę.

– Rzućcie broń – zawołał Brand. – Natychmiast. Inaczej Deirdre zginie.

– Zabij ją – odpowiedział Random. – Stracisz jedyną rzecz, która trzyma cię jeszcze przy życiu. Zrób to, a sam zobaczysz, co ja zrobię ze swoją bronią.

Brand mruknął coś pod nosem.

– Dobra – oświadczył. – W takim razie zacznę od okaleczania.

Random splunął.

– Dalej! – zachęcił. – Ma zdolności regeneracji nie gorsze niż my wszyscy. Poszukaj groźby, która ma jakiś sens, albo zamknij się i walcz!

Brand milczał. Uznałem, że lepiej nie zdradzać swojej obecności. Na pewno potrafię coś zrobić. Zanim się cofnąłem, zaryzykowałem jeszcze jeden rzut oka, fotografując w pamięci układ terenu. Po lewej były jakieś skały, ale nie sięgały dostatecznie daleko. Nie mogłem się do niego podkraść.

– Musimy chyba zaatakować wszyscy naraz – stwierdził Random. – Trzeba spróbować. Nie widzę innego sposobu. A wy?

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, zdarzyło się coś dziwnego. Dzień pojaśniał nagle.

Rozejrzałem się, szukając Źródła światła. Potem spojrzałem w górę.

Chmury były wciąż na miejscu, a obłąkane niebo nadal wykonywało za nimi swoje wariackie sztuczki.

Światło jednak pochodziło z chmur. Pobladyły i lśniły teraz, jak gdyby zakrywały słońce. Nawet kiedy patrzyłem, pojaśniały wyraźnie.

– Co on teraz wyczynia? – zdziwił się Chantris.

– Nic nie wyczuwam – odparła Fiona. – Nie sądzę, żeby to było jego dzieło.

– Więc czyje?

Odpowiedź nie padła; w każdym razie ja nic nie usłyszałem.

Obserwowałem blednące chmury. Największa i najjaśniejsza zawirowała nagle, jakby ktoś ją zamieszał.

Przebiegały tam jakieś formy, utrwały się. Kontur zaczął nabierać kształtu.

Pode mną, na polu bitwy, przycichły odgłosy walki.

Sama burza wydawała się przytłumiona. Obraz rósł. Coś tworzyło się wyraźnie nad naszymi głowami: rysy gigantycznej twarzy.

– Mówię wam, że nie wiem – usłyszałem głos Fiony, odpowiadającej na jakieś pytanie.

Zanim jeszcze obraz powstał do końca, pojąłem, że na niebie widzę twarz naszego ojca. Sprytna sztuczka. I nie miałem pojęcia, co oznacza.

Twarz pochylila się, jak gdyby przyglądała się nam wszystkim. Widziałem zmarszczki zmęczenia i jakby zatroskanie. Jasność wzrosła jeszcze trochę. Poruszył wargami.

Kiedy rozległ się głos, był na poziomie zwykłej konwersacji. Nie grzmiał potężnie, jak się tego spodziewałem.

– Posyłam wam tę wiadomość – powiedział – zanim podejmę próbę naprawy Wzorca. Gdy do was dotrze, zdążę już zwyciężyć lub ponieść klęskę. Wyprzedzi falę Chaosu, która musi towarzyszyć mojemu przedsięwzięciu. Mam powody wierzyć, że próba będzie dla mnie śmiertelna.

Odniosłem wrażenie, że przebiega wzrokiem pole bitwy.

– Radujcie się lub rozpaczajcie, zależnie od sytuacji – mówił dalej – gdyż jest to koniec albo początek. Gdy tylko skończę, prześlę Corwinowi Klejnot Wszechmocy. Poleciałem mu ponieść go na miejsce starcia. Wszystkie wasze wysiłki będą daremne, jeśli nie zdołacie odwrócić fali Chaosu. Ale mając Klejnot, właśnie tam, Corwin powinien was osłonić, póki fala nie przeminie.

Usłyszałem śmiech Branda. Wydawał się już zupełnie obłąkany.

– Po mojej śmierci – kontynuował tato – na was spadnie problem sukcesji. Miałem w tym względzie swoje plany, ale teraz widzę, że wszystko na próżno. Nie mam wyjścia; muszę postawić tę sprawę na rogu Jednorożca. Dzieci moje, nie mogę stwierdzić, że jestem z was całkiem zadowolony, ale przypuszczam, że także na odwrót. Niech tak będzie. Pozostawiam wam moje błogosławieństwo, które jest czymś więcej niż tylko formalnością. Odchodzę teraz, by przejść Wzorec. Żegnajcie.

Twarz zaczęła się rozmywać, a jasność zniknęła z powłoki chmur. Jeszcze chwila i wszystko się rozwiało.

Zaległa cisza.

– ...i, jak sami widzicie – usłyszałem głos Branda – Corwin nie ma Klejnotu. Rzućcie broń i wynoście się stąd. Albo zatrzymajcie ją i wynoście się. Nie interesuje mnie to. Zostawcie mnie samego. Muszę załatwić kilka spraw.

– Brandzie – odezwała się Fiona. – Potrafisz zrobić to, na co ojciec liczył u Corwina? Możesz sprawić, że ta fala nas ominie?

– Mógłbym, gdybym chciał – odpowiedział. – Tak, potrafiłbym skierować ją na bok.

– Byłbyś bohaterem – zapewniła go cicho. – Zyskałbyś naszą wdzięczność. Wszystkie dawne winy byłyby wybaczone. Wybaczone i zapomniane. My...

Zaśmiał się szaleńczo.

– Ty chcesz mi wybaczyć? Ty, która zostawiłaś mnie w tej wieży, która wbiłaś mi sztylet? Dzięki ci, sostro. To uprzejme z twojej strony, że proponujesz mi przebaczenie, ale wybac, że muszę ci odmówić.

– No, dobrze – wtrącił Random. – A czego właściwie chcesz? Przepraszam? Bogactw i skarbów?

Ważnego stanowiska? Wszystkich tych rzeczy? Proszę, są twoje. Ale głupio się bawisz. Skończmy to i wracajmy do domu. Udajmy, że to był tylko zły sen.

– Tak, skończmy to – zgodził się Brand. – W tym celu najpierw odrzućcie broń. Potem Fiona uwolni mnie spod zaklęcia, zrobicie w tył zwrot i pomaszerujecie na północ. Jeśli nie, zabiję Deirdre.

– W takim razie lepiej zabij ją od razu i szykuj się do walki ze mną. Ponieważ jeśli ci ustąpimy, wkrótce i tak będzie martwa. Jak my wszyscy.

Brand zachichotał.

– Czy naprawdę sądziłeś, że pozwolę wam zginąć? Jesteście mi potrzebni: wszyscy, których zdołam ocalić. Mam nadzieję, że również Deirdre. Tylko wy potraficie docenić mój tryumf. Osłonię was przed holocaustem, który zacznie się za chwilę.

– Nie wierzę ci – oświadczył Random.

– Pomyśl przez chwilę. Znasz mnie dobrze i wiesz, że zechcę wam pokazać swoją wyższość. Chcę, byście byli świadkami mojego dzieła. Po to potrzebuję waszej obecności w moim nowym świecie. A teraz, wynoście się stąd.

– Dostaniesz wszystko, czego chcesz plus naszą wdzięczność – zaczęła Fiona. – Jeśli tylko...

– Odejdźcie.

Widziałem, że nie mogę dłużej zwlekać. Że muszę działać. Wiedziałem też, że nie zdołam dopaść go dostatecznie szybko. Nie miałem wyboru, musiałem spróbować użyć Klejnotu jako broni.

Sięgnąłem myślą i poczułem jego obecność. Zamknąłem oczy i wezwałem moc.

Żar. Żar, myślałem. On cię parzy, Brandzie. Sprawia, że każda cząsteczka twojego ciała wibruje szybciej i szybciej. Za chwilę staniesz się żywą pochodnią...

Usłyszałem jego krzyk.

– Corwinie! – ryknął. – Przestań! Gdziekolwiek jesteś! Zabiję ją! Patrz!

Wstałem, wciąż nakazując Klejnotowi, by go parzył.

Spojrzałem poprzez dzielącą nas przestrzeń. Ubranie Branda zaczynało dymić.

– Przestań! – wrzasnął, wzniosł nóż i ciął Deirdre w twarz.

Krzyknąłem, a oczy zaszyły mi mgłą. Przestałem panować nad Klejnotem. Lecz gdy starał się uderzyć po raz drugi, Deirdre, której lewy policzek spływał krwią, zatopiła zęby w jego dłoni. Potem uwolniła ramię, wbiła mu łokieć w żebra i spróbowała się wyrwać.

Gdy tylko się poruszyła, gdy pochyliła głowę, coś błysnęło srebrzyście. Brand jęknął i upuścił sztylet – strzała przebiła mu krtań. Następna trafiła go w pierś, trochę na prawo od Klejnotu.

Cofnął się o krok i zacharczał. Tylko że nie miał już gdzie się cofać z samej krawędzi otchłani. Kiedy zaczął spadać, szeroko otworzył oczy. Potem jego ręka wystrzeliła w przód i chwyciła włosy Deirdre. Biegłem już do nich z krzykiem, ale wiedziałem, że nie zdążę.

Deirdre wrzasnęła; jej pokrwawiona twarz wyrażała grozę. Wyciągnęła do mnie rękę...

A potem Brand, Deirdre i Klejnot byli już za krawędzią, spadali, znikali z mego pola widzenia, ginęli...

Wydaje mi się, że próbowałem skoczyć za nimi, ale Random mnie zatrzymał. W końcu musiał mnie uderzyć i wtedy wszystko odpłynęło...

Kiedy doszedłem do siebie, leżałem na kamienistym gruncie dalej od przepaści, niż upadłem. Ktoś zwinął mój płaszcz i wsunął mi pod głowę. Najpierw zobaczyłem wirujące niebo; przypomniało mi sen o kole, który miałem tamtego dnia, gdy spotkałem Darę. Wiedziałem, że inni są wokół mnie; słyszałem ich głosy, ale z początku nie odwracałem głowy. Leżałem tylko, spoglądałem na niebiańską mandalę i myślałem o stracie. Deirdre... więcej dla mnie znaczyła niż cała reszta rodziny razem

wzięta. Nic na to nie poradzę. Tak właśnie było. Ileż to razy żałowałem, że jest moją siostrą. Pogodziłem się jednak z realiami. Moje uczucia nigdy się nie zmieniają, ale... teraz odeszła, a ta myśl była ważniejsza niż zbliżający się koniec świata.

Mimo wszystko musiałem sprawdzić, co się dzieje. Bez Klejnotu wszystko skończone. Chociaż... Sięgnąłem ku niemu, gdziekolwiek teraz był, ale nie poczułem nic.

Zacząłem wstawać; chciałem się przekonać, jak daleko dotarła fala. Nagle przytrzymało mnie czyjeś ramię.

– Odpoczywaj, Corwinie. – To był głos Randoma. – Jesteś wykończony. Wyglądasz, jakbyś przeczołgał się przez piekło. Nic już nie możesz zdziałać. Spokojnie.

– Jaką różnicę robi stan mojego zdrowia? – odparłem. – Za parę chwil nie będzie to już miało znaczenia.

Znów spróbowałem wstać i tym razem ramię przesunęło się, by mi pomóc.

– Jak chcesz – powiedział. – Chociaż nie ma tu wiele do oglądania.

Miał rację. Walka dobiegła końca, jeśli nie liczyć kilku izolowanych ognisk oporu nieprzyjaciela. Te zaś były szybko otaczane, a walczący wybijani lub chwytani w niewolę. Wszyscy przesuwali się w naszą stronę, uciekając przed nadchodzącą falą zniszczenia, która dotarła już na skraj pola bitwy. Wkrótce na naszym wzniesieniu znajdą się tłumy ocalałych z obu stron.

Obejrzałem się: żadne nowe wojska nie nadchodziły od strony mrocznej cytadeli. Czy możemy się teraz wycofać, gdy burza w końcu dosięgnie nas tutaj? A co potem?

Otchłań była chyba ostatecznym rozwiązaniem.

– Już niedługo – szepnąłem, myśląc o Deirdre. – Już niedługo... Dlaczego nie?

Obserwowałem front nawałnicy, błyskającej piorunami, zmiennej, przesłaniającej świat. Tak, już niedługo.

Skoro Klejnot zginął wraz z Brandem...

– Brand – powiedziałem głośno. – Kto go w końcu dostał?

– Ja dostałem tego wyróżnienia – odparł znajomy głos, którego nie mogłem jakoś rozpoznać.

Odwróciłem się i wytrzeszczyłem oczy. Na kamieniu siedział człowiek w zielonym stroju, obok na ziemi leżały łuk i kołczan. Błysnął zębami w złośliwym uśmiechu.

To był Caine.

– Niech mnie piekło... – Potarłem szczękę. – Zabawna rzecz przytrafiła mi się w drodze na twój pogrzeb.

– Tak, słyszałem o tym. – Parsknął śmiechem. – Zabiłeś kiedyś siebie, Corwinie?

– Ostatnio nie. Jak to zrobiłeś?

– Przeszedłem do odpowiedniego cienia – wyjaśnił. – I tam napadłem na cień mnie samego. On dostarczył mi zwłok. – Zadrżał. – Przedziwne uczucie. Nie chciałbym znów go doświadczyć.

– Ale po co? Po co udawałeś własną śmierć i próbowałeś mnie w to wrobić?

– Chciałem dotrzeć do Źródeł problemów Amberu – wyjaśnił. – I zniszczyć je. Uznałem, że najlepiej będzie zejść do podziemia. A czy znasz lepszy sposób, niż przekonać wszystkich, że nie żyjesz? W końcu mi się udało, jak sam widziałeś. – Przerwał na chwilę. – Przykro mi z powodu Deirdre. Ale nie miałem wyboru. Tak naprawdę nie wierzyłem, że zabierze ją ze sobą.

Odwróciłem wzrok.

– Nie miałem wyboru – powtórzył. – Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Skinąłem głową.

– Ale dlaczego stworzyłeś pozory, że to ja cię zabiłem?

Podeszła Fiona z Bleysem. Przywitałem się z nimi, lecz nadał czekałem na odpowiedź Caine'a.

Było kilka spraw, o które chciałem zapytać Bleysa, ale te mogły poczekać.

– Więc? – zapytałem.

– Chciałem usunąć cię z drogi – wyjaśnił. – Przypuszczałem, że to ty stoisz za tym wszystkim. Ty albo Brand. Ograniczyłem krąg podejrzanych do dwóch osób. Myślałem, że może nawet działacie wspólnie, zwłaszcza że tak bardzo się starał sprowadzić cię z powrotem.

– Nie zorientowałeś się – wtrącił Bleys. – Brand próbował trzymać go jak najdalej. Dowiedział się, że wraca mu pamięć, i...

– Teraz wiem – odparł Caine. – Ale wtedy wyglądało to inaczej. Chciałem wpakować Corwina do lochu, żeby bez przeszkód poszukać Branda. Przycisnąłem się i słuchałem wszystkich rozmów prowadzonych przez Atuty. Miałem nadzieję na jakąś wskazówkę co do kryjówki Branda.

– O to chodziło tacie – mruknąłem

– O co? – nie rozumiał Caine.

– Sugerował, że ktoś podsłuchuje przez Atuty.

– Nie mam pojęcia, skąd mógłby wiedzieć. Nauczyłem się absolutnej pasywności. Rozkładałem je wszystkie i dotykałem lekko wszystkich naraz. Czekałem na jakieś drgnienie. Gdy następowało, skupiałem uwagę na rozmawiających. Dobierając się do was pojedynczo, potrafiłem czasem dotrzeć do waszych myśli, nawet kiedy nie używaliście Atutów. Pod warunkiem, że byliście dostatecznie zajęci, a ja nie pozwalałem sobie na żadną reakcję.

– A jednak wiedział.

– To zupełnie możliwe. Nawet prawdopodobne – stwierdziła Fiona. Bleys przytaknął.

Random podszedł bliżej.

– Co miałeś na myśli, pytając o ranę Corwina? – zapytał. – Nie mogłeś o tym wiedzieć. Chyba że...

Caine skinął tylko głową. Obserwowałem Benedykta i Juliana, którzy wydawali rozkazy żołnierzom, ale zapomniałem o nich po niemej odpowiedzi Caine'a.

– Ty? – wychrypiałem. – Ty mnie pchnąłeś?

– Napij się, Corwinie. – Random podał mi swoją manierkę. Miał w niej rozcieńczone wino. Pociągnąłem solidnie. Dręczyło mnie straszne pragnienie, ale przerwałem po kilku łykach.

– Opowiedz o tym – rzuciłem.

– Dobrze. Jestem ci to winien – zgodził się. – Dowiedziałem się z myśli Juliana, że sprowadziłeś Branda z powrotem do Amberu. Uznałem, że słusznie się domyślałem, iż ty i Brand jesteście współnikami. To oznaczało, że trzeba was obu usunąć. Nocą wykorzystałem Wzorzec, by przenieść się do twojej kwatery. Próbowałem cię zabić, ale byłeś zbyt szybki i zanim uderzyłem po raz drugi, zdążyłeś się jakoś wyatutować.

– Nie mogłeś się lepiej przyjrzeć? Potrafiłeś sięgnąć do naszych myśli, więc mogłeś zobaczyć, że nie jestem człowiekiem, którego szukasz.

Potrząsnął głową.

– Odbierałem tylko najbardziej powierzchowne myśli i reakcje na najbliższe otoczenie. A i to nie zawsze. Słyszałem też twoją klątwę, Corwinie. Zaczynała się spełniać. Widziałem to wszędzie dookoła. Uznałem, że dla bezpieczeństwa nas wszystkich należy usunąć ciebie i Branda. Po tym, co robił przed twoim powrotem, domyślałem się, do czego jest zdolny. Ale wtedy jeszcze nie mogłem go dostać z powodu Gerarda. Potem był coraz silniejszy. Podjąłem jedną próbę, ale bez skutku.

– Kiedy? – zdziwił się Random.

– To ten zamach, o który oskarżono Corwina. Byłem w przebraniu. Gdyby zdołał uciec, jak Corwin, nie chciałem, by wiedział, że jeszcze żyję. Przeszedłem Wzorzec, przeniosłem się do jego pokoju i próbowałem go zabić. Obaj zostaliśmy ranni, przelaliśmy sporo krwi, ale jakoś się

wyaututował. Później skontaktowałem się z Julianem i wraz z nim ruszyłem na tę bitwę. Brand musiał się tu zjawić. Wziąłem kilka strzał o srebrnych grotach, bo byłem niemal pewien, że Brand nie jest już taki jak my wszyscy. Chciałem zabić go szybko i z daleka. Trenowałem łucznictwo. Przybyłem, by go odszukać, i w końcu znalazłem. Teraz wszyscy mnie przekonują, że myliłem się co do ciebie. Czyli twoja strzała chyba się zmarnuje.

– Wielkie dzięki.

– Może nawet powinienem cię przeprosić.

– Byłoby miło.

– Z drugiej strony, byłem przekonany, że postępuję słusznie. Robiłem to, by ratować pozostałych...

Nie doczekałem się przeprosin Caine'a, ponieważ właśnie w tej chwili rozległ się głos trąb, który zdawał się wstrząsać całym światem: bezkierunkowy, głośny, przeciągły. Rozejrzeliśmy się, szukając Źródła dźwięku. Caine wstał i wyciągnął rękę.

– Tam! – zawołał.

Podążyłem wzrokiem za jego gestem. Zasłona burzy rozstała się na północnym zachodzie, w miejscu, gdzie przebiegała ją czarna droga. Pojawił się widmowy jeździec na czarnym koniu. Zadał w róg. Chwila minęła, zanim dotarła do nas muzyka. Potem dołączyło do niego jeszcze dwóch trębaczy – też bladych, też na czarnych wierzchowcach. Unieśli rogi i włączyli się do fanfary.

– Co to może być? – zdziwił się Random.

– Chyba wiem – mruknął Bleys, a Fiona kiwnęła głową.

– Więc co? – spytałem.

Nie odpowiedzieli. jeźdźcy ruszyli czarną drogą, a za nimi wciąż pojawiali się następni.

Rozdział 12

Patrzyłem. Wszędzie panowała wielka cisza. Wszyscy żołnierze zatrzymali się, by przyglądać się procesji. Nawet jeńcy z Dworców pod strażą w tamtą stronę kierowali swe spojrzenia.

Za widmowymi heroldami jechała masa jeźdźców na białych koniach. Nieśli proporce, z których nie wszystkie potrafiłem rozpoznać. Przewodził im człekopodobny stwór ze sztandarem Jednorozca Amberu. Za nimi szli znowu muzykanci; niektórzy grali na instrumentach, jakich jeszcze nigdy nie widziałem.

Za muzykantami szły rogate człekokształtne istoty w lekkich zbrojach: długie kolumny, a co dwudziesty mniej więcej trzymał wysoko nad głową płonąca pochodnię. Wtedy usłyszeliśmy potężny głos, powolny, rytmiczny, rozbrzmiewający niżej niż dźwięki muzyki.

Zrozumiałem, że to śpiewają piechurzy. Wiele czasu upłynęło, a ta armia wciąż maszerowała czarną drogą. Nikt z nas nie poruszył się ani nie odezwał. Szli z pochodniami, proporcami, muzyką i śpiewem, aż dotarli na skraj otchłani i maszerowali dalej po prawie niewidzialnym przedłużeniu mrocznego traktu. Pochodnie lśniły wśród czerni i rozświetlały im drogę. Muzyka zabrzmiała głośniejsz mimo odległości, i coraz więcej głosów włączało się do chóru, gdy nowe szeregi wyłaniały się ciągle zza rozbłyskującej zasłony burzy. Z rzadka huczał przeciągle grom, ale nie zagłuszał pieśni. Wiatry dmuchające na pochodnie nie zdołały zgasić żadnej z nich; przynajmniej ja tego nie zauważyłem. Ruch wywierał hipnotyczny efekt. Zdawało mi się, że patrzę na tę procesję od niezliczonych dni, może lat, i słucham melodii, którą teraz już poznałem.

Nagle przed front nawałnicy wyleciał smok, i następny, i jeszcze jeden. Zielone, złote i czarne jak stare żelazo; patrzyłem, jak szybują wśród wichury, jak odwracają głowy, znacząc swój lot ognistymi wstęgami. Za nimi jaśniały błyskawice, a smoki były przerażające, wspaniałe, trudno ocenić, jak ogromne. Dołem szło niewielkie stadko białych krów, potrząsających głowami, ryczących, tupiących kopytami. Jeźdźcy mijali je z boków i przejeżdżali między nimi, trzaskając długimi batami.

Następnie maszerowała kolumna prawdziwie potwornych żołnierzy z cienia, z którym Amber prowadził czasem handel – ciężkich, okrytych łuską, zbrojnych w szpony. Grali na instrumentach podobnych do kobz, a ich ostre nuty dobiegały aż tutaj, wibrujące i patetyczne.

Ci przeszli, a za nimi pojawili się nowi z pochodniami i kolejni żołnierze pod sztandarami z cieni bliskich i dalekich. Patrzyliśmy, jak nas mijają, jak kroczą rojącą się ścieżką ku odległemu niebu, niby chmura wędrownych świetlików kierując się ku czarnej cytadeli zwanej Dworcami Chaosu.

Przemarsz zdawał się nie mieć końca. Straciłem poczucie czasu. Ale, co dziwne, front burzy nie przesuwał się, póki trwał ten pochód. Pochłonięty obserwacją, straciłem nawet częściowo świadomość własnej osoby.

Wiedziałem, że takie wydarzenie już się nie powtórzy.

Jaskrawe, latające stwory przemykały nad kolumnami, a te ciemne unosiły się wyżej.

Byli widmowi dobosze, istoty z czystego światła i stado latających maszyn; widziałem jeźdźców całych w czerni, dosiadających najrozmaitszych bestii; na niebie, niby element pokazu sztucznych ogni, zawisł przez chwilę wyvern. I te dźwięki: tętent kopyt, odgłos kroków, śpiew, pisk, bębny i fanfary łączyły się w potężną, zalewającą nas falę. I dalej, dalej, dalej po moście nad ciemnością kroczyła procesja, a jej światła sięgały daleko.

Potem, kiedy spoglądałem wzdłuż szeregów, spod lśniącej kurtyny wynurzył się inny kształt. Był to powóz obity kirem, ciągnięty przez zaprzęg czarnych koni. W każdym z czterech rogów sterczała

laska płonąca błękitnym płomieniem, spoczywał zaś na nim przedmiot, który mógł być jedynie trumną, pokrytą naszym sztandarem Jednorożca. Powoził garbus w stroju barwy purpury i pomarańczy. Nawet z tej odległości poznałem w nim Dworkina.

Więc to jest to, pomyślałem. Nie wiem dlaczego, ale to chyba odpowiednie, że zmierzasz teraz do Starego Kraju. Wiele jest rzeczy, które mogłem ci powiedzieć, póki żyłeś. Niektóre powiedziałem, ale niewiele padło właściwych słów. Teraz wszystko skończone, gdyż jesteś martwy. Tak martwy, jak wszyscy, którzy przed tobą odeszli do tego miejsca, gdzie i my wkrótce może podążymy. Przykro mi. Dopiero po tylu latach, kiedy przyjąłeś inną twarz i postać, poznałem cię w końcu, nauczyłem szanować i może nawet polubiłem... choć w tamtej postaci też byłeś chytrym draniem. Czy Ganelon był prawdziwym tobą, czy tylko kolejną rolą, którą zagrałeś dla własnej wygody, Stary Komediante? Nigdy się nie dowiem, ale chcę wierzyć, że w końcu zobaczyłem cię takim, jakim byłeś naprawdę, że spotkałem kogoś, kogo lubiłem, komu mogłem zaufać; i że to byłeś ty. Chciałbym poznać cię lepiej, ale jestem wdzięczny nawet za to...

– Tato...? – spytał cicho Julian.

– Chciał, kiedy jego chwila nadejdzie, by zabrać go poza Dworce Chaosu, w ostateczną ciemność – wyjaśnił Bleys. – Powiedział mi to kiedyś Dworkin. Poza Chaos i Amber, gdzie nie sięga niczyja władza.

– I tak się stało – dodała Fiona. – Ale czy istnieje porządek gdzieś poza tą kurtyną, przez którą przechodzą? Czy tylko wiecznie trwa burza? Jeśli zwyciężył, to jest to tylko przelotne zawirowanie i nic nam nie grozi. Ale jeśli nie...

– To bez znaczenia – wtrąciłem. – Nieważne, czy mu się udało, czy nie. Mnie się udało.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Sądzę, że tato przegrał. Że został zniszczony, zanim zdołał naprawić stary Wzorzec. Kiedy zobaczyłem tę nawałnicę, a nawet częściowo jej doświadczyłem, zrozumiałem, że nie zdołam dotrzeć tu na czas z Klejnotem, który mi przesłał po zakończeniu próby. Przez całą drogę Brand próbował mi go odebrać, aby stworzyć nowy Wzorzec, jak mówił. To nasunęło mi pewien pomysł. Gdy zobaczyłem, że wszystko się rozpada, użyłem Klejnotu dla nakreślenia Wzorca. To najtrudniejsza rzecz, jakiej dokonałem w życiu... Ale udało się. Kiedy przeminie ta fala, wszechświat powinien się utrzymać... niezależnie od tego, czy my przeżyjemy. Brand ukradł mi Klejnot, kiedy skończyłem. Jak tylko doszedłem do siebie, wykorzystałem nowy Wzorzec, żeby przeniósł mnie tutaj. Zatem, cokolwiek by się stało, wciąż istnieje Wzorzec.

– Ale, Corwinie – powiedziała. – A jeśli tato odniósł sukces?

– Nie mam pojęcia.

– O ile wiem – wtrącił Bleys – na podstawie tego, co mówił Dworkin, dwa różne Wzorce nie mogą istnieć w tym samym wszechświecie. Te w Rebmie i w Tir-na Nog'th się nie liczą, gdyż są tylko odbiciami naszego...

– Co się stanie? – spytałem.

– Sądzę, że nastąpi rozszczepienie, że gdzieś powstanie nowa egzystencja...

– A jak podziała to na naszą?

– Efektem będzie albo totalna katastrofa, albo w ogóle nic – stwierdziła Fiona. – Mogę przytoczyć argumenty za każdym z tych rozwiązań.

– Czyli wracamy do punktu wyjścia – podsumowałem. – Albo wkrótce wszystko się rozpadnie, albo jakoś utrzyma.

– Na to wychodzi – przytaknął Bleys.

– To nieważne, jeśli nas już nie będzie, gdy dotrze tu fala – mruknąłem. – A dotrze.

Znowu spojrziałem na kondukt pogrzebowy. Za powozem podążali kolejni jeźdźcy, a za nimi piesi dobosze. Potem proporce, pochodnie i długa kolumna piechurów. Wciąż rozlegał się śpiew i zdawało się, że daleko, daleko stąd procesja dotarła wreszcie do cytadeli mroku.

Nienawidziłem cię tak długo, obwiniałem o tyle spraw. Teraz wszystko dobiegło końca i żadne z tych uczuć nie przetrwało. Ty za to chciałeś, bym został królem. Teraz widzę, że nie nadaję się na to stanowisko. Widzę też, że musiałem jednak coś dla ciebie znaczyć. Nikomu o tym nie powiem. Wystarczy, że wiem sam. Ale nigdy już nie pomyślę o tobie w taki sam sposób. Już teraz twój obraz zachodzi mgłą. Zamiast twojej, widzę twarz Ganelona.

Nadstawił dla mnie karku. Był tobą, ale tobą innym, tobą, którego nie znałem. Ile pochowałeś żon i ilu wrogów? Czy wielu było przyjaciół? Chyba nie. Ale tyle skrywałeś sekretów, o których nie mieliśmy pojęcia. Nigdy nie sądziłem, że będę patrzył, jak odchodzisz. Ganelonie – ojcze – stary przyjacielu i wrogu, przesyłam ci pożegnanie. Spotkasz się z Deirdre, którą kochałem. Zachowałeś swe tajemnice. Spoczywaj w spokoju, jeśli taka jest twoja wola. Daję ci tę zwiędłą różę, którą niosłem przez piekło. Rzucam ją w otchłań. Pozostawiam ci różę te zmieszane kolory na niebie. Będę za tobą tęsknił...

Wreszcie kolumna się skończyła. Ostatni żałobnicy wynurzyli się spod kurtyny i odeszli. Wciąż płonęły błyskawice, lał deszcz i huczały gromy. Jednak żaden z uczestników procesji nie był mokry. Stałem na skraju otchłani i patrzyłem, jak przechodzą. Czyjaś dłoń spoczywała na moim ramieniu; nie wiem, od jak dawna.

Teraz, kiedy przeszedł kondukt, zauważyłem, że znowu zbliża się front nawałnicy.

Rotacja nieba znowu sprowadzała na nas ciemność.

Z lewej strony słyszałem jakieś głosy. Miałem wrażenie, że rozbrzmiewają już dość długo, choć nie rozróżniałem słów. Zdałem sobie sprawę, że drzę cały, że jestem obolały i że ledwo stoję.

– Chodź, połóż się – zaproponowała Fiona. – Jak na jeden dzień, rodzina zmniejszyła się już wystarczająco.

Pozwoliłem, by odprowadziła mnie dalej od krawędzi.

– Właściwie co za różnica? – mruknąłem. – Ile jeszcze czasu nam zostało?

– Nie musimy tu stać i czekać – odparła. – Przejdziemy czarnym mostem do Dworców. Przełamaliśmy już ich obronę. Burza może tam nie sięgnąć. Może zatrzyma ją otchłań. Zresztą, i tak powinniśmy odprowadzić tatę.

Kiwnąłem głową.

– Nie mamy chyba wielkiego wyboru. Do końca musimy pozostać kochającymi dziećmi.

Opadłem na ziemię i westchnąłem. Jeśli już, to czułem się jeszcze słabszy niż, poprzednio.

– Twoje buty... – powiedziała.

– Tak.

Ściągnęła mi je. Moje stopy pulsowały bólem.

– Dzięki.

– Przyniosę ci coś do jedzenia.

Przymknąłem oczy. Zdrzemnąłem się. Zbyt wiele obrazów wirowało mi w głowie, by stworzyć spójny sen. Nie wiem, jak długo spałem, ale dawnym odruchem wiedziony obudziłem się, gdy dobiegł głos końskich kopyt. Potem jakiś cień przesunął mi się po powiekach.

Otworzyłem oczy. Nade mną stał opatulony jeździec, milczący i nieruchomy. Przyglądał mi się.

Spojrziałem mu w twarz. Nie zrobił żadnego groźnego gestu, lecz w tym jego zimnym spojrzeniu wyczułem niechęć.

– Oto spoczywa bohater – odezwał się cichy głos.

Milczałem.

– Z łatwością mogłabym cię zabić.

Rozpoznałem głos, choć nie miałem pojęcia, skąd bierze się ta wrogość.

– Spotkałam Borela, nim umarł. Opowiedział mi, jak zdradzieckim sposobem go zwyciężyłeś.

Nie mogłem tego powstrzymać, nie mogłem się opanować. Suchy chichot wzbierał mi w krtani. Akurat to, że wszystkich głupich rzeczy, o które można się rozgniewać... Mogłem jej powiedzieć, że Borel był o wiele lepiej wyposażony i wypoczęty, i że ruszył na mnie, szukając walki. Mogłem powiedzieć, że nie uznaję reguł, gdy chodzi o moje życie, albo że nie uważam wojny za grę. Mogłem powiedzieć jeszcze wiele rzeczy, ale jeśli do tej pory o nich nie wiedziała czy wołała nie rozumieć, to i tak nie zrobiłyby na niej wrażenia. Zresztą, jej uczucia były aż nadto wyraźne. Dlatego zdecydowałem się na jedną z wielkich i banalnych prawd:

– Jest wiele punktów widzenia na każdą sprawę.

– Pozostanę przy jednym.

Myślałem, czy nie wrzucić ramionami, ale były zbyt obolałe.

– Kosztowałeś mnie dwie najważniejsze osoby w moim życiu – oświadczyła.

– Naprawdę? Bardzo mi przykro.

– Nie jesteś taki, za jakiego cię uważałam. Widziałam w tobie prawdziwie szlachetną postać: silny, ale pełen zrozumienia i czasem delikatny. Honorowy...

Burza, o wiele już bliższa, szalała za jej plecami.

Pomyślałem o czymś wulgarnym i powiedziałem to. Nie zwróciła uwagi, jakby w ogóle mnie nie słyszała.

– Odchodzę teraz – rzekła. – Wracam do mojego ludu. Na razie zwyciężyliście... ale tam leży Amber. – Skinęła w stronę nawałnicy. Mogłem tylko patrzeć. Nie na żywo. Na nią. – Nie sądzę, by pozostały mi jeszcze jakieś zobowiązania, które powinnam zerwać – mówiła dalej.

– A Benedykt? – spytałem cicho.

– Nie waż się... – Odwróciła się plecami. Milczała chwilę. – Nie sądzę, byśmy jeszcze kiedyś się spotkali – oświadczyła, a koń poniósł ją w kierunku czarnej drogi.

Cynik pomyślałby pewnie, że wołała przyłączyć się do strony, którą uznała za zwycięską, gdyż Dworce Chaosu zapewne przetrwają. Ja nie byłem tego pewien. Myślałem tylko o tym, co zobaczyłem, gdy skinęła ręką. Kaptur zsunął jej się wtedy i przez chwilę widziałem, czym się stała. To nie ludzka twarz kryła się w cieniu. Mimo to odprowadzałem ją wzrokiem, póki nie zniknęła. Po śmierci Deirdre, Branda i taty, a teraz po rozstaniu z Darą w gniewie, świat był bardziej pusty... cokolwiek miało z niego pozostać.

Położyłem się i westchnąłem. Może po prostu czekać tutaj, gdy inni odjadą, czekać, aż przetoczy się burza. I spać... rozpuścić się? Wspomniałem Hugiego. Czyżbym przetrwał nie tylko jego ciało, ale także chęć ucieczki od życia? Byłem tak zmęczony, że wydało mi się to najprostszym rozwiązaniem...

– Masz, Corwinie.

Zasnąłem znowu, choć tylko na moment. Fiona stała przy mnie z prowiantem i manierką. Ktoś z nią przyszedł.

– Nie chciałam przeszkadzać w rozmowie – wyjaśniła. – Dlatego czekałam.

– Słyszałaś?

– Nie, ale mogę się domyślić. Skoro odeszła... Trzymaj.

Przełknąłem trochę wina, potem zająłem się chlebem i mięsem. Mimo stanu moich uczuć, smakowały całkiem nieźle.

– Wkrótce ruszamy – oznajmiła, spoglądając na szalejącą nawałnicę. – Możesz dosiąść konia?

– Chyba tak.

Wypiłem jeszcze łyk wina.

– Ale zbyt wiele się wydarzyło, Fi – powiedziałem. – Jestem emocjonalnie martwy. Uciekłem z domu wariatów w świecie Cienia. Oszukiwałem ludzi i zabijałem ich. Spiskowałem i walczyłem. Odzyskałem pamięć i próbowałem wyprowadzić swoje życie na prostą. Znalazłem rodzinę i przekonałem się, że ją kocham. Pogodziłem się z tatą. Walczyłem za królestwo. Próbowałem wszystkiego, żeby jakoś to razem powiązać. A teraz okazuje się, że to na nic. I nie mam już chęci, by nadal rozpaczać. Odrętwiałem. Wybacz.

Pocałowała mnie.

– Nie jesteśmy jeszcze pokonani. Znowu będziesz sobą – zapewniła mnie.

Pokręciłem głową.

– To jak ostatni rozdział "Alicji" – stwierdziłem. – Mam uczucie, że jeśli krzyknę "Jesteście tylko talią kart!", wszyscy rozsypiemy się w powietrzu jak stos malowanych kartoników. Nie jadę z wami. Zostawcie mnie tutaj. I tak byłem tylko dzokerem.

– W tej chwili jestem silniejsza od ciebie – oświadczyła. – Jedziesz.

– To nieuczciwe – szepnąłem.

– Skończ jeść. Mamy jeszcze trochę czasu.

A kiedy zająłem się jedzeniem, ona mówiła dalej:

– Twój syn, Merlin czeka na spotkanie. Chciałabym wezwać go teraz.

– Jeniec?

– Niezupełnie. Nie brał udziału w bitwie. Przyjechał po prostu jakiś czas temu i chce się z tobą zobaczyć.

Kiwnąłem głową, a ona odeszła. Zostawiłem jedzenie i łyknąłem wina. Chyba zaczynałem się denerwować. Co człowiek może powiedzieć dorosłemu synowi, o którego istnieniu dowiedział się całkiem niedawno? Zastanawiałem się, co czuje wobec mnie. Czy wie o decyzji Dary? Jak powinienem się zachować?

Patrzyłem, jak nadchodzi z lewej strony, gdzie w sporej odległości zebrało się moje rodzeństwo. Zastanawiałem się wcześniej, dlaczego zostawili mnie samego. Im więcej przybywało gości, tym bardziej oczywista była odpowiedź. Ciekawe, czy z mojego powodu wstrzymywali odwrót. Wilgotne wichry burzy dmuchały coraz mocniej.

Przyglądał mi się nadchodząc, bez żadnego szczególnego wyrazu twarzy, tak podobnej do mojej. Myślałem, co czuła Dara, gdy jej prorocтво zniszczenia Amberu było już bliskie spełnienia. Myślałem, jak układają się jej stosunki z chłopcem. Myślałem... o wielu sprawach.

Pochylił się, by chwycić mnie za rękę.

– Ojcie... – powiedział.

– Merlin. – Spojrzałem mu w oczy. Podniosłem się, wciąż trzymając jego dłoń.

– Nie wstawaj.

– Nic mi nie będzie. – Przycisnąłem go, potem puściłem. – Cieszę się – powiedziałem. I jeszcze: – Napij się ze mną.

Podąłem mu wino, po części, by ukryć, że brak mi słów.

– Dziękuję.

Wypił trochę i oddał mi manierkę.

– Twoje zdrowie. – Pociągnąłem łyk. – Wybacz, że nie proponuję ci krzesła.

Usiadłem na ziemi. On zrobił to samo.

– Nikt właściwie nie wie, co robiłeś – oświadczył. – Oprócz Fiony, która powiedziała tylko, że było to bardzo trudne.

– Nieważne. Cieszę się, że doszedłem aż tutaj, choćby tylko z powodu naszego spotkania. Opowiedz mi o sobie, synu. Jaki jesteś? Jak potraktowało cię życie?

Odwrocił głowę.

– Za krótko żyłem, by wiele dokonać.

Byłem ciekaw, czy dysponuje umiejętnością zmiany kształtu, ale na razie wolałem nie pytać. Przecież dopiero go poznałem; nie warto szukać różnic.

– Nie mam pojęcia, jak to jest – mruknąłem – wychowywać się w Dworcach.

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

– A ja nie mam pojęcia, jak to jest gdzie indziej. Byłem dostatecznie inny, by pozostawiano mnie samemu sobie. Uczono mnie zwykłych rzeczy, które powinien znać dżentelmen: czary, broń, trucizny, jeździectwo, tańce... Powiedziano, że pewnego dnia będę władał w Amberze. To już się chyba nie spełni.

– Mało prawdopodobne w przewidywalnej przyszłości – zgodziłem się.

– To dobrze – stwierdził. – To jedna z rzeczy, którą nie chciałbym się zajmować.

– A czym byś chciał?

– Chcę przejść Wzorzec w Amberze, jak mama, zdobyć władzę nad Cieniem, bym mógł w nim wędrować, oglądać dziwne krainy, dokonywać niezwykłych czynów. Sądzisz, że to możliwe?

Napiłem się i oddałem mu wino.

– Całkiem możliwe, że Amber już nie istnieje. Wszystko zależy od tego, czy twojemu dziadkowi udało się coś, co zamierzał. A nie ma go już i nie powie, co się zdarzyło. Jednak, tak czy inaczej, wciąż istnieje Wzorzec. Jeśli przeżyjemy tę piekielną burzę, obiecuję, że doprowadzę cię do niego, udzielimy instrukcji i dopilnuję, żebyś go przeszedł.

– Dzięki. Opowiesz mi o swojej podróży tutaj?

– Później – obiecałem. – Co ci mówili na mój temat?

Odwrocił wzrok.

– Uczono mnie potępiać wiele z tego, co zachodzi w Amberze – rzekł po chwili. – Ciebie miałem szanować jako ojca, pamiętając jednak, że stoisz po stronie wroga. – Znów umilkł. – Pamiętam wtedy, na patrolu, kiedy tu przybyłeś, a ja znalazłem cię zaraz po twojej walce z Kwanem... Żywiłem wtedy mieszane uczucia. Właśnie zabiłeś kogoś, kogo znałem, a jednak... musiałem podziwiać twoją postawę. W twojej twarzy dostrzegłem własną. To było dziwne. Chciałem poznać cię lepiej.

Niebo zatoczyło pełny krąg. Ciemność znalazła się nad nami, a kolory płynęły nad Chaosem. Tym wyraźniejszy był stały postęp rozbłyskującego frontu nawałnicy. Pochyliłem się, sięgnąłem po buty i zacząłem je wkładać. Wkrótce trzeba będzie rozpocząć odwrót.

– Musimy dokończyć tę rozmowę na twoim terenie – oświadczyłem. – Pora już uciekać przed burzą.

Odwrocił się, przez chwilę obserwował żywioly, potem spojrzał ponad otchłanią.

– Jeśli chcesz, mogę wezwać smugę.

– Jeden z tych dryfujących mostów? Jak ten, po którym jechałeś w dniu naszego spotkania?

– Tak – potwierdził. – Są bardzo wygodne i...

Jakiś krzyk rozległ się od strony moich krewniaków. Poprzednio nic im nie groziło, więc wstałem spokojnie i przeszedłem kilka kroków w ich kierunku. Merlin ruszył za mną.

Wtedy go zobaczyłem. Biały kształt, jakby biegnący przez powietrze i unoszący się z otchłani. Przednie kopyta dotknęły krawędzi, potem dał susa i stanął nieruchomo, obserwując wszystkich: nasz

Jednorožec.

Rozdział 13

Na chwilę spłynęło ze mnie zmęczenie i ból. Patrzyłem na delikatną, białą sylwetkę i czułem musnięcie czegoś na kształt nadziei. Drobną częścią umysłu pragnąłem podbiec, lecz coś o wiele potężniejszego trzymało mnie w bezruchu i oczekiwaniu.

Nie wiem, jak długo tak staliśmy. Poniżej, na zboczach, żołnierze szykowali się do odwrotu. Wiązano jeńców, pakowano juki, ładowano sprzęt. Lecz cała ta wielka armia, w trakcie przygotowań do przemarszu, zatrzymała się nagle. To nie było naturalne, że tak szybko dostrzegli, co się dzieje, ale każda twarz, jaką widziałem, zwracała się ku nam, ku Jednorożcowi na krawędzi, wyraźnie widocznemu na tle oszalałego nieba.

Spostrzegłem, że nagle ucichł wiatr dmuchający mi w plecy, choć wciąż huczały gromy, a błyskawice ciskały migotliwe cienie. Wspomniałem inne spotkanie z Jednorożcem, kiedy jechaliśmy po ciało cienia Caine'a, tego dnia, gdy przegrałem starcie z Gerardem. Pomyślałem o historiach, które mi opowiadano... Czy naprawdę potrafi nam pomóc?

Jednorożec postąpił o krok i zatrzymał się. Był tak cudowny, że sam jego widok dodał mi odwagi. Ale było to bolesne uczucie: takie piękno można przyjmować tylko w małych dawkach. W jakiś sposób dostrzegałem nadnaturalną inteligencję ukrytą w śnieżnobiałej głowie. Pragnąłem go dotknąć, ale wiedziałem, że nie mogę.

Rozejrzał się. Zwrócił spojrzenie w moją stronę i gdybym tylko potrafił, odwróciłbym wzrok. To jednak nie było możliwe, więc patrzyłem w te oczy, w których czytałem zrozumienie nieskończenie głębsze niż moje.

Było tak, jakby wiedział o mnie wszystko, jakby w tej właśnie chwili ocenił próby, które przeszedłem., zobaczył, zrozumiał, może współczuł. Przez chwilę miałem wrażenie, że widzę żal, miłość... i może odrobinę rozbawienia.

Potem odwrócił głowę i kontakt został zerwany.

Westchnąłem mimowolnie. I właśnie wtedy dostrzegłem w świetle błyskawicy, że coś lśni z boku jego szyi. Zrobił kolejny krok i teraz patrzył na gromadę mojego rodzeństwa. Opuścił głowę i zarżał cichutko. Stuknął o ziemię prawym przednim kopytem.

Wyczułem, że Merlin stanął obok mnie. Pomyślałem, co bym stracił, gdyby wszystko skończyło się tutaj.

Jednorożec wykonał kilka tanecznych kroków. Potrząsnął głową i opuścił ją. Miałem wrażenie, że nie podoba mu się pomysł zbliżenia do tak dużej grupy ludzi. Po kolejnym kroku raz jeszcze dostrzegłem migotanie. I nie tylko. Czerwona iskra błyszczała poprzez futro na szyi: nosił Klejnot Wszechmocy. Nie wiedziałem, jak go odzyskał, ale to bez znaczenia. Jeśli tylko odda kamień, byłem pewien, że zdołam przełamać burzę... a przynajmniej osłonić to miejsce i nas, dopóki nie minie. Ale jedno spojrzenie było wszystkim, na co mogłem liczyć. Nie zwracał już na mnie uwagi. Wolno, ostrożnie, gotów do ucieczki przy najmniejszym zagrożeniu, zbliżył się do miejsca, gdzie stali Julian, Random, Bleys, Fiona, Llewella, Benedykt i kilkoro szlachty.

Powiniennem już wtedy zdać sobie sprawę, co się dzieje, ale nic nie rozumiałem. Po prostu obserwowałem ruchy smukłego zwierzęcia, wchodzącego z wolna w sam środek grupy.

Znowu się zatrzymał, opuścił głowę, potrząsnął grzywą i opadł na przednie kolana. Klejnot Wszechmocy wisiał teraz na spiralnym, złotym rogu; jego końcem dotykał prawie osoby, przed którą klęczał.

Nagle oczyma wyobraźni zobaczyłem na niebie twarz i naszego ojca. Znów usłyszałem jego słowa: "Po mojej śmierci na was spadnie problem sukcesji... Nie mam wyjścia; muszę postawić tę sprawę na rogu Jednorożca".

W grupie rozległy się szepty. Zrozumiałem, że wszystkim przyszła do głowy ta sama myśl. Jednorożec nie drgnął nawet wobec tego poruszenia, lecz trwał niby miękka, biała statua, jakby przestał nawet oddychać.

Random powoli wyciągnął rękę i zdjął Klejnot. Usłyszałem jego cichy głos.

– Dzięki ci – powiedział.

Julian wydobył miecz, przyklęknął i złożył go u stóp Randoma. Potem Bleys i Benedykt, Caine, Fiona i Llewella. Dołączyłem do nich. A wraz ze mną mój syn.

Random milczał przez chwilę. Wreszcie odezwał się.

– Przyjmuję wasz hołd – oznajmił. – A teraz wstańcie wszyscy.

Jednorożec odwrócił się i ruszył biegiem. Przemknął po zboczach i w mgnieniu oka zniknął poza zasięgiem wzroku.

– Nigdy bym się nie spodziewał czegoś takiego – stwierdził Random, wciąż spoglądając na Klejnot. – Corwinie, czy możesz wziąć to ode mnie i powstrzymać nawałnicę?

– Teraz należy do ciebie – odparłem. – Nie wiem, jak daleko sięga zaburzenie. Nie wiem, czy w moim obecnym stanie potrafiłbym wytrwać tak długo, by zapewnić nam bezpieczeństwo. Sądzę, że musi to być twój pierwszy czyn jako króla.

– W takim razie musisz mi pokazać, jak to zrobić. Myślałem, że dla dostrojenia niezbędny jest Wzorzec.

– Chyba nie. Brand sugerował, że osoba już zestrojona może dostroić inną. Zastanawiałem się nad tym i chyba już wiem, jak tego dokonać. Przejdźmy na stronę.

– W porządku. Chodźmy.

Coś nowego pojawiło się w jego głosie, w postawie. Nieoczekiwana rola odmieniła go. Myślałem, jakim królem i królową stanie się on i Vialle. Zbyt wiele... Nie mogłem skupić myśli. Zbyt wiele się ostatnio wydarzyło. Nie potrafiłem zawrzeć w jednym planie myślowym wszystkich tych zdarzeń. Miałem ochotę wczłgać się w jakiś cichy kącik i przespać cały dzień. Zamiast tego, szedłem za nim do miejsca, gdzie wciąż żarzyło się niewielkie ognisko.

Spojrzał w ogień i dorzucił garść patyków. Potem usiadł i skinął mi głową. Podeszedłem i zająłem miejsce obok.

– Z tym całym panowaniem... – zaczął. – Corwinie, co ja zrobię? To spadło na mnie zupełnie nagle.

– Co zrobisz? Prawdopodobnie kawał dobrej roboty.

– Myślisz, że mieli żal?

– Jeśli nawet, to tego nie okazali. Jesteś dobrym kandydatem, Randomie. Tyle się ostatnio zdarzyło... Tato nas chronił, może nawet bardziej, niż powinien dla naszego dobra. Tron to nie żaden frykas. Czeka cię wiele ciężkiej pracy. Myślę, że inni też to zrozumieli.

– A ty?

– Ja pragnąłem go tylko dlatego, że pragnąłem Eryk. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale to prawda. Tron był sztonem w grze, którą rozgrywaliśmy przez całe lata. Właściwie, był zakończeniem wendetty. Zabiłbym, by go zdobyć. I teraz cieszę się, że Eryk znalazł inny sposób, by umrzeć. Więcej było w nas podobieństw niż różnic. Tego też nie zauważałem; dopiero potem. Ale po, jego śmierci wciąż wyszukiwałem powody, by nie brać korony. Wreszcie uświadomiłem sobie, że wcale nie chcę tronu. Nie. Bierz go na szczęście. Rządź mądrze, bracie. Jestem pewien, że potrafisz.

– Spróbuję, jeśli Amber nadal istnieje – powiedział po chwili. – A teraz zajmijmy się sprawą Klejnotu. Ta burza przesunęła się już nieprzyjemnie blisko.

Kiwnąłem głową i wziąłem od niego kamień. Uniosłem na łańcuchu tak, by świeciły przez niego płomienie. Błysnęło światło; wewnątrz wydawało się czyste.

– Przysuń się i patrz w Klejnot wraz ze mną – poleciłem.

Zrobił to; przez moment razem spoglądaliśmy w kryształ.

– Myśl o Wzorcu – powiedziałem i sam zacząłem o nim myśleć, próbując przywołać obraz jego pętli i zwojów, jego lśniących bladej linii.

Zdawało mi się, że dostrzegam skazę przy samym środku kamienia. Studiowałem ją, myśląc o skrętach, łukach, zasłonach.. Wyobraziłem sobie prąd, który przebiegał przeze mnie za każdym razem, kiedy próbowałem swych sił na tej skomplikowanej trasie.

Skaza kryształu stała się wyraźniejsza. Sięgnąłem ku niej swą wolą, przywołałem stan spełnienia i wyrazistości. Ogarnęło mnie znajome uczucie, takie samo jak wtedy, kiedy sam zestroiłem się z Klejnotem. Miałem tylko nadzieję, że pozostało mi dość sił, by powtórzyć to doświadczenie.

Chwyciłem Randoma za ramię.

– Co widzisz?

– Coś podobnego do Wzorca – powiedział. – Tylko jest trójwymiarowy i leży na dnie czerwonego morza.

– Zatem chodź ze mną – poleciłem. – Musimy tam dotrzeć.

Znowu wrażenie ruchu, z początku lot, potem upadek z rosnącą szybkością w stronę nigdy nie oglądanych dokładnie splotów Wzorca w Klejnocie. Nakazałem ruch naprzód. Wyczuwałem obecność mego brata, a otaczające nas rubinowe lśnienie pociemniało, przemienione w czerń czystego, nocnego nieba. Cudowny Worzec rósł z każdym dudniącym uderzeniem serca. Cały proces wydawał się chyba łatwiejszy niż poprzednio; może dlatego, że byłem już zestrojony.

Czując przy sobie Randoma, wciągałem go za sobą, a daleki, znajomy kształt rozrastał się coraz bardziej. Dostrzegłem już punkt początkowy. Popłynęliśmy ku niemu; raz jeszcze próbowałem ogarnąć absolut tego Wzorca i raz jeszcze zagubiłem się w jego ponad wymiarowych zwojach. Łuki, spirale i splątane z pozoru linie owijały się wokół nas. Ponownie ogarnął mnie znany z poprzedniej wizyty zachwyty. I byłem świadom, że Random odczuwa to samo.

Przesunęliśmy się do fragmentu, gdzie był początek, i zostaliśmy wessani. Otaczała nas przebijana iskrami migotliwa jasność; wplataliśmy się w świetlną matrycę. Tym razem droga pochłonęła mnie całkowicie, a Paryż wydawał się bardzo daleki...

Pamięć podświadomości przypominała mi o trudniejszych odcinkach. Wykorzystałem swe pragnienie – swą wolę, jeśli tak zechcesz, ją nazwać – by pomknąć oślepiającym szlakiem, beztrudnie czerpiąc od Randoma siłę dla przyspieszenia procesu.

Przypominało to wędrówkę po lśniącym wnętrzu ogromnej, przepięknie zwiniętej muszli. Nasze przejście było zupełnie bezgłośnie, a my sami byliśmy tylko bezcielesnymi punktami jaźni.

Prędkość rosła, a z nią psychiczny ból, którego nie pamiętałem z poprzedniego lotu. Może miał jakiś związek z wyczerpaniem albo z pragnieniem, by wszystko odbyło się jak najszybciej. Przebijaliśmy bariery; otaczały nas jednostajne, płynne ściany jasności. Czulem ogarniającą mnie słabość, oszołomienie. Lecz nie było mnie stać na luksus nieświadomości, nie mogłem też zwolnić, gdy burza dotarła już tak blisko. Znowu, choć niechętnie, zaczerpnąłem siłę od Randoma – tym razem po to, by utrzymać nas obu w grze.

Pomknęliśmy naprzód.

Nie doświadczyłem tego mrowienia, związanego z uczuciem, że coś zostaje stworzone. Jego brak

był z pewnością wynikiem mojego dostrojenia. Poprzednie przejście mogło zaowocować pewną odpornością.

Po beczasowym interwale odniosłem wrażenie, że Random słabnie. Być może stałem się zbyt wielkim ciężarem na jego siły. Nie wiedziałem, czy jeśli nadal będę się na nim wspierał, zostanie mi dość energii, by opanować nawałnicę. Postanowiłem nie czerpać już z jego rezerw. Zaszliśmy dostatecznie daleko. Na pewno potrafi podążać dalej beze mnie. Będę się trzymał, jak długo potrafię. Lepiej, żebym zginął tu sam, niż mielibyśmy zginąć obaj.

Płynęliśmy dalej; zmysły buntowały się, coraz częściej powracał zawrót głowy. Usuwając z umysłu wszelkie nieistotne kwestie, całą siłę woli skoncentrowałem na ruchu. Byliśmy już chyba blisko końca. I wtedy nadpłynął mrok, który nie był częścią procesu. Stłumiłem panikę.

Nic z tego. Czuję, że się zapadam. Tak blisko! Byłem pewien, że prawie skończyliśmy. Łatwo byłoby...

Wszystko odpłynęło. Ostatnim uczuciem była świadomość troski Randoma.

Pod stopami coś migotało pomarańczowo i czerwono.

Czyżbym tkwił w pułapce jakiegoś astralnego piekła?

Patrzyłem w skupieniu, a umysł oczyszczał się z wolna. Ciemność otaczała światło i...

Słyszałem jakieś głosy. Znajome...

Widziałem wyraźniej. Leżałem na plecach, zwrócony stopami w stronę ogniska.

– Już dobrze, Corwinie. Wszystko w porządku.

To Fiona przemówiła. Obejrzałem się. Siedziała na ziemi powyżej mnie.

– Random...? – wykrztusiłem.

– Jemu też nic nie jest.., ojczy.

Merlin zajął miejsce bardziej na prawo.

– Co się stało?

– Random cię wyprowadził – odparła Fiona.

– Czy dostrojenie się powiodło?

– Uważa, że tak.

Usiadłem z trudem. Próbowwała mi przeszkodzić, ale usiadłem i tak.

– Gdzie on jest?

Wskazała wzrokiem.

Random stał odwrócony plecami, jakieś trzydzieści metrów od nas, na skalnej półce, twarzą w stronę burzy. Była już bardzo blisko; wicher szarpał mu płaszcz. Błyskawice krzyżowały się przed nim, a grzmot nie cichł ani na chwilę.

– Jak długo... jak długo tam stoi?

– Dopiero parę minut – odparła Fiona.

– Tyle czasu minęło... od naszego powrotu?

– Nie. Długo byłeś nieprzytomny. Random najpierw porozmawiał z innymi, potem nakazał odwrót wojsk. Benedykt zabrał wszystkich na czarną drogę. Przechodzą do Dworców.

Spojrzałem tam. Na czarnej drodze trwał ruch: mroczna kolumna zmierzała w stronę cytadeli. Pomiędzy nami dryfowały pasma babiego lata; po drugiej stronie, wokół czarnego masywu, płonęły gromady iskiei. Niebo nad nami zatoczyło pełny krąg i znaleźliśmy się pod ciemną połową. Znowu doznałem dziwnego wrażenia, że byłem tu kiedyś, bardzo dawno temu, by się przekonać, że nie Amber, a to właśnie miejsce jest prawdziwym ośrodkiem stworzenia. Próbowiałem pochwycić widmo wspomnień...

Zniknęło.

Rozejrzałem się w przecinanym błyskawicami półmroku.

– Wszyscy oni... odeszli? – zwróciłem się do niej. – Ty, ja, Merlin i Random... nikt więcej nie został?

– Nikt – rzekła Fiona. – Czy chcesz ruszyć za nimi?

Pokręciłem głową.

– Zostaję tutaj, z Randomem.

– Wiedziałam, że tak powiesz.

Wstałem, gdy się podniosła. Merlin także. Biały rumak podbiegł, gdy klasnęła w dłonie.

– Nie potrzebujesz już mojej opieki – stwierdziła. – Pojadę więc i dołączę do reszty w Dworcach Chaosu. Wasze konie czekają spętane przy tamtych skałach. – Skinęła ręką. – Jedziesz, Merlinie?

– Zostanę z moim ojcem. I z królem.

– Jak chcesz. Mam nadzieję, że wkrótce znów cię zobaczę.

– Dzięki, Fi – powiedziałem.

Pomogłem jej wsiąść na siodło i przez chwilę patrzyłem, jak odjeżdża.

Wróciłem do ogniska. Random stał nieruchomo, zmagając się z burzą.

– Jest mnóstwo wina i żywności – oznajmił Merlin. – Przynieść ci trochę?

– Niezły pomysł.

Burza przysunęła się tak blisko, że w ciągu kilku minut dotarłbym do niej na piechotę. Na razie trudno było ocenić, czy wysiłki Randoma dają jakiś efekt. Westchnąłem ciężko i zamyśliłem się. Koniec. Tak czy inaczej, moje rozpoczęte jeszcze w Greenwood trudy dobiegły końca. Nie muszę się mścić. Nie. Mamy nie naruszony Wzorzec, może nawet dwa. Przyczyna wszystkich naszych zmartwień, Brand, nie żyje. Wszelkie pozostałości mojej klątwy zostaną wymazane przez potężne konwulsje Cienia. A ja zrobiłem, co mogłem, by ją odwrócić. Odnalazłem przyjaciela w ojcu i przed śmiercią pogodziłem się z nim już w jego własnej osobie. Mieliśmy nowego króla, który wyraźnie otrzymał błogosławieństwo Jednorożca. Przysięgliśmy mu lojalność – moim zdaniem szczerze. Znów połączyłem się z rodziną. Czułem, że spełniłem swój obowiązek. Nic nie zmuszało mnie do działania. Skończyły mi się powody i byłem tak bliski spokoju, jak może nigdy w życiu. Wszystko było poza mną. Gdybym miał teraz umrzeć, to niech będzie. Nie protestowałbym tak głośno, jak w każdej innej chwili.

– Daleko odszedłeś, ojcze.

Z uśmiechem skinąłem głową. Wziąłem trochę jedzenia. Cały czas obserwowałem burzę. Jeszcze za wcześnie, by mieć pewność, ale chyba przestała się zbliżać. Byłem zbyt zmęczony, by zasnąć. Czy coś w tym rodzaju. Ból minął i ogarnęło mnie cudowne odrętwienie.

Byłem jak zanurzony w ciepłej wacie. Zdarzenia i reminiscencje nakręcały psychiczny zegar w głowie. Z przeróżnych względów było to rozkoszne uczucie. Skończyłem jedzenie, dołożyłem do ognia. Potem łyknąłem wina i patrzyłem na burzę, niby w oszronione okno, za którym wybuchają sztuczne ognie. Życie było piękne. Jeśli Randomowi uda się rozproszyć tę nawałnicę, jutro wyruszę do Dworców Chaosu. Nie wiem, co może mnie tam czekać. Może to gigantyczna pułapka.

Zasadzka. Sztuczka. Odsunąłem tę myśl. W tej chwili jakoś nie miało to znaczenia.

– Zacząłeś mi opowiadać o sobie, ojcze.

– Naprawdę? Nie pamiętam już, co mówiłem.

– Chciałbym lepiej cię poznać. Opowiedz więcej.

Westchnąłem i wzruszyłem ramionami.

– Więc o tym. – Skinął ręką. – Cały ten konflikt... Jak to się zaczęło? Jaka była twoja rola? Fiona mówiła, że przez wiele lat żyłeś w Cieniu pozbawiony pamięci. Jak ją odzyskałeś, jak znalazłeś

innych i wróciłeś do Amberu?

Zaśmiałem się. Raz jeszcze spojrzałem na Randoma i burzę. Wypiłem łyk wina i otuliłem się płaszczem.

– Czemu nie? – mruknąłem. – Jeśli masz ochotę na długie historie, oto jedna z nich... Przepuszczam, że najlepiej będzie zacząć od prywatnej kliniki w Greenwood, na cieniu-Ziemi mojego wygnania. Tak...

Rozdział 14

Opowiadałem, a niebo wykonało nad nami pełny obrót. Potem drugi. Zmagający się z nawałnicą Random zwyciężył. Rozstąpiła się przed nami jak rozcięta toporem olbrzymia. Szalała jeszcze z obu stron, by wreszcie odejść na północ i południe, rozplywając się, słabnąc i znikając.

Kraina, którą zasłaniała, przetrwała, lecz czarna droga zniknęła. Merlin twierdzi jednak, że to żaden kłopot. Gdy nadejdzie pora, by przejść na drugą stronę, przywoła dla nas pasmo babiego lata.

Random odszedł. Straszliwy był wysiłek, którego się podjął. Gdy wypoczywał, nie wyglądał już jak dawniej: zapalczywy młodszy brat, któremu uwielbialiśmy dokuczać. Na jego twarzy wystąpiły linie, których nie dostrzegałem wcześniej: oznaki głębi, na którą nie zwracałem uwagi. Może to niedawne wydarzenia wpłynęły na jego obraz w moich oczach, ale wydawał się jakby silniejszy i bardziej szlachetny. Czyżby nowa rola tak podziałała? Naznaczony przez Jednorożca, namaszczony przez burzę, chyba rzeczywiście nawet przez sen wyglądał po królewsku.

Ja już spałem, a Merlin drzemał w tej chwili. Zadowolenie daje mi fakt, że w tej krótkiej chwili przed jego przebudzeniem jestem jedynym płomykiem świadomości na grani Chaosu. Spoglądam na ocalały świat, świat oczyszczony, świat, który trwa...

Spóźniliśmy się może na pogrzeb taty, na rejs w jakieś bezimienne miejsce poza Dworcami. To smutne, ale nie miałem siły, by się ruszyć. Widziałem jednak splendor jego odejścia, a wielką część jego życia noszę w sobie.

Pozegnaliśmy się. On by to zrozumiał. I ty żegnaj, Eryku. Po tylu latach mówię to wreszcie, właśnie w taki sposób. Gdybyś dożył tej chwili, wszystkie nasze rachunki zostałyby zamknięte. Pewnego dnia może nawet zostalibyśmy przyjaciółmi... skoro zniknęły wszelkie powody sporów. Ze wszystkich par w rodzinie, ty i ja najbardziej byliśmy podobni do siebie. Może z wyjątkiem Deirdre i mnie, w pewnym sensie... Lecz łzy z tej przyczyny zostały przelane już dawno. Mimo to, żegnaj jeszcze raz, najukochańsza siostrze; zawsze żyć będziesz w moim sercu.

I ty, Brandzie... Wspominam cię z goryczą, szalony bracie. Prawie nas zniszczyłeś. Niemal zrzuciłeś Amber z wyniosłego gniazda na piersi Kolviru. Wstrząsnąłbyś całym Cieniem. Niemal rozbiłeś Wzorzec i przebudowałeś wszechświat na własny obraz. Obląkany i zły, tak blisko byłeś realizacji swych pragnień, że jeszcze teraz drzę na samo wspomnienie. Jestem zadowolony, że odszedłeś, że zabrały cię strzała i otchłań, że nie hańbisz już swą obecnością ludzkich siedzib ani nie oddychasz słodkim powietrzem Amberu. Chciałbym, byś nigdy się nie urodził, a jeśli już, to abyś zginął wcześniej. Dość! Takie refleksje pomniejszają mego ducha. Bądź martwy i nie nawiedzaj już moich myśli.

Rozkładałam was jak karty, moi bracia i siostry. To bolesne, lecz i pobłażliwe wobec siebie, uogólniać w taki sposób, ale wy... ja... my zmieniliśmy się chyba i zanim znowu włączę się do ruchu, potrzebuję tego ostatniego spojrzenia.

Caine, nigdy cię nie lubiłem i nadal ci nie ufam. Obraziłeś mnie, zdradziłeś, a nawet pchnąłeś mnie sztyłem. Zapomnijmy o tym. Nie podobają mi się twoje metody, ale tym razem nic nie mogę zarzucić twojej lojalności. Pokój więc. Niech nowe panowanie rozpocznie się od czystego konta w naszych obrachunkach.

Llewello, posiadasz wielkie rezerwy charakteru, a niedawne okoliczności nie zmusiły cię, by z nich skorzystać. Za to jestem wdzięczny. To czasem przyjemne – wyjść z konfliktu nie poddając się próbie.

Bleysie, wciąż jesteś dla mnie postacią spowitą w blask: mężny, wylewny, gwałtowny. Za to pierwsze, mój szacunek; za drugie, mój uśmiech. A trzecie przynajmniej ostatnio złagodniało. To dobrze. W przyszłości trzymaj się z dala od spisków. Nie pasują do ciebie.

Fiono, ty zmieniłaś się najbardziej. Muszę nowym uczuciem zastąpić stare, księżniczko, gdyż po raz pierwszy staliśmy się przyjaciółmi. Przyjmij moją sympatię, czarodziejko. Jestem twoim dłużnikiem.

Gerardzie, powolny i wierny bracie, może jednak nie wszyscy się zmieniliśmy. Trwałeś jak skała przy tym, w co wierzyłeś. Obyś nie dał się tak łatwo wykorzystywać. Obym nigdy nie musiał stawać z tobą do zapasów. Wracaj na morze w swych okrętach i oddychaj czystym, słonym powietrzem.

Julianie, Julianie, Julianie... Czyżbym nigdy nie znał cię naprawdę? Nie. Zielona magia Ardeni musiała roztopić dawną próżność, pozostawiając słusniejszą dumę i coś, co chętnie nazwę uczciwością... coś całkiem innego niż miłosierdzie, na pewno, lecz będące dodatkiem do twojej zbrojowni, którego bym nie lekceważył.

Benedykcie, bogowie wiedzą, że nabierasz mądrości, gdy czas wypala swój szlak ku entropii. Lecz w swej wiedzy o ludziach wciąż zaniedbujesz pojedyncze egzemplarze tego gatunku. Może teraz, kiedy bitwa się skończyła, zobaczę wreszcie twój uśmiech. Odpoczywaj, wojowniku.

Flora... Nie jesteś gorsza teraz niż wtedy, gdy znałem cię tak dawno temu. To tylko sentymentalne marzenie, patrzeć na ciebie i innych jak ja teraz, podliczać swoje rachunki i szukać kredytów. Nie jesteśmy już nieprzyjaciółmi, nikt z nas, i to powinno wystarczyć.

A mężczyzna odziany w czerń i srebro, ze srebrną różą? Chciałbym wierzyć, że nauczył się ufności, że przemył oczy w krystalicznym Źródle, że odkurzył jeden czy dwa ideały. Mniejsza z tym. Może pozostać mocnym w gębie, wścibskim krętaczem, sprawnym jedynie w nieistotnej sztuce przetrwania, tak ślepym, jak pamiętają go lochy, na bardziej finezyjne odcienie ironii. Nie szkodzi, niech mu będzie, niech tak będzie. Może nigdy nie będę z niego zadowolony.

Carmen, voulez-vous venir avec moi! Nie? Więc żegnaj i ty, księżniczko Chaosu. Mogło być przyjemnie.

Niebo obraca się po raz kolejny; kto może wiedzieć, na jakie czyny pada jego witrażowy blask? Pasjans został rozłożony i rozegrany. Tam gdzie było nas dziewięciu, jest teraz siedmiu i jeden król. Ale Merlin i Martin są teraz z nami, nowi gracze w tej nieprzerwanej rozgrywce.

Siły mi wracają, gdy patrzę na popioły i myślę o drodze, jaką obrałem. Intryguje mnie ścieżka przede mną, od hal piekła do halleluja. Znowu mam swoje oczy, pamięć, rodzinę. A Corwin zawsze pozostanie Corwinem, nawet w dniu Sądu.

Merlin zaczyna się ruszać; to dobrze. Pora odjeżdżać. Są sprawy do załatwienia.

W swym ostatnim wyczynie po pokonaniu burzy, Random połączył się ze mną i, czerpiąc moc z Klejnotu, przez Atut nawiązał kontakt z Gerardem. Karty znowu są zimne, a cienie znów są sobą. Amber trwa. Lata minęły od dnia, gdy go opuściliśmy, i może więcej ich upłynie, nim tam powrócę. Pozostali przeatutowali się już pewnie do domu, jak Random, na którego czekały obowiązki. Ja jednak muszę teraz odwiedzić Dworce Chaosu, ponieważ obiecałem, ponieważ mogę nawet być tam potrzebny.

Zbieramy ekwipunek, Merlin i ja. Wkrótce mój syn wezwie widmową ścieżkę.

Kiedy wszystko już tam załatwię, kiedy Merlin przejdzie Wzorzec i odjedzie, by znaleźć własne światy, będę musiał wyruszyć w podróż. Muszę zjawić się w miejscu, gdzie zasadziłem gałąź starego Ygga, odwiedzić drzewo, które z niej wyrosło. Muszę zobaczyć, co stało się z Wzorcem, jaki wykreśliłem przy wtórze gruchania gołębi na Polach Elizejskich. Jeśli poprowadzi mnie do innego wszechświata, w co teraz wierzę, muszę tam pójść, by sprawdzić, jaki go stworzyłem.

Ścieżka dryfuje przed nami, sięgając w dali Dworców Chaosu. Czas nadszedł. Wsiadamy na konie i ruszamy. Jedziemy teraz nad czernią, drogą, która wygląda jak gaza. Wroga twierdza, podbity naród, pułapka, ojczyzna przodków... Zobaczymy. Coś migocze słabo na blankach i na balkonie. Może nawet zdążymy na pogrzeb. Prostuję się i sprawdzam, czy miecz lekko wychodzi z pochwy.

Już niedługo będziemy na miejscu.

Żegnaj i witaj, jak zawsze.

SPIS TREŚCI:

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Rozdział 1. 2](#)

[Rozdział 2. 7](#)

[Rozdział 3. 18](#)

[Rozdział 4. 25](#)

[Rozdział 5. 29](#)

[Rozdział 6. 35](#)

[Rozdział 7. 43](#)

[Rozdział 8. 49](#)

[Rozdział 9. 53](#)

[Rozdział 10. 57](#)

[Rozdział 11. 64](#)

[Rozdział 12. 70](#)

[Rozdział 13. 76](#)

[Rozdział 14. 81](#)